



*Skąd zresztą mógł wiedzieć, co się dzieje w jej duszy?...
Nie wiedział – tak jak żaden mężczyzna
na tej planecie nie jest świadom tego,
co w głębi ducha przeżywa
i myśli jego kobieta.*

Agnieszka Jeż
Paulina Płatkowska

Ciasteczko z wróżbą



Agnieszka Jeż
Paulina Płatkowska

*Ciasteczeko
z wróżką*



EDIPRESSE
KSIĄZKI

*Renacie i Lenie –
za to, że są,
i że są fajne*

PROLOG

20 października 1991 roku

Czas stanął w miejscu. Renacie wydawało się, że siedzi tutaj od co najmniej godziny. Albo od rana. Co tam od rana – całą wieczność! Wszechświat się zatrzymał, atomy stężały, nastąpił całkowity bezruch. Nawet wstrząsane wczesnojesiennym wiatrem gałęzie klonu majaczące w skąpym świetle ulicznych latarni teraz zastygły w pełnym oczekiwania na-pięciu.

Z tego porządku ktoś się jednak wyłamywał. Puk-puk, puk-puk, puk-puk – miarowy, szybki stukot mącił ciszę, odbijając się od wykafelkowanych na beżowo ścian. Skromne rozmiary pomieszczenia potęgowały hałas – gdy jedno puk odskakiwało od ściany, zaraz w jego miejsce uderzało kolejne.

Po chwili cała toaleta rozbrzmiewała dźwiękami jak ze stołu do ping-ponga. To serce Renaty tak waliło. W nocnej ciszy akademika na ulicy Kickiego w Warszawie ten hałas dobywający się z młodej, jędrnej i bardzo kształtnej, piersi świeżo upieczonej osiemnastoletniej studentki, brzmiał wyjątkowo przej-mująco.

Cała sytuacja zresztą była pełna napięcia. Renata chętnie by zapaliła, gdyby nie fakt, że nigdy nie udało jej się wpaść w ten nałóg – papierosy paskudnie jej nie smakowały. Może alkohol zapewniłby, jakże potrzebne w tej chwili, odprężenie, tu tolerancja organizmu była większa, ale jako przyzwoita dziewczyna żadnymi procentami nie dysponowała, a wyjść z toalety i akademika chwilowo nie mogła.

Siedziała na opuszczonej klapie sedesu, skromnie i smętnie oświetlona przez samotną żarówkę zamocowaną na zakurzonym kablu elektrycznym. Na podłodze stał kubek z arcorocu – hartowanego szkła odpornego na wszelkie wstrząsy. Renata zazdrościła mu tego hartu – miała wrażenie, że sama za chwilę zemdleje ze strachu i z emocji.

W kubku, na dnie, majaczył słomkowy płyn.

W rękę trzymała kawałek plastiku i wypatrywała znaków. O, tak jej właśnie powiedziała mama, wręczając w czerwcu urodzinowe ciasteczko z wróżbą: „Bądź uważna i śledź znaki”. To, co wtedy, zaledwie cztery miesiące temu wydało się Renacie kolejną fanaberią ekscentrycznej matki, nieszkodliwym hobby, teraz przybierało coraz mroczniejsze kształty. Czyżby Roma zawarła jakiś pakt z siłami nieczystymi? A może była na zaawansowanym kursie z wróżenia u Cyganki? Enigmatyczne uwagi na temat przyszłości i odczytywania sygnałów nagle nabrały nowego sensu. Ciekawe, czy właśnie taki znak mama miała na myśli?...

Pierwszy był nie do przeoczenia. Solidny, wyrazisty. Gruba, mocna kreska. Drugi był jego cherlawym bratem bliźniakiem – tym słabszym, chorowitym, wlokącym się za postawnym bratem jak cień. Im bardziej Renata nie chciała go widzieć, tym mocniej się wysycił kolorem, nabierając niebieskich rumieńców.

Niebieski to kolor niepokalanego poczęcia, zupełnie absurdalnie przypominała się jej informacja podana na lekcji religii.

Obwieszczone i przypięczone dwiema kreskami poczęcie z pewnością nie było niepokalane.

Renata Rębacz, lat 18, urodzona i wychowana w Wałbrzychu, od dwudziestu dni studentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży.

21 czerwca 1991 roku

*Nie spiesz się ze zjedzeniem czerstwego ciasteczka,
bo będzie cię bolał brzuch.*

– Renata, chodź tu jeszcze do nas na pamiątkowe zdjęcie! Pani profesor, panią też byśmy poprosili, dobrze? Kto nam zrobi? Alek, może twój brat?

Biało-granatowa młodzież zaczęła się ustawiać, kłębić, przepychać. Cztery lata ogólniaka dały im jako takie rozeznanie, kto gdzie powinien stać, żeby go było widać i żeby nie zasłaniał innych.

Ula uszczypnęła ją w ramię.

– Fajna bluzka! Gdzie taką dorwałeś?

– Dzięki. Mama była w maju w Berlinie, nakupiła pięć toreb drobiazgów, nawet nie wiem, jak to potem zatachała do autokaru... Z rozpędu kupiła mi nawet piórnik z wyposażeniem, wyobrażasz sobie?! Ja tu robię maturę, zdaję na studia do stolicy i jeżeli się dostanę, to będę nosiła na wykłady piórnik z Aldiego! – prychnęła Renata, trochę ubawiona, a trochę poirytowana.

– Twoja mama zawsze była oryginalna.

– Chyba: dziwna.

– E tam! – Ula pokręciła głową. – Oryginały w cenie, takie idą czasy. W każdym razie bluzka ekstra! Ja mam od ruskich, beznadziejną, sama zobacz. Niby bawełna, ale chyba tylko z metki. Całe pachy mam mokre, nic nie przepuszcza.

Wiolka już od paru chwil przysłuchiwała się rozmowie.

– Najgorsze były te tajlandzkie z wycinanymi kołnierzykami, pamiętacie? Całą podstawówkę takie nosiłam i bardzo mi się wtedy podobały!

– Nie chrzań, nie chrzań, jak całą podstawówkę? To od kiedy my mamy wolny rynek? – Renata lubiła uściślać fakty i lubiła w sobie tę cechę. W końcu taka chyba powinna być młoda adeptka dziennikarstwa – dociekliwa, rzeczowa, poszukująca prawdy.

– Wiolka ma od zawsze, hy hy! Taka jest wyzwolona! – Ula wymierzyła kuksańca w zgrabne biodro Wiolki.

– Dobra, chłopaki: uwaga, dziewczyny: włosy z twarzy, wszyscy: uśmiechy – komenderował wrobiony w fotografowanie brat Arka. – Raz, dwa... zrobione!

Renata wracała ze szkoły w podniosłym nastroju. Nie co dzień kończy się liceum. Nie co dzień dostaje się wyróżnienie za dobre i bardzo dobre wyniki w nauce oraz całkiem przyzwoicie zdaną maturę. Nie co dzień ma się poczucie, że oto właśnie zaczyna się w życiu zupełnie nowy rozdział, inny od wszystkiego, co było dotąd. Mierzyła wysoko – ale były to wyzwania na miarę jej możliwości. Czuliła się pewnie i spokojnie, wierzyła w siebie. Zawsze zresztą było okej. Już jako dziecko zapowiadała się tak obiecująco, że rodzice posłali ją do szkoły o rok wcześniej. Rzeczywiście, dawała sobie radę. Dostawała dobre oceny, czytała lektury, brała udział w konkursach recytatorskich – we wszystkim, czego od niej oczekiwali. Nawet niespecjalnie lubiane skrzypce, do których nakłaniał ją tata, etatowy muzyk Filharmonii Sudeckiej, szły jej jako tako. Grając na nich bez sprzeciwu, ale i bez przyjemności, skończyła całą szkołę muzyczną I stopnia; potem zaś odważyła się powiedzieć tacie, że już więcej nie chce. Wiele ją to kosztowało, ponieważ bardzo nie lubiła odmawiać rodzicom – czegokolwiek: sprzątanina, dobrych stopni, wczesnych powrotów ze szkolnych dyskotek, wizyt u rodziny. Podobno każdy rodzi się zaprogramowany na życie; z ustalonym temperamentem, charakterem i głównymi cechami. W przypadku Renaty ta charakterystyka była prosta: żyć tak, by świat (wymiennie z: „rodzice”) był ze mnie zadowolony. To musiało być wrodzone, ponieważ ani tata (subtelny muzyk), ani mama

(żywiolowa i nietuzinkowa, ale zupełnie nie dyktatorska) niczego na niej nie wymuszali. Co więcej, zawsze ją dopingowali i powtarzali, że w nią wierzą. Renata sama z siebie, czując taką potrzebę tam, w środku, podporządkowała się głównemu celowi: spełniać wypowiedziane i niewypowiedziane prośby rodziców. Posiadanie dobrej córki oczywiście ich uszczęśliwiało („Pani Romo, takie dziecko to jak wygrana w totka”, wychwalała Renię przed mamą jej wychowawczyni w podstawówce), ale bycie nią sprawiało przyjemność także samej Renacie, którą z kolei cieszyła radość innych. System naczyń powiązanych, bardzo sprawnie działający.

Wracając do muzyki. Lekcje były coraz większym obciążeniem; niewspierane przez wybitny talent czy choćby zapal, wymagały więcej i więcej samozaparcia. Po skończeniu szkoły I stopnia Renata już naprawdę nie chciała dalej się uczyć grać. Postanowiła więc poprosić rodziców (chyba pierwszy raz w życiu), by nie musiały tego robić. Żeby jednak nie zabrzmiało to zbyt drastycznie, postanowiła zastosować handel wymienny: zamiast jednego obowiązku – inny. Podsunęła mamie i tacie myśl, że chce się uczyć niemieckiego. Więcej niż w szkole, więcej niż na kursie. Od siódmej klasy miała zatem prywatne lekcje, do których przykładała się z zapalem i pilnością, jak do wszystkiego, do czego się brała. Szwargotała coraz lepiej, dwa razy została laureatką szkolnych olimpiad z języka niemieckiego. Rodzice z aprobatą kiwali głowami. Niezawodna jedynaczka.

Tak było do zeszłego roku. Bo oto w samym środku lata, bez żadnej zapowiedzi katastrofy, Eugeniusz nagle poczuł się gorzej. Na dwa dni położył się do łóżka, pocił się i słabował. Trzeciego Roma wygoniła go do lekarza. „Nie ma co tak leżeć i czekać nie wiadomo na co – przekonywała. – Trzeba wiedzieć, co człowiekowi dolega”.

Do przychodni przyszpitalnej tata pojechał taksówką. Już to powinno im dać do myślenia – był przecież taki nierozrzutny... Godzinę później zadzwonił do domu z trzeszczącego szpitalnego automatu.

Odebrała Renia.

– Chcą, żebym tu został na jakieś badania – powiedział, usiłując brzmieć dziarsko. – Wpadnijcie, jak mama wróci z pracy, bo przecież nic tu nie mam. Jestem w sali 51, zapamiętasz? – Głos mu leciutko zadrżał. Jak skrzypce, kiedy wydobywał z nich te długie, wysokie dźwięki, przy których palce lewej ręki unosiły się i opadały na struny.

Zapamiętała. Podobnie jak to, że nawet się wtedy uśmiechnęła z pobłażaniem na myśl o tej jego dzielności. Obie z mamą doskonale wiedziały, jak bardzo tata boi się szpitali.

Gdy tylko wróciła do domu, spakowały do dużej reklamówki wszystko, co mogło mu się przydać – lub uprzyjemnić – parę dni szpitalnego życia: kaptcie, piżamę i szlafrok, saszetkę z kosmetykami, komplet sztućców, kubek, słoik kompotu, rulon mentosów i książkę (*Edward Gierek – przerwana dekada*).

W sali 51 stało pięć łóżek. Na czterech leżeli obcy faceci, piąte było puste.

– Gdzieś uciekł nasz bohater. – Roma puściła oko do córki. Renia zachichotała.

– Nie pomyliłaś numeru?

– No co ty.

– Siostro! – zaczęła kobietę w pielęgniarskim czepku mama. – Gdzie leży Eugeniusz Rębacz?

Zapytana popatrzyła na nie nieodgadnionym wzrokiem.

– Niech panie pójdą do pokoju lekarskiego. Tam. – Wskazała.

Lekarz dyżurny nie patrzył im w oczy.

– Zmarł o trzynastej dwie. Rozległy zawał. Reanimacja się nie powiodła.

To wszystko brzmiało nierealnie.

– Nie – powiedziała głośno Renata i pomachała, jakby chciała odgonić idiotyczne słowa medyka.

– Bardzo mi przykro – dodał, jakby to miało coś tłumaczyć.

Czuła, że wpada w jakieś dzikie rozedrganie, które z każdą chwilą narastało. Drżało jej wszystko: wnętrzności, nogi, ręce, broda. Obraz lekarza zamazywał się i skakał w rytm tego drgania. Spojrzała na mamę, szukając w niej wsparcia.

Roma bezpardonowo gapiała się na lekarza.

– Jak to: umarł? W szpitalu umarł?! Przecież szpital jest od tego, żeby leczyć ludzi, a nie żeby

w nim umierali – paplała bez sensu, jakby to mogło zmienić wyrok. – Do cholery, przyszedł do was o własnych siłach!!! – wrzasnęła znienacka.

– Zmarł niecały kwadrans po przyjęciu do szpitala. Dlatego właśnie musimy zrobić sekcję.

Renacie zrobiło się niedobrze. Miała ochotę wybiec z tego pokoju absurdów, z tego szpitala, z tej... tej... umieralni. Nienawidziła lekarza za ponure opanowanie, za pognieciony kitel, za wszystko, co mówił. W jednej chwili dobitnie zapragnęła, żeby on też umarł w piętnaście minut, też kogoś zostawił, też miał sekcję... Zasłużona kara dla posłańca złej nowiny.

Wyszły z pokoju odrętwiałe, niedowierzające, niepokodzone. Nie patrzyły na siebie. Roma z furią cisnęła reklamówkę do pierwszego mijanego kosza. Słój z kompotem łupnął z hukiem o blaszane dno.

„Pewnie się potłukł” – pomyślała Renata, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

„Gdyby mama w czerwcu, robiąc kompoty z truskawek, wiedziała, jak one skończą w sierpniu... – myślała głupio dalej. – Gdybyśmy w ogóle wiedziały, co się zdarzy... Jak by to wtedy było? Żałoba zaczynałaby się jeszcze za życia taty? Usiłowałiby zmienić bieg wydarzeń? Posłać go wcześniej do lekarza, zacząć jakieś leczenie?... Próbowałiby się rozpaczliwie sobą nacieszyć, zanim TO się stanie?...”

Z rozmyślań wyrwał ją śpiew mamy.

– „Jestem młoda wdowa...” – zanuciła Roma cienkim drżącym głosem. – Boże, naprawdę jestem wdową!!! – powiedziała głośno, zatrzymała się i wybuchnęła płaczem.

Tego było już za wiele. Renata spazmatycznie wczepiła się w jej ramię i też się rozszlochała. Mocno, bezradnie, nieprzytomnie. Jak można umrzeć tak nagle?!... Tak głupio? Było to niesprawiedliwe, niedorzeczne i nie zgadzała się na to! Na brak taty, jego głosu, jego skrzypiec, jego flegmatycznego spokoju, który tak dobrze uzupełniał radosny chaos mamy. Rodzina już na zawsze pozostanie niekompletna. A ona właśnie została półsierotą.

„Pół”.

Jezu.

Trzeba bardzo zadbać o mamę. Nawet w tym momencie, w tej sytuacji Renata nie myślała o sobie, o swoim popękany na drobne kawałeczki sercu, tylko o mamie.

Chwilę szperała w kieszeniach dzinsów, w końcu wyciągnęła z nich wymiętą, napoczętą paczkę chusteczek.

– Masz, mamuś... – Podała Romie. Drugą wytarła własną twarz.

Wzięła oddech. Jeden. Drugi.

Rozpacz trzeba zahibernować. Renata nie może się osunąć w czarną otchłań żałoby, bo potem nie będzie w stanie się z niej wydostać. Poza tym mama musi znaleźć w niej oparcie. Wiedzieć, że może na nią liczyć.

Dzieciństwo właśnie się skończyło.

Ale żyć trzeba dalej – zwłaszcza gdy się ma siedemnaście lat. Renia żyła więc, tak odpowiedzialna, wspierająca i bezproblemowa, jak to tylko było możliwe. Jeszcze bardziej niż dotąd starała się nie sprawiać kłopotów – a nawet więcej: postawiła sobie za punkt honoru, by dostarczać mamie choć niewielkich powodów do radości i uśmiechów. Roma podejmowała tę grę z wdzięcznością, z wolna wracając do siebie. Renacie przyznano rentę po tacie. Co miesiąc dzieliła ją równiutko na pół: pół dawała mamie, na życie, drugie pół odkładała na kupkę: na studia lub na czarną godzinę. Niezmiennie też trzymała przed mamą fason. Żadnych łez, jak najmniej wspomnienia. Niczym jakąś nietykalaną schedę przyjęła stoicką postawę taty, która teraz, w jego zastępstwie, miała wyciszać i koić mamę. Nagrodę wyz-na-czyła sobie sama: studia. W Warszawie – bo z całym szacunkiem do rodzimego Wałbrzycha – Uniwersytet Warszawski brzmi jednak znacznie lepiej niż Politechnika Wrocławska czy Wyższa Szkoła Pedagogiczna; zwłaszcza że ani w jednej, ani w drugiej nie oferowali nauki dziennikarstwa.

Rok, choć trudny i smutny, w końcu się przetoczył, a nagroda była coraz bliżej. Nowy rozdział ekscytował ją niepomniernie. Nie, nie miała obaw, że się nie dostanie – dlaczego miałaby je mieć? Była przygotowana, i to pod każdym względem. Żeby zarobić na start w Warszawie, całe pierwsze długie

studenckie wakacje poświęci na pracę. Ma już nagrany kontakt w Görlitz – opieka nad starszym facetem, ale nic odstręczającego, żadne tam podmywanie czy przewijanie – ot, zwykłe prace domowe: sprzątanie, zakupy, podanie obiadu, cieszenie starszego samotnego pana obecnością drugiej osoby. A wszystko to za osobny pokój, wikt i opierunek, no i oczywiście stosowną sumkę w markach niemieckich. Wartość dodana: dalsze szlifowanie języka.

Cieszyła się na ten wyjazd jak na przygodę. Owszem, będzie trochę nudno, ale od czego ma się książki, papier listowy i notes reportażysty? Da radę – przecież zawsze daje. Zresztą odkąd tata zmarł, wiodło im się z mamą umiarkowanie dobrze, oględnie mówiąc. Wokół ludzie na potęgę rozkręcali biznesy, pączkowały prywatne inicjatywy, robiono interesy dosłownie na wszystkim. Niestety Rębaczowie nie mieli ku temu smykałki. Eugeniusz póki żył, nie krył, że jedyne, na czym się zna, to muzyka – robił wręcz z tego jakby atut, który miał przesądzać o tym, że jest on czystej krwi intelektualistą. Romualda, dla znajomych Romka, wiodła zwykłe życie urzędniczeki ratusza. Szczytem jej prywatnej inicjatywy były swoiste wycieczki tych lat – wyjazdy autokarowe na zakupy do Niemiec. Jeździła na nie bardziej dla rozrywki niż dla zysków – okazje i cieszenie oczu Europą Zachodnią bawiły mamę tak bardzo, że Renata nie miała serca uświadamiać jej w zakresie ich znikomej opłacalności.

Zaraz za drzwiami klatki schodowej owionął ją chłód, znajome odgłosy i zapachy. Z piwnicy dobiegała woń kartofli i wilgoci. Z pierwszego piętra czuć było barszczem. Dalej – sygnały Jedynek, słuchanej na cały regulator przez staruszkę z drugiego piętra. No tak, przecież dzisiaj pierwszy dzień lata, czyli zaczęło się *Lato z radiem!*... Ciekawe, jaką ramówkę na lato mają stacje niemieckie.

Raźnym krokiem wspięła się na czwarte piętro i podeszła do wysłużonych drzwi z numerem 43. Klamka ustąpiła bez żadnego oporu. Ech, ta nieroztropna Romcia... Mama, dla uczczenia szczególnego dnia, wzięła dziś wolne. Tylko dlaczego, do diaska, nie przekręca zamka?

– Hej, mam! Jestem! – zawołała z przedpokoju.

Drzwi łazienki skrzypnęły i zgrabnym ruchem wysunęła się z nich Roma.

– Jesteś... – Omiotła Renatę rozpromienionym wzrokiem. – Jak tam w szkole?

– No... Chyba jak zawsze na zakończenie roku. Galowe stroje, część artystyczna, przemowy... mo-że tylko trochę łzawiej niż zwykle. Jednak wszyscy mieli poczucie, że to ostatni raz... Dziewczyny siąkały, nawet Nowakowska się popłakała, że drugiej takiej fajnej klasy pewnie już mieć nie będzie... – Mówiąc, przeszła do dużego pokoju i klapnęła na fotel przy niskiej brązowej ławie. Roma pospieszyła za nią.

– Uła na co w końcu idzie?

– Na pedagogikę. Tu, w Wałbrzychu.

– Uhm. A tę obiegówkę ci podpisali?

– Podpisali, pewnie! Przecież inaczej nie dostałabym świadectwa. A dostałam. Chcesz zobaczyć? Roma znowu się rozpromieniła, jakby przeczuwając rychły przyływ rodzicielskiej dumy.

– Pokaż.

Renata wyjęła z torby *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej, książkę-nagrodę, a z niej złożony na pół błękitny arkusz z czerwonym paskiem, zapisany równym nauczycielskim pismem Nowakowskiej. Roma wczytywała się przez chwilę z wyraźną lubością. W końcu odłożyła dokument na politurowany blat ławy.

– Gienek byłby z ciebie bardzo dumny – przemówiła wzruszonym głosem. – Ja też jestem. A teraz pora na twój prezent!

Renata zrobiła zdumioną minę.

– Prezent? Przecież prezentem była już moja osiemnastka w zeszłą sobotę... To znaczy, ta impreza w świetlicy...

Roma przywołała na twarz zagadkowy uśmiech ni to Giocondy, ni to jakiejś dobrej wróżki rodem z *Kopciuszka*.

– Renatko, dziś jest twój szczególny dzień. Kończysz szkołę – a zarazem obchodzisz osiemnaste urodziny. Z tej okazji... – Roma odwróciła się i chwilę gmerała w gazetniku obok fotela – upiekłam ci ciasteczko.

– Chyba: ciasteczka? – uściśliła Renata.

– Ano nie. Ciasteczko. Jedno. Za to wyjątkowe... – Roma ostrożnie położyła na ławie celofanowe zawiniątko. – To jest ciasteczko z wróżbą według starej chińskiej receptury. Zawiera przepowiednię na cały najbliższy rok. Dla ciebie.

Renata spojrzała podejrzliwie na podarek. Przezroczysty celofan zdradzał dziwny kształt ciasteczka. Wyglądało jak niedokończony precel czy ślimak, niepodobny do żadnego znanego jej ciastka. Roma była nietuzinkową mamą, pod każdym względem – kulinarnym także. Nie chodziło o to, że się wymigiwała od prac kuchennych, miała za to niezwykle talent do tego, by osiągać spektakularnie mizerne wyniki w kuchni.

– A skąd wzięłaś wróżbę? Też z przepisu?

– No co ty! – zachnęła się mama, jakby Renata swoją niestosowną uwagą naruszyła jeden z punktów jej kodeksu honorowego. – Wywróżyłam! Metodą mieszaną: karty, wahadełko i moje najnowsze odkrycie: *Księga Przemian I Ching*. Fascynująca! Choć jeszcze w dużej mierze dla mnie niepojęta.

Renata patrzyła na nią z rozczuleniem i troską. Mama miała w sumie dość nudne życie, teraz dodatkowo pozbawione męża. Co gorsza, kiedy zacznie się rok akademicki i Renata wyjedzie, tej samotności wokół mamy będzie jeszcze więcej. W gruncie rzeczy dobrze więc, że sobie znalazła nowe hobby – niechby i takie.

Zresztą kto wie? Na rok, na który Renata wyznaczyła sobie duże wyzwania, dobra wróżba wcale by nie zaszkodziła.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki, mamó. To co: już odwijać? Zwyczajnie czy w jakiś specjalny sposób? Mam sobie pomyśleć życzenie?

– Już, już. Urodziłaś się o pierwszej po południu, więc pora jest w sam raz. Nie, bez życzenia. Jedz – i czytaj, tam wszystko już jest. Wszystkiego najlepszego.

Renata zaczęła rozsupływać szeleszczący celofan. Mama nie spuszczała z niej wzroku.

– A zatem... – teatralnym gestem uniosła ciasteczko do ust – ...niech się dzieje!

Odgryzła kęs.

Ciasteczko było paskudne. Wcale jej to nie zdziwiło: mama w życiu nie piekła ciasteczek. Wszystkie zaś inne słodkie wypieki wychodziły jej... no, powiedzmy łaskawie: tak sobie. A to zapomniała wsypać cukru, a to proszku do pieczenia, a to wyjąć na czas z prodiża... W efekcie powstawały ciężkostrawne gnioty, które, by nie urazić mamy, z poświęceniem jadali z tatą, posypując je dla zmyłki cukrem pudrem, przekładając powidłami lub popijając obficie kakao.

– Uważaj na karteczkę!

– Jaką karteczkę?

– No, z wróżbą! Nie zjedz jej!

Rzeczywiście z pustej przestrzeni w środku ciastka wystawał jakiś papier.

Renata roześmiała się z uznaniem.

– Gdyby podziemie solidarnościowe wymyśliło coś takiego do przemycania bibuły!...

– A ty nie dowcipkuj, tylko jedz. I czytaj.

– Wcale nie dowcipkuję! Mówię serio, pomyśl tylko...

– Jedz. – Matka nie zamierzała ustępować, więc Renata ostatecznie się poddała. Pociągnęła za skrawek papieru, tak by cały zwitek znalazł się w jej dłoni, a resztę ciasteczka włożyła sobie do ust.

Uch... Do ostatniego okruszka łamaniec doskonale wpisywał się w tradycję maminych gniotów.

Na usprawiedliwienie Romy można było powiedzieć, że pewnie musiało takie być – by jakoś zachować tę pustą przestrzeń w środku. W pączku z dżemem raczej nie dałoby się umieścić wróżby. Albo w jagodziance.

Zmogła do końca trefny wypiek i rozwinęła papiera.

*Nie spiesz się ze zjedzeniem czerstwego ciasteczka,
bo będzie cię bolał brzuch.*

Zmarszczyła brwi.

– O czym to jest? O tym ciastku, co je właśnie zjadłam?

Roma uśmiechała się enigmatycznie.

– Może i było twarde i mało słodkie, ale nieświeże to chyba nie?... – zastanawiała się na głos

Renata. – I co, samo ostrzega, że mnie po nim rozboli brzuch?... To po co...

Roma pokręciła głową.

– Nic nie mogę objaśniać, bo zaburzę przepływ energii. Sama musisz do wszystkiego dojść. Na początku może być ci trudno, zwłaszcza, Reniu, że nie wyczuwam u ciebie fluidów łączności ze światem niematerialnym, ale się wprawisz, jak we wszystkim. Za parę lat będziesz już sprawnie odczytywać wróżby.

– Za parę lat? Będziesz mi teraz ciągle piec takie ciasteczka? – Renata z jednej strony odczuła coś w rodzaju zaciekawienia, jeśli chodzi o przepowiadanie przyszłości, z drugiej zaś zatrwożyła się na myśl o częstej konsumpcji cukierniczych niewy-pałów.

– Będę. Ale ponieważ to specjalne ciasteczko, będziesz je dostawała raz w roku. Na urodziny. Coś dla ciała, coś dla ducha.

„Ciało jakoś będzie musiało dać radę”, pomyślała Renata, wyłubując językiem kawałek zakalca spomiędzy zębów. Co do ducha zaś... Cóż... Może wola-łaby coś bardziej oczywistego, jak „poznasz przystojnego bruneta”, „zarobisz fortunę” czy „zdasz egzamin na piątkę” – ale niech będzie. Mama dopiero się wprawiała w nowym hobby; zresztą z jej roztargnieniem na pewno coś pokręciła i albo przeczytała, albo zapisała nie to, co trzeba. „Metoda mieszana!”... Ech. Może za rok będzie lepiej. Tak czy owak Renacie w żaden sposób nie zmąci to radości z otwarcia nowego rozdziału. Ahoj, przygodo!

Pakowanie zdawało się nie mieć końca. Pewnie dlatego, że tym razem nie było to proste wrzucanie do torby potrzebnych na wyjazd rzeczy. Wiązało się z selekcją, porządkowaniem i wyrzucaniem wszelkich nierokujących przedmiotów i ciuchów. Renata nie była typem chomika. Do dobrego samopoczucia nie potrzebowała suszonych kwiatków, maskotek, muszelek, pamiątek z wyjazdów ani durno-stojek. Przeciwnie: jej pokój był po śląsku czysty i schludny, bez szpargałów i osadzającego się na nich kurzu. Niewątpliwie tę cechę odziedziczyła po ojcu – Roma bowiem była rodzinnym zbieraczem, pamiątkowcem, wyznawcą zasady „a nuż się przyda”. Dlatego reszta czterdziestopięciometrowego mieszkania Rębaczów wyglądała zgoła inaczej niż pokój Renaty.

Nigdy nie wyjeżdżała z domu na tak długo.

Wróc. Nigdy nie wyjeżdżała z domu na zawsze.

Czuła się jak te wszystkie nastoletnie bohaterki anglosaskich książek albo seriali, tak hojnie oferowanych ostatnio przez TVP, które właśnie porzucają lukrowane różowe pokoiki pełne cacek, poduszek z falbankami i tapet w różyczki, by wyjechać do college’u i już nigdy nie wrócić do etapu małej dziewczynki. Rodzice przeżywają jednocześnie dumę i smutek, a one...? One chyba właśnie to, co odrobinę starsza od nich Renata: gotowość.

Potrzeby bliźnich często wbrew wszelkim przesłankom odruchowo szacuje się podług siebie – zatem na wyjazd Roma kupiła jej od ruskich gigantyczną ceratową torbę na suwak, w charakterystyczną kratę. Ruscy w takich torbach przywozili na polskie targowiska towar na handel; Renata mogłaby w swojej wywieźć telewizor, trupa albo całą zawartość swego minimalistycznego pokoju, gdyby tylko wyłączyć zeń książki. Zapała się jednak, że za nic w świecie jej nie weźmie – ani do Görlitz, ani do Warszawy, kiedy jesienią będzie się tam wypro-wadzać. Nie wyjdzie na spotkanie nowego życia z obciachową torbą! Ce-ratówka powędrowała więc do piwnicy jako przechowalnia odzieży zimowej latem i na odwrót – a Renata spakowała się w skórzany ojcowski neseser, brezentową torbę na ramię i podręczny plecaczek. Włoży do niego paszport, książkę, notes i prowiant na drogę. I będzie go trzymała w autokarze cały czas przy sobie.

Od wyjazdu do Niemiec dzielił ją jeszcze tylko jeden maleńki szczegół: egzamin na studia.

Nie robiła z tego ceregieli. Egzamin jak to egzamin: trzeba go zdać. Ostatecznie to tylko większa

forma klasówki.

Dwudziestego szóstego czerwca pojechała do Warszawy. Wyniki miały przyjść pocztą w ciągu dwóch tygodni. Nie czekając na nie, dwudziestego dziewiątego, w sobotę, odprowadzona przez Romę na dworzec, po dziesięciokroć odpytana, czy ma wszystko (Paszport? – Ma. Adres? – Zna go na pamięć. Mokre chusteczki? – Mamo!...), z pewną dozą ulgi i maleńką tylko szczyptą nostalgii wsiadła do autokaru do Görlitz.

Niecałe trzy godziny później kierowca zgasił silnik na dworcu po niemieckiej stronie Zgorzelca. Podróżni sprawnie wysypali się z autokaru, pobrali walizki i plecaki z luku bagażowego i rozeszli się w sobie tylko znanych kierunkach. Renata musiała skorzystać z toalety, najpierw więc udała się do budynku dworca.

Był piękny. Błękitne kasetonowe sklepienie równie dobrze mogłoby rozpościerać się w jakimś pałacu lub muzeum. Posadzka lśniła wielkimi taflami marmuru. O tym, że jest to dworzec, a nie pałac, przypominały liczne sklepiki i kioski, po same drzwi wypełnione: gazetami, książkami, kasetami, soczkami w kartonikach, batonikami. W powietrzu unosił się aromat kawy i jakichś świeżo wypiekanych bajgli czy precli; salę wypełniał typowy gwar: dźwięki rozmów, kroków, dru-kowanych biletów, udzielanych informacji, prze-wracanych stron książek, czasem turkot walizki na kółkach.

Było kulturalnie i światowo. Nawet dworcowa toaleta wpisywała się w ten standard. Za taką kwotę zresztą to nic dziwnego. Renata zastanowiła się, ile razy jeszcze poczuje się jak uboga krewna ze wschodu i będzie przeliczała pensję mamy lub rentę po tacie na opłatę za korzystanie z WC lub cenę puszki coca-coli.

Wyszła wyjściem w stronę miasta i poszukała wzrokiem przystanku właściwego autobusu. Był. Dobrze oznaczony, widoczny z daleka. Według rozkładu autobus miał przyjechać za osiem minut – i tak też przyjechał. Zajęła miejsce z przodu, przy oknie i wlepiła spojrzenie w mijane zabudowania.

Jechali przez starówkę. Renata z przykrością skonstatowała, że oglądana dwa dni temu Warszawa – ani brzydki szary kloc dworca, ani bure ulice, zawłaszczone przez ulicznych handlarzy czym popadnie, ani nawet majestatyczna, nieco wyblakła elegancja kampusu uniwersyteckiego przy Krakowskim Przedmieściu – nie umywała się do tego średniowiecznego miasteczka. Tu oczy syciły kolorowe fasady kamienic, pięknie poprzycinane drzewka, architektoniczna spójność i ład.

Europejsko.

Powoli zaczynała rozumieć Romę i jej upodobanie do zakupowych wycieczek do Niemiec. Ona przeżyła w burym PRL-u lat szesnaście, Roma – czterdzieści jeden. Ostatnie dwa lata, po osiemdziesiątym dziewiątym, trochę zmieniły krajobraz Wałbrzycha, a i pewnie całej Polski – ale czy na lepsze? Na pewno zrobiło się ruchliwiej, dynamiczniej. W sklepach przybyło towarów. Kwitł handel w kioskach-szczękach, na łózkach polowych, na ulicach wprost z toreb. Powstawały niezliczone małe firmy, a wraz z nimi fasady budynków pstrzyły się coraz liczniejszymi szyldami, nawołującymi klientów do odwiedzin. Tak... Obie miały prawo zachłystywać się innym światem – zwłaszcza jeśli był to świat uporządkowany, zamożny, i to nie tak po nowemu, krzykliwie, ale okrzepły w swym bogactwie, nic nikomu niemuszający udowadniać.

Rozejrzała się po wnętrzu pojazdu. Przy każdym siedzeniu znajdował się przycisk stop – aby pasażerowie wysiadający na przystankach na żądanie mogli owo żądanie sygnalizować wprost z foteli. Bez wstawania i zalegania przy drzwiach, bez zerkania, czy kierowca na pewno ich widzi. Renacie wydało się to gnuśne. Nie przesadzają z tym wygodnictwem?

A może wcale nie? Może to jest przejaw szacunku do obywateli? Część z nich to przecież starzy ludzie. Niech sobie mają.

Kwadrans później i ona skorzystała z przycisku stopu i znalazła się na szerokiej alei, wysadzonej dużymi, niepoprzycinanymi drzewami. Z niej, według instrukcji, należało skręcić w pierwszą przecnicę w prawo i wypatrywać dużej białej kamienicy.

Zaiste, była. I to naprawdę śnieżnobiała. Żadnych brudów ani graffiti, ani reklam.

Podeszła do bramy i poszukała na liście nazwisk przy przyciskach domofonów tego właściwego. Było. Wszystko się zgadzało. Nacisnęła guzik i poczekała, aż się ktoś odezwie.

– Dzień dobry – powiedziała do małego głośnika, gdy usłyszała w nim jakiś szmer i pogłos. – Nazywam się Renata Rębacz, przyjechałam do pracy.

– Naturalnie, czekamy, zapraszam. Drugie piętro, na prawo – odpowiedział głośnik wcale nie głosem starca, lecz zwykłym męskim głosem, wyraźnym i dźwięcznym, należącym do kogoś raczej w sile wieku.

Choć kamienica miała tylko trzy piętra, za bramą Renata spostrzegła windę.

Znów to wygodnictwo – albo ten szacunek... W każdym razie dla kogoś objuczonego neseserem, torbą i plecaczkiem – miłe udogodnienie. Drzwi pod numerem dwunastym były uchylone – a gdy odgłosy wysiadania z windy zdradziły, że Renata dotarła, otwarto je jeszcze szerzej.

Uznała ten gest za gościnnie.

Po drugiej stronie stał mężczyzna o jasnych włosach i młodych niebieskich oczach.

Renata przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Wyglądał tak... inaczej. Był czterdziesto-, może pięćdziesięcioletni. Pewnie mógłby być jej ojcem. Gdyby przełożyć to na polskie realia, w drzwiach powinien się pojawić facet z brzuszkim, o lekko przeredzonych włosach, a pewnie i podobnym uzębieniu, odziany w marmurki, zbyt luźny T-shirt, w kapciach z przydeptaną piętą, odsłaniających białe skarpety frotté. Tymczasem syn jej podopiecznego – bo to musiał być jego syn – miał na sobie jasne płócienne spodnie, czyste i starannie odprasowane, dopasowaną kolorystycznie koszulę z krótkim rękawem wpuszczoną pod pasek (żadnego piwnego brzucha) i skórzane półbuty. Renacie trudno było ocenić, czy jest przystojny, bo do tej pory nie miała do czynienia z takimi mężczyznami: w Polsce dorodzi faceci w jego wieku, czyli ojcowie jej koleżanek lub kolegów, byli poza oceną estetyczną, jakby przezroczyści, zupełnie jej nie interesowali jako płęć przeciwna. Równolatkowie zaś – cóż, do różnych niedoskonałości dojrzewania, jak pryszcze czy przetłuszczające się włosy, należało jeszcze dorzucić nie najlepszy styl. Ten mężczyzna był inny, z jakiejś obcej bajki. Z pewnością zadbany, od razu wydał się Renacie godny zaufania – może ze względu na tę schludność, a może dzięki stalowemu, krystalicznie czystemu błękitowi oczu. „Jeśli oczy są zwierciadłem duszy, to on musi być bardzo dobrym człowiekiem”, pomyślała Renata.

– Gerard Sztompke. – Ucisnął jej rękę. Dłoń miał dużą, przyjemnie suchą i ciepłą. – Czy miała pani dobrą podróż?

– O tak – odparła. – To taki krótki dystans i taki inny świat... – dodała i zaraz zawstydziała się tego niepatriotycznego wyznania.

Ale Herr Sztompke nie zwrócił na nie większej uwagi. Kontynuował natomiast pogodnie powitanie.

– Napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty? Wody? Soku?

– Może soku? – Kawa mogła okazać się maleńka i za mocna, z pićm gorącej herbaty będą same mecyje: mieszanie łyżeczką bez dzwonięcia, dylemat, co potem zrobić z tą łyżeczką: oblizać czy kapnąć na obrus, siorbanie albo czekanie, aż ostygnie... Sok wydawał się najrozsądniejszym wyborem.

– Proszę za mną, pokażę pani jej pokój i rozkład całego mieszkania.

Mieszkanie było ładne – bez dwóch zdań. Przestronne, dobrze utrzymane, jednolite w stylu i kolorach (brązy i beże), wyposażone w eleganckie, dość ciężkie w formie meble, miękkie dywany, ciężkie zasłony, firany i żyrandole. Może urządzone trochę zbyt nobliwie jak na jej gust – ale z pewnością bardzo przyjemne jako miejsce pracy.

– A to jest mój ojciec. – Gerard wszedł pierwszy do salonu i zatrzymał się przed przystawionym do balkonu wózkiem inwalidzkim, na którym siedział kompletnie posiwiały starszy pan.

– Tato, to panna Renata Rębacz, która od dziś będzie ci asystowała. – Położył dłoń na ramieniu ojca. W tym geście były czułość, oddanie, szacunek, jakaś delikatność, coś, co w Renacie na chwilę przywołało wspomnienie taty. Poczwała ukłucie w sercu: żal zmieszany z nostalgią. Gerard odwrócił się w jej stronę. – Jak pani zapewne wie z biura pośrednictwa pracy, tata jest po wylewie. Kontakt z nim jest utrudniony, ale proszę się nie obawiać. Do mycia i zastrzyków przychodzi pielęgniarka, do ćwiczeń

rehabilitantka. Pani zadaniem będzie głównie dbanie o dom, podawanie posiłków, towarzystwo i... czuwanie. Prosiłbym, żeby co dzień zabierała pani tatę na co najmniej godzinny spacer. Nieopodal jest park, widać go z balkonu, zaraz pokażę. Chciałbym też móc liczyć na pani czujność. – Z powagą zajrzał jej w oczy, jakby szacując, czy można jej zaufać. – Gdyby działo się coś niepokojącego, proszę niezwłocznie do mnie dzwonić. Tu jest moja wizytówka ze wszystkimi telefonami. Do siedemnastej, czasem nawet do osiemnastej jestem dostępny pod tym służbowym, do ósmej trzydzieści rano oraz wieczorami – pod tym prywatnym, dopisanym długopisem. W hallu na tablicy korkowej ma pani także telefony na pogotowie i do naszego lekarza rodzinnego.

Renata potakiwała bez zastrzeżeń, ciesząc się, że wszystko rozumie, nawet konstrukcję: „Chciałbym móc liczyć na pani czujność”. Hm. Nauka języka to była doskonała inwestycja. Obawy, które towarzyszyły jej podczas podróży, topniały. Dotarła na miejsce bez problemów, opieka nad seniorem Sztompke nie powinna być trudna ani uciążliwa, Sztompke junior wydawał się bardzo miły. Nowe, dorosłe życie witało ją z otwartymi ramionami.

Ech, młodość ma w sobie tę wspaniałą, nieska-żoną ufność we własne możliwości!... Pod tym względem Renata nic a nic nie odbiegała od normy, dlatego fakt, że pierwsze dni szły jej jak z płatka, odnotowywała z zadowoleniem, ale bez zaskoczenia. Jest młoda, może wszystko! Może pójść którąkolwiek z dróg i iść tak, że na każdej z nich znajdzie szczęście. Taką wiarę w siebie wyniosła z domu, od rodziców, może z układu gwiazd, który został jej przyznany raz na zawsze w chwili narodzin...? Jej uczucie wewnętrznego spokoju było tak silne, że nawet dość toporny system PRL-owskiej edukacji nie zdołał nim zachwiać.

Z ulicznego telefonu na kartę dzwoniła do Romy relacjonować swoje małe sukcesy.

– Hej, mam! Dzwonię, żeby powiedzieć, że Hans pod moją opieką żyje i ma się dobrze. Ja też mam się dobrze. W ciągu dnia raczej nie mam czasu się nudzić, ale staram się też codziennie uczyć czegoś nowego. Włączam radio, telewizję, biorę z jego półek różne książki i przerzucam przed snem po parę stron. Fajnie tu jest. Chyba dobrze się żyje w takim Görlitz. Wszystko mają, a gdyby im czegoś zabrakło albo coś się zamarzyło, to mogą sobie to kupić – bo i jest w sklepach, i mają forszę... I wszystko utrzymane w takim ładzie! Nieponiszczone, niepomazane... Wyższa kultura. A! Wczoraj po raz pierwszy robiłam klopsy. Boję się dawać mu twardego mięsa, żeby się nie zadławił. Co właściwie robić, gdyby się zadławił? Dziecko to wiem, zapamiętałam z jakichś ulotek z przychodni, trzeba przełożyć przez kolana główką w dół, ale ciężkawego pana?...

Renata, mimo pełnoletności, pierwszej pracy, oddalenia od domu, odczuwała potrzebę zdawania raportu; w Wałbrzychu rzucała się do przedpokoju, by już w progu oznajmić wracającej mamie: „Dostałam piątkę z matmy”. Przyzwyczajenie (a może i potrzeba) nie zmieniło się wraz z maturą.

We środę w mieszkaniu przy Hildebrandstrasse niezapowiedzianie zjawił się Gerard. Dyskretnie rozejrzał się po wnętrzu, czego Renata nawet nie miała mu za złe. To przecież uzasadnione, że sprawdza, za co płaci i jak w praktyce wygląda praca dziewczyny narajonej mu przez biuro. Renata nie była tylko pewna, w czym rzecz – bo Gerarda co rusz ciągnęło do kuchni. W końcu sprawa się wyjaśniła.

– Czy zdradzi mi pani, co tak pięknie pachnie?

„Da liegt der Hund begraben!”^[1] – pomyślała z satysfakcją po niemiecku.

– Zapiekanka z ziemniaków i kielbasy. Chce pan spróbować?

Ucieszył się jak mały chłopiec.

– Bardzo chętnie! Nie uwierzy pani, ale ten zapach... Tak pachniała kuchnia mojej mamy. Obudziła pani we mnie najlepsze wspomnienia!

No cóż. Gotowała dobrze z tej prostej przyczyny, że lubiła smacznie zjeść. W tej materii zaś na mamę można było liczyć... hm... umiarkowanie.

Tak czy owak Renata sama się rozczuliła. Jak to czasami można zupełnie nieświadomie zrobić komuś dobrze. Lub źle – bo to niestety działa też w drugą stronę. Nałożyła mu dużą porcję.

– Jak się pani pracuje? – zagadnął, przeżuując kęs za kęsem.

– W porządku, dziękuję – odparła grzecznie.
– Potrzebuje pani czegoś? Może chciałaby pani o coś dopytać?
Zastanowiła się krótko.
– Chyba nie. Nic mi nie przychodzi do głowy.
– Nie zapytała mnie pani o wychodne.
– Nie wiedziałam, że mi przysługuje... – Faktycznie nie była pewna, czy może oddalać się od swego miejsca pracy. Pewnie lepiej nie. Bo co by było, gdyby...? Nie, nie. Zdecydowanie wolą dmuchać na zimne.
– Każdemu należy się odpoczynek, w przeciwnym razie powariowalibyśmy. Czy miała już pani okazję zobaczyć miasto?
– Niestety, nie.
– Mówią, że to jedno z najpiękniejszych niemieckich miast. Trzeba je obejrzeć.
Renata się uśmiechnęła.
– Może kiedyś, kiedy nie będę miała tak odpowiedzialnych obowiązków...
– Ojciec wcześniej chodzi spać i ma mocny sen. Może przyjadę po panią dziś wieczorem i pojedziemy na starówkę?
– To... bardzo miłe z pańskiej strony.
– Proszę mi wierzyć, nie robię tego tylko dla pani. Tak ujmujące towarzystwo będzie przyjemną odmianą od codziennej rutyny.
– Cóż... Byłabym zachwycona – odpowiedziała jakąś taką podręcznikową, sztywną frazą, z której nie była zadowolona, jednak nic innego nie przychodziło jej do głowy. Ani po niemiecku, ani po polsku.
Gerard jednak nie zdradzał żadnych oznak rozczarowania. Przeciwnie, patrzył na nią ciepło, niczym ktoś, kto ma ochotę bezinteresownie sprawić jej przyjemność.
– Będę zatem o dziewiątej. Do zobaczenia.
– Do zobaczenia – odparła, siląc się na lepszy akcent i powstrzymując przed dorzuceniem „dziękuję”.

Renata była stremowana tą randką-nierandką. Brakowało jej doświadczeń z płcią przeciwną. Bagaż jej dotychczasowych dokonań z chłopakami to była mała walizka, a w niej pierwsze mokre pocałunki, z powodu niezdarności obojga niezbyt mile wspomинane, spocone z przejęcia dłonie Tomka na jej biuście w rozmiarze D, który kolegów z klasy pociągał, ale i zarazem deprymował, i przerwana w pół kroku, a właściwie w połowie uda kinowa macanka. Wieczornych spacerów nie było. Kulturalnych, kurtuazyjnych form – także. Sprawa była prosta: chodzimy ze sobą, czyli wybieramy pakiet: odprowadzanie za rękę po szkole do domu, przyspieszone oddechy w kinie, wspólne wyjścia na prywatki i nietańczenie z innymi. Jakaś sympatia tu była, jasne, ale raczej chodziło o to, że trzeba było mieć chłopaka, żeby nie odstawać od innych dziewczyn. Wypełnianie jednego z punktów na liście obowiązków nastolatki.

Renata rozmyślała nad tym wszystkim, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. To siadała na tapczanie, to się z niego podrywała. Przez uchylone okno napływało ciepłe lipcowe powietrze przesycone zapachem rosnących nieopodal lip. Cała sytuacja była niecodzienna. Dotychczas Renata nie miała problemów z oceną i decyzjami: należy zrobić tak lub inaczej. To jest dobre, to złe. To warte zachodu, a tamto można sobie odpuścić. Teraz coś się zmieniło. Renata miała mętlik w głowie. Polubiła Gerarda, szczerze. Był nieustająco miły i kulturalny. Otwarcie doceniał jej pracę, dziękował za pomoc przy ojcu. Dusza pilnej uczennicy czuła satysfakcję. Dusza młodej kobiety zaś... niepewność. Już sam fakt przebudzenia się tej drugiej był dla Renaty nowością. Musiała się oswoić z tą nową sytuacją. Było to trudne, bo działała po omacku, bez żadnych wskazówek. W szkole szło jej świetnie, jak to wzorowej uczennicy; do życia podręcznika nie było. Więc wracając do tej propozycji wspólnego wyjścia – przecież Gerard nie musi jej nigdzie zapraszać. Zaprasza, to znaczy, że chce. To znaczy, że ją lubi. Renata nagle

poczuła, że właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Gerard lubił ją bardziej niż tylko pomoc domową. Żeby dostrzegł w niej kobietę. Tak, pierwszy raz kobieta wyprzedziła uczennicę. I o ile uczennica zawsze była pewna swego, o tyle młoda kobieta składała się z samych wątpliwości.

Jedna z nich brzmiała: Boże, w co się ubrać?

Lipiec był upalny. Gęste powietrze oblepiało grube mury kamienic, warzyło gazony w parkach, wysysało wodę z Nysy. I zachęcało do jak największego negliżu.

Renata podeszła do szafy, w której rozłożyła swój skromny odzieżowy dobytek.

Dżinsy odpadały. Dres odpadał. Granatowa szkolna spódnica odpadała. Piżama także. Na nieokreśloną okoliczność „wyjściową” Renata zabrała sukienkę bez rękawów, z mnóstwem małych guzików obciąganym materiałem, która na górze tworzyła coś w rodzaju gorsetu, by w części dolnej rozszerzyć się jak spódnica krojona z koła i skończyć tuż nad kolanem. Kupiły ją z matką na stoisku w galerii handlowej. Renata nie była przekonana ani do fasonu, ani do koloru (wielkie czerwone maki na białym tle), ani do tego, jak w tej kreacji wygląda. „Trochę jak z Oktoberfest”, powiedziała mama, odsuwając przykurzoną kotarę małej przymierzalni. „Na wyjazd do Niemiec jak znalazł”. Renata wolałaby coś z India shopu, który rozpalał jej wyobraźnię, nęcąc duszącym zapachem kadzidełek i podsuwając obrazy ponętnych, tajemniczych wschodnich piękności. Mama jednak zawyrokowała, że orientalne sukienki nijak się mają do tradycyjnej, kuszącej, lecz i trochę wymagającej sylwetki córki. Stało więc na produkcie raczkującej firmy odzieżowej z Wałbrzycha. Teraz to krawieckie cudo będą mogli podziwiać mieszkańcy Görlitz.

Renata przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała tak jakoś... obco. Nie nawykła do chodzenia w sukienkach, na co dzień wołała dżinsy i kraciaste koszule, ale nie tylko o nagłą zmianę stylu tu chodziło. Renata pomyślała, że te wakacje zdecydowanie są przełomowe. Już nie jest dzieckiem, uczennicą. Przed chwilą tyle się wydarzyło: dostała pierwszy dowód osobisty, świadectwo maturalne. Jest dorosła. Wyjechała za granicę, i to do pracy – żadne wakacyjne fiu-bǫdzium – zaczyna odpowiedzialne, samodzielne życie. Nawet jej wygląd się zmienił: twarz nabrała wyrazistszych rysów, biodra się zaokrągliły. Tak, Renata widziała w lustrze kobietę, nie dziewczynę.

Biust też był zdecydowanie kobiecy. Szczelnie wypełniał dekolt, nadając krwistoczerwonym makom piękne, kuszące kształty.

Między talią a biodrami była przepisowa, czyli zdecydowana, różnica.

Materiał kończył się akuratnie, nie zdradzając żadnych tajemnic na temat tych fragmentów ciała, które zaczynały się od kolan wzwyż. „I bardzo dobrze”, skonstatowała Renata, która uważała, że uda ma zbyt pełne.

Ogólnie nie było źle. Teraz należało się zająć wierzchołkiem i dołem, czyli fryzurą i butami.

Co do włosów rozwiązania były dwa. Albo zostawić je rozpuszczone, albo upiąć w jakiś fantazyjny kok. Renata miała fryzurę à la Farrah Fawcett, z naciskiem na à la. Jej wałbrzyska fryzjerka była zakochana w *Aniolkach Charliego*, więc z zapalem namawiała Renię na uczesanie takie, jak miała jedna z głównych bohaterek. Twierdziła, że włosy Renaty są wręcz do niego stworzone: gęste, mocne, długie, lekko falowane. No a że Renata ma płaską głowę z tyłu, to cieniowanie idealnie zamaskuje ten mankament. Renia właściwie nie miała nic przeciwko – włosy bujną kaskadą spływały jej na plecy i ramiona. Szkopuł w tym, że o ile piękna Farrah miała idealnie zarysowane kości policzkowe, duże usta, ogromne oczy i wyraźnie wyprofilowane łuki brwiowe, o tyle Renia była raczej typem śląskiej kluski – okrągła, rumiana i swojska. „Ale na swój sposób ładna i ponętna”, uspokajała zawsze matka.

Postanowiła upiąć kok. Zebrała włosy wysoko, zawinęła, okręcając mocną gumką. Kilku pasemkom zostawiła wolność, co przydało fryzurze lekkości i naturalności. Całkiem, całkiem, uznała.

Za makijaż wystarczy maskara, zresztą i tak nie była mistrzynią malowania.

A buty?... W grę wchodziły trzy opcje: tenisówki, sandały albo – pożyczone od mamy – pantofle na obcasie.

Trampki były wygodne i aseksualne. Nie pasują.

Sandały – dziewczęce i bezpłciowe. Bardzo wygodne i bardzo nijakie.

Pantofle zaś... To było małe cudo obuwniczego kunsztu. Na zgrabnym, pięciocentymetrowym

obcasie, z plecionej skóry („Prawdziwej, żaden tam skaj”, podkreślała z dumą matka, która przywiozła ową zdobycz z wycieczki do Warszawy, gdzie między innymi zgłębiała zawartość stoisk na Różycu, znanym bazarze oferującym wysokiej jakości towary zachodnie) w kolorze ładnej czerwieni. Renata zabrała je „na wszelki wypadek”. Wypadek właśnie się zdarzał. Pasowały idealnie. Był tylko jeden szkopał – Renata nie potrafiła chodzić na obcasach. Nie żeby się od razu wywracała, ale zamiast ponętnego kręcenia biodrami prezentowała raczej chód na szrudłach.

„Jakoś to będzie”, pocieszyła się w myślach. Przecież idzie na spacer z mężczyzną, który może ją wesprzeć swoim silnym ramieniem.

– Wyglądasz... bardzo sztywnie. – Gerard przyglądał się jej z podziwem i uznaniem. – Polki to piękne kobiety.

Renata poczuła, że jej dekolt zlewa się kolorystycznie z makami na sukience. Nikt jej nigdy nie powiedział, że jest piękna. Nikt nie patrzył na nią z takim podziwem i atencją. To był pierwszy, prawdziwie męski komplement w jej życiu.

– Dziękuję. Jesteś taki... – Gorączkowo szukała adekwatnego słowa, które przy okazji nie będzie wyrazem z podręcznych rozmówek. Mimo wszystko chciała się zaprezentować nie tylko jako ładna, lecz także mądra. – ...szarmancki.

Gerard docenił zarówno treść, jak i formę wypowiedzi. Uśmiechnął się promiennie, ukazując dwa rzędy równych zębów. Cały był promienny: lniana koszula, odprasowana „na baczność”, dopasowane do niej spodnie, z idealnym kantem. Buty wypolerowane i wypastowane. Żywa reklama katalogu Otto.

– A zatem zapraszam na spacer po naszym Görlitz. – Wyciągnął w kierunku Renaty rękę, ujął jej dłoń i, lekko się pochyliwszy, złożył na niej delikatny pocałunek.

Renata pomyślała, że podobną scenę widziała tylko w filmach z lat sześćdziesiątych. Zagranicznych. Oraz u rodziców.

Uroczo się uśmiechnęła i pozwoliła poprowadzić się ku przeznaczeniu.

– W średniowieczu Görlitz było ważnym centrum handlowym i naukowym, położonym przy drodze handlowej Via Regia. Z tego okresu przetrwały domy o szerokich wjazdach, gdzie mieściły się zaprzęgi konne. – Gerard zachowywał się jak rasowy przewodnik, prowadząc Renatę przez piękną starówkę. Pomyślała, że chętnie by skorzystała z jakiejś bryczki. Obcasy i nierówne kocie łby to nie było dobre połączenie.

– Nasze miasto jest niezwykle. Czuć w nim ducha historii, ponieważ ominęły je wojenne zawieruchy i zachowało niezmienny układ architektoniczny oraz zabytki z różnych epok.

Renata przyglądała się mijanym kamienicom. Odmalowanym, zadbanym, ustrojonym bujnymi, kolorowymi kwiatami. Szli ładnymi alejami, mijani przez równie estetycznych ludzi.

„Jakie to wszystko odmienne od tego, co w Polsce”, pomyślała Renata. Już w Warszawie poczuła się jak uboższa krewna. Stolica w porównaniu z rodzinnym miastem jawiła się jej wielkoświatowo. Jednak przyłożona do Görlitz – jednego z saksońskich miast, urokliwego, ale przecież wcale nie najatrakcyjniejszego w Niemczech – bladła. Ze swoim nieuporządkowaniem, doklejoną po wojnie, brzydką socjalistyczną tkanką, brakiem zieleni i harmonii – nagle wydała się jej całkiem nijaka.

Renata czuła się tu, w zachodniej schludności i dobrobycie, przy boku statecznego i zapewne całkiem majątnego Gerarda, jak Kopciuszek. I też by chętnie zgubiła pantofelek, nawet oba. Piętę ma już pewnie obtartą...

– ...i ten secesyjny dom towarowy, prawdziwa perełka. Ale może już czas na jakiś odpoczynek? – Błękitne oczy Gerarda zachęcająco wskazały na mijaną właśnie kawiarnię. Z ulgą, choć skrywaną, przytaknęła:

– Oczywiście. Filiżanka herbaty to zawsze dobry pomysł.

Gerard się roześmiał:

– Ach, te różnice kulturowe. Słyszałem, że im dalej na wschód, tym więcej herbaty się pije. Ja zdecydowanie wolę kawę.

Renata raczej nie przepadała za kawą. Ta zaparzana w szklance odstręczała ją fusami oblepiającymi zęby, a rozpuszczalna smakowała jakoś plastikowo.

Kiedy jednak weszli do eleganckiego wnętrza, Renia poczuła aromatyczną, słodko-wytrawną, mocno esencjonalną kawową woń. Bardzo przyjemną. Wszystko tu tchnęło przepychem. Stylowe meble błyszczące mahoniem, satynowe obicia wygodnych foteli w gustowne bordowo-złote pasy, błyszczące blaty stolików.

Oboje wybrali to samo – kawę z kardamonem (Renata zrozumiała tylko, że to przyprawa, ale ponoć wybitnie do kawy pasująca, nadająca jej nieza-pomniane, orientalny smak) i tort wiedeński z wiś-niami.

Z głośników płynęła muzyka klasyczna, za oknami powoli zapadał zmrok. Obok, przy stolikach, siedziały pary, uśmiechając się do siebie, zgrabnie podnosząc filiżanki za kruche uszka i rozmawiając.

Renata czuła się jak Ania, bohaterka *Godziny pasowej róży*, przeniesiona z dotychczasowego życia w zupełnie inny świat. Początkowo odczuwała przede wszystkim lęk i niepewność; obawiała się swojego nieobycia, popełnienia jakiejś gafy. Czegoś, co mogłoby ją skompromitować w oczach Gerarda. Im dłużej jednak w nie patrzyła, tym wyraźniej dostrzegała w nich tylko zachwyty. Gerard na każdym kroku dawał jej odczuć, że traktuje ją z dużą przychylnością, zainteresowaniem. Owszem, przepływało przez nią to miłe drżenie, którego dziewczyna – o przepraszam, kobieta może doświadczać w obecności mężczyzny, ale także czuła się po prostu bezpiecznie. Gerard sprawiał wrażenie człowieka, któremu można zaufać, przed którym można się otworzyć. Opowiadała mu więc o swoim dzieciństwie, przedwczesnej śmierci ojca, samotnie ją wychowującej i bardzo dzielnej matce (dziwactwa i wroźby pominęła). Oraz o niedawnych egzaminach i planach na studenckie i zawodowe życie.

Gerard był pod wrażeniem.

– Jesteś niezwykłą, uroczą dziewczyną, Renate. – Przykrył jej dłoń swoją. – Spokojnie przyjmującą wyroki losu, ale nieustającą w drodze do lepszego życia. Masz plan i się go trzymasz. To takie niemieckie. – Roześmiał się.

Renata odwzajemniła uśmiech. Nabiła na widelczyk kolejną porcję mocno czekoladowego biskopta przelozonego równie czekoladowym kremem, poprzytykanym nasączonymi w alkoholu wiśniami. Smakowało wybornie. „Co za miły wieczór”, pomyślała. Nie miałyby absolutnie nic przeciwko temu, by go powtórzyć.

– Drrrr!... Drrrr!...

Krótką chwilę zawahała się, czy powinna podnieść słuchawkę. Zaraz jednak zdecydowała, że oczywiście tak. Jest tu przecież gosposią i opiekunką, zajmuje się domem, więc do jej obowiązków należy przyjmowanie poczty czy odbieranie telefonów. Kto również miałby to robić – stary Hans?... Ktoś zresztą być może dzwoni właśnie po to, by sprawdzić, czy ona jest na posterunku. A jeśli nie sprawdzić, to zwyczajnie zapytać o zdrowie rekonwalescenta.

– Halo?

– Witaj, Renato. – To był Gerard. – Dzwonię, żeby ci podziękować za uroczy wieczór. Dawno tak nie odpocząłem. I nie bawiłem się tak dobrze – dodał zaraz.

– W Polsce mówimy: „Cała przyjemność po mojej stronie”. Ale skoro i tobie się podobało, to może powiem, że dzielam przynajmniej pół przyjemności? – Renata wspięła się na wyżyny językowej ekwilibrystyki, by skonstruować to zdanie.

Gerard należycie je docenił.

– Przyjemność dzielona po połowie to dobry układ. I dobrze wróży na przyszłość.

„Przyszłość?...”

Gerard jakby odgadł jej myśli.

– Wiesz... Rozwiodłem się już tyle lat temu, że całkiem zapomniałem, jak to jest spędzać miło czas w towarzystwie kobiety.

Milczała, bo nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. O przeszłości Gerarda wiedziała niewiele – tyle tylko, że jest wolny i ma dorosłe dzieci. Czemu ma służyć ten wstęp?...

Przystojny rozwodnik chyba wyczuł jakieś zawahanie po drugiej stronie słuchawki, bo lekko zmodyfikował kurs.

– Widzisz... – westchnął. – Kiedy ma się już odchowane dzieci i przez większość czasu jest się samotnym facetem bez zobowiązań... Po prostu bywa trudno znajdować w sobie motywację, by zrobić coś fajnego. Ot, nawet pójść na spacer.

– Często nie docenia się walorów własnego miasta – przyznała Renata.

– To prawda, ale nie w tym rzecz. Ja potrafię docenić Görlitz i sporo o nim wiem, chyba udowodniłem to wczoraj, pokazując ci parę jego smaczków? Chodzi raczej... Nie chcę zabrznieć górnolotnie, ale... o sens życia w ogóle. Nie masz po co się spieszyć do domu, bo nikt tam na ciebie nie czeka. Żonie nie stygnie obiad. Dzieci nie wypatrują ojca, żeby z nim zagrać w scrabble. Ten czas już minął. Odruchowo zaczynasz więc poświęcać się pracy, bo przynajmniej ona ci się odwdzięcza. Sukcesem. Pieniędzmi.

Renata nie mogła oczywiście przytaknąć, że tak, wie, jak to jest być mężczyzną w średnim wieku, który kiedyś miał rodzinę, a teraz wie dzie samotnicze życie. Jednak fakt, że mimo widocznych atrybutów udanego życia (praca, dom, pieniądze) Gerard odczuwa smutek samotności, poruszył w niej jakąś czułą strunę.

Gerard zamilkł, a Renata uznała, że wypada coś odpowiedzieć. Tylko jak się przestawić na bardziej prywatny tryb, w dodatku przez telefon i w obcym języku. Żeby nie przedłużyć milczenia, wybąkała:

– No tak... Ale są jeszcze przecież znajomi, zainteresowania...

– Oczywiście! – przytaknął Gerard. – Mam jedno i drugie. Przyznasz jednak, że partia tenisa ze starym kumplem to niezupełnie to samo co romantyczny spacer z młodą kobietą?...

„Romantyczny!... Do czego on zmierza?...”. Umysł – a może serce – gorączkowo poszukiwały jakiegoś wzorca doświadczeń. Niestety: żadnych odwołań nie było.

– Mnie też było bardzo miło. – Już to chyba mówiła, ale zdecydowanie nie potrafiła wrócić na utarty tor rzeczowych wypowiedzi. Zawsze taka poukładana, teraz nie mogła się skupić ani sensownie skleić zdania. Co się z nią dzieje?

Po zadowolonym tonie głosu Gerarda wnioskuje jednak, że rozmowa zmierzała w założonym przez niego kierunku.

– Naprawdę? A zatem nie odmówisz chyba powtórki? Wiem, wiem, nasza starówka nie jest tak rozległa, by chodzić po niej bez ustanku. Może więc dla odmiany umówimy się na sobotę i pojedziemy na wycieczkę za miasto?

– A... co z panem starszym? – spytała, bo tak wypadało; troska o podopiecznego zajęła jednak drugie miejsce, na pierwszym znalazło się kolejne spotkanie z Gerardem.

– Widzisz, Renatko – westchnął znów. – Nim przyjechałaś, pan starszy najpierw przebywał w szpitalu, a potem, gdy z niego wyszedł, zajmowaliśmy się nim wszyscy po trochu, dorywczo, ile kto mógł. Głównie spadło to na mnie. Na początku wzięłem parę dni urlopu i przenieśliśmy się do niego, ale to nie mogło trwać bez końca. Wynająłem dochodzącą opiekunkę na parę godzin dziennie, swoją drogą to było bardzo kosztowne rozwiązanie... – zabrął nietaktownie. – Ale przez resztę czasu tata był sam. Nie dajmy się więc zwariować. Rano przychodzi pielęgniarka, obiad podadzą mu wnuki. Chyba wypada, by raz w tygodniu odwiedzili dziadka, nie sądzisz? Zostawisz im coś łatwego do odgrzania?

– Tak, jasne.

– Tata bardzo lubi pieczeń rzymską z jajkiem. Umiałabyś zrobić?

– Oczywiście – zadeklarowała, notując w pamięci, by zadzwonić do Romy po konsultację.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie o dziesiątej, zgoda?

– Tak. Będę gotowa – zapowiedziała Renata i zaraz zganiała się w myślach za tę śląską

subordynację. Do tej pory jej to nie przeszkadzało, ale teraz wolałaby być bardziej... spontaniczna? Wyluzowana? Ko-bieca?

Gerard najwyraźniej jednak nie dostrzegał walki wewnętrznej toczącej się po drugiej stronie kabła, bo z wyraźną radością w głosie odparł:

– Doskonale.

O ile wcześniej Renata nie przywiązywała wagi do kalendarza, pozwalając spokojnie płynąć dniom i nocom, o tyle teraz nie miałyby nic przeciwko temu, żeby była już sobota.

Dylemat ubraniowy dopadł ją już w piątek. Jak rozumieć to „za miasto”? Za miasto, czyli na wieś? W góry? Na łono przyrody? Czy do sąsiedniego miasta? Och, dlaczego nie dopytała go o cel? Dzwonić i pytać ponieważś wydało jej się niezręczne. Koniec końców w sobotni poranek, gdy punktualnie o dziesiątej Gerard stanął w drzwiach pod dwunastką, jego oczom, miast spodziewanego dziewczęcia w zwiewnej sukience, ukazała się biuściasta harcerka kompletnie przygotowana na biwak. Na podłodze obok harcerki leżały zwinięty pled, spakowany plecak i przewieszony przezeń sztormiak. Wiklinowy kufer piknikowy, który niespodzianie wynalazła w spiżarni, wypełniła po brzegi świeżymi bułeczkami (poleciała po nie wcześniej rano), różnymi warzywami, owocami, własnoręcznie ukręconą babką piaskową oraz pieczenią rzymską, której wyprodukowała ilości przemysłowe.

Gerard przez chwilę stał jakby oszołomiony, po czym rozjaśnił się w błogim uśmiechu.

– Jesteś wspaniała – rzekł z podziwem. – Myślałem wprawdzie o zwiedzaniu Miśnieńskiej Manufaktury Porcelany, ale wypad w góry to faktycznie znacznie lepsza myśl!

Spakowawszy wiktuały, wyjechali z miasta i pomknęli krętą doliną Łaby w stronę gór. Widoki zapierały dech w piersiach. Rzeka i droga wzdłuż niej ocierały się o skały sięgające kilkudziesięciu metrów. Nad Łabą rozciągała się pofalowana wyżyna, przypominająca Renacie polskie Góry Stołowe. Poszarpane krawędzie gór wyglądały jak mury średniowiecznych fortec ze strzelniczymi blankami. Gdy wysiedli i ruszyli wybranym przez Gerarda szlakiem, okazało się, że wnętrza masywów wypełniają istnie bajkowe labirynty.

W tych pięknych okolicznościach przyrody Renata dowiedziała się, że jest inspirująca oraz ma piękne proporcje greckiej amfory brzuchatej. Nie bardzo podobało jej się to określenie, nawet po tym jak Gerard zapewniał, iż to szlachetne naczynie nieodparcie kojarzy mu się z antyczną gracją i niosącą szczęście obfitością.

Została także pocałowana. Ich pierwszy pocałunek wystąpił w roli swoistego deseru, gdy syci wędrowni, widoków oraz wrażeń smakowych po zjedzeniu wiktuałów z przepastnego kufra rozpostarli się na pledzie, trawiąc i kontemplując. Wtedy to Gerard po serii pochlebstw (z nieszczęsną amforą brzuchatą włącznie) zręcznie, z wyczuciem chwili przysunął się do niej i złożył na jej ustach pocałunek.

Renata najpierw zdrętwiała; właściwie w takim napięciu spędziła cały poranek. Wciąż się zastanawiała, jak wygląda, zwłaszcza gdy w wąskich przesmykach Gerard podążał za nią, mogąc się jej przyglądać bez skrępowania. Najwyraźniej jednak ten widok był mu bardzo miły, czemu właśnie dawał wyraz.

Renata nie miała wielu doświadczeń erotycznych; tych związanych z pocałunkami także. A może zwłaszcza tych. Do tej pory wydawało jej się, że pocałunek to nic nieznacząca przygrywka do tego, co następuje potem. A może to jej chłopakom tak się wydawało? Po szybkim, nerwowym i dość gwałtownym spenetrowaniu jej ust zabierali się do niższych partii ciała – równie porywczo.

Z Gerardem było zupełnie inaczej. Delikatnie odsunął jej włosy z twarzy, lekko wodził palcami od czoła do brody, jakby chciał się nauczyć topografii, a potem pochylił się i ją pocałował. Lekko tylko musnął wargami jej usta – spięte jak ona sama. Odsunął się trochę, tak by spojrzeć jej w oczy. Renata nie wiedziała, co z nich wyczytał; ona zaś na chwilę zatopiła się w kojącym błękitcie jego spojrzenia. Poczwała, jak jej ciało się rozluźnia. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się. Gerard trafnie odczytał to jako zachętę do dalszych pocałunków. Było... niezwykle miło. Niespiesznie, delikatnie i... podniecająco. Może rzeczywiście podniecenie rodzi się w głowie, a nie piętro niżej?

Gerard ułożył się na wznak, wlepił wzrok w niebo, przygryzł zerwaną wcześniej trawkę

i uśmiechnął się do własnych myśli.

– Kiedy umawiałem się z dziewczętami jako młody chłopak – przemówił po chwili – nie mogłem się doczekać końca randki, żeby przejść do całowania. Zawsze jednak mogły wystąpić jakieś przeszkody: ojciec dziewczyny mógł patrzeć zza firanki, ona sama mogła nie być chętna. I całe podchody na nic! – Zerknął na Renatę. Odwzajemniła uśmiech. – Teraz, kiedy mam pięćdziesiąt lat – podjął dalej wątek – myślę, że czekanie na koniec randki nie ma najmniejszego sensu. Zresztą to już taki wiek, że wszelkie zwlekanie z przyjemnościami wydaje się ryzykowne. – Mrugnął i spojrzał ciepło na Renatę.

Głowę Renaty przecięły dwie myśli, szybkie jak błyskawice.

„Randka!” – to była pierwsza z nich.

„Ach! Pięćdziesiąt...” – zjawiała się zaraz druga.

– ...dokładnie we wrześniu – dobiegły ją słowa bez początku. Musiała się rozkojarzyć.

– Co dokładnie we wrześniu?

– Obchodzę te okrągłe urodziny.

Przez chwilę Gerard patrzył na nią w zamyśleniu, jakby przyswajając sens tych słów. W końcu ujął jej dłoń i lekko ścisnął.

– Dobrze, że będziesz wtedy ze mną – rzekł, jak jej się zdawało, bardzo poważnie. Nie zapytał jej o to, po prostu stwierdził fakt.

W drodze powrotnej Gerard powiedział jeszcze, że Renata znakomicie gotuje (faktycznie, pieczeń wyszła pierwsza klasa, a i ciasto w niczym nie przypominało maminych niewypałów), a pod domem na Hildebrandstrasse wycisnął na jej ustach jeszcze jeden przyjemny pocałunek. O ile w górskiej scenerii Renacie udało się rozluźnić i oddać zapamiętaniu, o tyle tu, przed domem seniora, wróciło skrepowanie. Szybko się jednak uspokoiła – ojciec Gerarda nie wstanie przecież z wózka i nie będzie ich podglądał zza firanek. Zresztą, czy robią coś złego?...

Po całym dniu Gerard nadal pachniał wodą kolońską, a dłonie miał suche i nielepkie. „Jak to się robi?”, zachodziła w głowę. Ona sama, trochę za ciepło ubrana na górską wędrownkę w słoneczny dzień, cała kleiła się od kurzu i potu. Najwyraźniej jednak to nie obniżało jej apetyczności.

– A może chciałabyś zobaczyć, jak mieszkam? – zagadnęła nagle, gdy już-już miała wysiąść z auta.

Faktycznie była dość ciekawa. Ale czy akcja nie rozwijała się za szybko? (Pięćdziesiąt lat! Rany...). Z drugiej strony pod względem klasy i męskiego szyku Gerard bił na głowę wszystkich, pozał się Boże, kolegów z jej byłej klasy. Na samo wspomnienie tych zarośniętych, źle ubranych, a często i ciut niedomytych typków Renata odruchowo się wzdygnęła. A potem zirytowała sama na siebie. Co to za durna sinusoida, no...?! Pierwszej randki chce i nie chce zarazem, drugiej nie może się doczekać, trzeciej się boi... Trzepie się jak... trzpiotka! A przecież ze wszystkich dziewczęńskich postaw najbardziej na świecie nie chciałaby być właśnie taką irytującą trzpiotką. Całe życie trzymała się od tego jak najdalej, nakazując sobie opanowanie i spokój. A teraz co? Zawrócił jej w głowie czy co?

Stanowczo przykazała sobie trzymać fason.

– Chętnie – odparła więc grzecznie. – Tylko chyba nie możemy tak ciągle zostawiać pana starszego samego?

Gerard pokiwał głową z aprobatą.

– Lubię tę twoją obowiązkowość. Nie obawiaj się, miałem na myśli dopiero przyszły weekend. Jutro przychodzą do mnie moje wyrośnięte dzieci... – Gerard na chwilę się zawiesił. – Właściwie to przychodzą się pożegnać. Heike dostała się na półroczne stypendium w Argentynie, a Claus namówił siostrę, żeby go ze sobą zabrała. No, i mnie też namówił. Bo przecież ktoś musi taki wyjazd sfinansować. – Gerard uśmiechnął się pogodnie. – Zgodziłem się. Bo niby kiedy zażywać przygód i podbijać świat, jeśli nie wtedy, gdy się ma dwadzieścia lat?

Argentyna!... Ot, tak sobie: syn ma kaprys i ojciec: pstryk! go spełnia. To dopiero klawe życie...

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko pokiwała głową. W środku jednak narastał w niej jakiś bunt przeciw tej cholernej niesprawiedliwości. Ona, mając lat osiemnaście, jest właśnie na swoim pierwszym w życiu zagranicznym wyjeździe. W sąsiednim kraju – do którego przyjechała do pracy.

A taki niemiecki chłystek – być może nierób i wałkoń (bo niby dlaczego siostra studiuje i dostaje stypendium, a on nie? He?!) ma do dyspozycji cały świat. Dzięki portfelowi taty i swojej bezwstydnosci, by z tego portfela, jako dorosły facet, korzystać.

W jednej chwili poczuła do synalka Gerarda gwałtowną niechęć.

Bubek. Może zresztą i siostra nie lepsza.

– To może piątek? – zagadnął tymczasem Gerard, nieświadom, ile antypatii właśnie wywołał.

Uff. Tak, piątek to był bezpieczny dystans.

– Świetnie – zgodziła się, porzucając myśli o dzieciach Gerarda. Dobrze, że wyjeżdżają. Nie będzie musiała ich poznawać ani udawać, że ich lubi. – Rozumiem, że wieczorem, kiedy pan Hans już zaśnie?

– Tak byłoby najlepiej – przyznał. – Zresztą i ja pewnie utknę w pracy do późna. Gdy będę kończył, zadzwonię i powiem, o której będę mógł po ciebie przyjechać. Może być? – spytał właściwie retorycznie.

Renata pomyślała, że pewnie tak samo grzecznie, z pozorami wyboru, wydaje polecenia swym podwładnym. W tej kwestii nie miała wszakże nic przeciwko podporządkowaniu się.

– Może być, jasne. To... do widzenia. – Kiwnęła głową na pożegnanie.

– Do widzenia. – Odkłonił się. – Szkoda, że z tak długą przerwą – dodał szarmancko.

Tydzień trochę się dłużył. Po części była to wina pogody – słońce ustąpiło miejsca chmurom i mżawce, Renata jednak zbyt twardo stąpała po ziemi, by wciskać sobie kity o pogodzie. Chodziło oczywiście o Gerarda. Czowała w związku z nim niepokój. Nie była pewna ani swoich uczuć, ani jego intencji. Do czego zmierzał? Co to miało być? Przygoda z gosposią? Wyrwanie nastolatki? Wakacyjna miłośćka? A co, jeśli naprawdę się zadurzył? Co ona na to? Czy byłaby w stanie odpowiedzieć tym samym? (Pięćdziesiąt lat!...). Uch, nie cierpiała tak nie wiedzieć. Nie wiedzieć, co sama czuje, co on czuje, co się wydarzy, co robić. Troszeczkę – ale naprawdę troszeczkę – było to ekscytujące. Poza tym – istna męka.

W piątkowe popołudnie, niespodzianie dla samej siebie, wpadła w popłoch.

Ganiła się za to i łajała: jak to jest sześć dni wyczekiwać siódmego, by potem dać się zjeść nagłemu wybuchowi nieufności? Ponieść wszystkim zasłyszany historiom o uprowadzeniach i wykorzystaniach?

Co ona o nim w ogóle wie? Ma wizytówkę, telefony, nazwisko, i co z tego? I tak Gerard może się okazać potworem, gwałciicielem, mordercą. Z Niemcami nigdy nie wiadomo. Może nie kusić losu i odwołać spotkanie? Wymówić się bólem brzucha, zęba, niepokojem o podopiecznego, czymkolwiek?

Z drugiej strony – była już z nim na odludziu i nic złego się nie stało. Przeciwnie. Było... hmm... Do cholery, chyba przed samą sobą może to przyznać??? No więc było... jak jeszcze nigdy w życiu. Pięknie jakoś. Zmysłowo. Romantycznie.

Na chwilę beztrwosko zagłębiła się w przyjemnych wspomnieniach niedawnej randki. Potem niestety znów górę wzięła racjonalna część jej natury i Renata ciężko westchnęła.

– Wilk też nie od razu pożarł Czerwonego Kapturka – mruknęła pośępnie, aż zdziwiony Hans popatrzył nań badawczo, nic nie rozumiejąc.

Przez kolejne godziny wydeptywała ścieżki po mieszkaniu, wyłamując palce i snując najczarniejsze wizje. Naraz w dużym lustrze w hallu napotkała swe strwożone spojrzenie.

No dobrze: spojrzenie było może strwożone, lecz cała reszta prezentowała się tak świetnie, że aż żal było chować ją przed światem. Godzina stylizacji miałyby ot, tak pójść na marne?! O nie. Dziennikarki tak nie postępują!

Zresztą... Co by zyskała, nie idąc? Gerard mógłby się obrazić i niczego więcej jej nie zaproponować. Nigdy nie dowiedziałyby się, co straciła. A przecież... No, dalej, bądźmy ze sobą szczerze! Była tego bardzo ciekawa!

– Chciałabym i boję się – mruknęła pod nosem, pokręciła głową, po czym zniemacka

zachichotała. Dotąd jej dojrzewanie przebiegało tak łagodnie... Może więc dopiero teraz przeżywa opóźnione burze hormonalne? Ta zmienność, to niezdecydowanie, ta ciekawość pchająca ją naprzód jak ćmę do światła... Czym to się skończy?

Do samochodu wsiadła sztywna z nerwów. W efekcie zabiegów stylizacyjnych sztywną miała również grzywkę (lakier plus żel) i rzęsy (trzy warstwy tuszu wodoodpornego Celia).

– Gerardzie – zaczęła bez wstępów oficjalnym tonem. – Zanim ruszysz, chciałabym ci coś powiedzieć.

– Śmiało. – Z fotela kierowcy popłynęła życzliwa zachęta.

Renata nabrała powietrza.

– Wiem, że to nasze trzecie spotkanie na stopie prywatnej...

Gerard uniósł brwi ze zdziwienia.

Jeszcze trochę powietrza.

– Nasza trzecia randka. – W końcu przeszło jej to przez gardło. – A z trzecimi randkami tak to już bywa... Podobno – wtrąciła szybko – że oczekuje się po nich... To znaczy, jedna ze stron może oczekiwać... Bardziej zaawansowanego rozwoju sytuacji.

Widać było, że Gerard usiłuje przeniknąć, do czego Renata zmierza.

– Wybieramy się więc do ciebie, jest piątek wieczór oraz znajdujemy się w kraju nieco bardziej liberalnym... eee... wyzwolonym niż my. To znaczy ja. Polska.

– Ty. Polska – powtórzył bezwiednie. Niedoszły potwór wydawał się kompletnie zagubiony w zawiłym toku jej wypowiedzi.

– Tymczasem ja, Gerardzie... – Przełknęła ślinę. – Jestem dziewczicą. Jeszcze. I mimo całej mojej sympatii do ciebie nie czuję się gotowa zmienić tego stanu rzeczy. Jeszcze. Na razie. Dzisiaj.

Przez moment siedzieli bez ruchu. Renata była wyczerpana wyznaniem, Gerard miał minę człowieka, na którym coś wywarło piorunujące wrażenie i który nie wie, jak zareagować.

– Dziękuję ci – rzekł w końcu, trochę bez sensu: jakby to dziewictwo zachowała aż dotąd specjalnie dla niego. – Jestem... poruszony. Nie – poprawił się. – Jestem wzruszony. A ty jesteś wyjątkową dziewczyną. Cieszę się, że cię poznałem.

Zrobił przerwę, dając jej szansę coś powiedzieć. Ale Renata nie miała nic do powiedzenia.

– Ach. I nie musimy wcale jechać do mnie, jeśli to miałyby sprawić ci... dyskomfort. Jedźmy na kolację. Znam świetne miejsce z owocami morza. Lubisz owoce morza?

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą.

– Tym lepiej! Cieszę się, że będę mógł odkryć przed tobą coś nowego. W dziedzinie kulinariów – dodał pospiesznie, na wszelki wypadek.

Od tego wieczoru, choć w dziedzinie zacieśniania bliskości nic więcej między nimi nie zaszło, Gerard zaczął zwracać się do Renaty per „kochanie”.

Jak to emocje zmieniają obraz wszystkiego! Życie w Görlitz, wypełnione obiektywnie nudnymi rutynowymi czynnościami, naraz wydało się Renacie niezmiernie pociągające. Rano wstawała, zaglądała do Hansa i jeśli on też już nie spał, podciągała mechanizm w ramie jego łóżka do pozycji siedzącej. Przy okazji poprawiała mu poduszkę i strzepywała kołdrę, rozsuwała zasłony i zależnie od pogody przemykała lub otwierała szerzej okno, które na noc, dla lepszego powietrza, zostawiała uchylone. Potem przemykała mu twarz zmoczonym ręcznikiem, przeczesywała włosy i przynosiła śniadanie. Starła się robić to wszystko, zajmując go jednocześnie niezobowiązującą a pogodną paplaniną, wychodziła bowiem z założenia, że choć niesprawny i mało kontaktowy – to przecież żywy, rozumny człowiek, któremu należą się szacunek i właściwe traktowanie.

Wizytę pielęgniarki, a po niej rehabilitantki przeznaczała na zakupy. Szła wtedy do sklepu spożywczego i na rozstawiony przed nim mały rynecek i kupowała produkty wedle własnego uznania. W tej materii Gerard pozostawił jej sporo swobody, także finansowej. Szczęśliwie starszy pan nie był ani wybredny, ani na nic uczulony, mogła więc układać mu menu według własnego widzimisię. Całkiem

jej się to podobało.

Z torbą na kółkach czuła się trochę jak emerytka, dlatego gdy nie planowała kupować nic naprawdę ciężkiego, brała po prostu wysłużony plecak. Po powrocie wstawiała obiad, a gdy stan jego przygotowania uznawała za „podgotowany”, szła z Hansem na spacer. Celem podstawowym był park wskazany pierwszego dnia przez Gerarda. Jeśli jednak pogoda była sprzyjająca, a ona sama czuła się na siłach, by popchać wózek nieco dłużej – szła dalej. Po powrocie Hans dostawał obiad, po nim zaś często zapadał w drzemkę. Ten czas wykorzystywała rozmaicie. Czasem na porządki, czasem na poczytanie książki, czasem zaś wymykała się, by z ulicznego automatu zadzwonić do mamy.

W połowie lipca podczas jednej z takich rozmów dowiedziała się, że została przyjęta na dzienni-karstwo. Mama uroczyście odczytała jej pomyślną depezę, która przysła z Warszawy pocztą. Nie szczędziła przy tym pochwał ani gratulacji.

Ona sama zaś...?

Cóż. W zasadzie nie była specjalnie zaskoczona. Spodziewała się, że tak będzie. Niemniej jej dobry nastrój jeszcze trochę się poprawił.

Wieczorami wpadał Gerard. Chwilę spędzał z ojcem, częstując go garścią aktualności i starając się wyczytać z mimiki Hansa, co on na to, potem szli gdzieś z Renatą – na kolację, na lody, na wystawę, o której Gerard słyszał, że jest ciekawa – lub po prostu na przechadzkę uliczkami, których układ pomału zaczynała znać jak własną kieszeń.

O wiele mniej natomiast znała samą siebie – dlatego całymi dniami, na różne sposoby przeprowadzała na sobie w myślach podchwytliwe psychotesty, które z grubsza prowadziły do odpowiedzi na zasadnicze pytanie:

„Czy jestem zakochana?”

Psychotesty twierdziły, że tak.

Prawdziwa bomba wybuchła w pierwszych dniach sierpnia.

Zaczęło się niewinnie. Gerard zaprosił ją do swego domu, zarzekając się, że nie chodzi o konsumpcję ich związku, ale o konsumpcję *stricte* kulinarną. Ma mianowicie kaprys ugotować swoją popisową kolację i poczęstować nią Renatę; owszem, poda do niej nieco białego wina, ale nikt nikogo nie zamierza spoić ani wykorzystać, nic z tych rzeczy... Uspokajał ją tyle razy, że Renata aż się w duchu trochę podśmiewała z tej jego ostrożności, by jej nie spłoszyć.

Nie zdradzała się jednak z tym wewnętrznym rozbawieniem, by z kolei jego nie urazić.

Mieszkanie Gerarda składało się z trzech dużych pokoi, kuchni, łazienki i pomieszczenia gospodarczego, gdzie trzymał rower i różne inne męskie akcesoria. Obszerny kwadratowy hall, z którego wchodziło się do pozostałych pomieszczeń, dawał wrażenie przestronności. Renacie bardzo podobało się to rozwiązanie, a im bardziej się jej podobało, tym mocniej była zła na polskich architektów, którzy nawet przyzwoite metraże potrafili zadusić wążuteńkimi korytarzykami, mikroskopijnymi ubikacjami, balkonami, na których nie sposób było się obrócić, nie mówiąc o postawieniu leżaka. Ech... „A ponoć jesteśmy mądrym narodem”, zgrzytała zębami.

Popisowa kolacja Gerarda składała się z pieczonego pstrąga posypanego uprażonymi płatkami migdałów, brązowo-zielonkawego sosu z drobinkami przypraw i ziół, których Renata nie potrafiła rozpoznać, oraz małych, kształtnych kuleczek z kartofli. Ciekawe, czy sam je toczył i lepił, czy korzystał z jakiegoś tutejszego półproduktu?

Wizja Gerarda turlającego po stolnicy kulki z kartofli rozśmieszyła ją dużo bardziej, niż powinna. Może to śmiech z nerwów?

Wino okazało się bardzo kwaśne i bardzo różne od tych, które popijały z Ulą i Wiolką na kolejnych klasowych osiemnastkach – nie wątpiła jednak, że właśnie to serwowane przez Gerarda, choć wykrzywiało usta i wywoływało drgawki, było eleganckie i nienagannie pasujące do ryby.

Aby nie dać po sobie poznać, że jej nie smakuje, wypiła dwa kieliszki, które chyba wytrąciły ją z równowagi bardziej niż Malaga i Wisienka pite na imprezach.

Aby nie dać po sobie poznać, że się zawstydzająco wstawiła, nie podnosiła się zza stołu, ograniczyła mówienie do minimum, poprzestając na uprzejmym uśmiechu.

Nastrój był bardzo przyjemny, letni wiatr lekko szarpał firanką, z wieży Hi-Fi ktoś jazzowo rzępolił na basie. Renata jednak nie potrafiła się beztrudnie cieszyć chwilą – była spięta. To już nie kawa przy stoliku, nie górskie wędrówki. Jest na klasycznej randce w domu mężczyzny! I to jak przygotowanej! Uśmiechała się, próbując porozplątywać skotłowane myśli. Musi rozcieńczyć wino, pijąc dużo wody. Albo wysikać. Kwestia kwad-ransa i wszystko powinno wrócić do normy.

Kto mógł przypuszczać, że to będzie kwadrans, który zmieni bieg historii?

– Zanim przejdziemy do deseru, chciałbym ci coś podarować – odezwał się nagle Gerard, gdy już ryby na ich wielkich owalnych talerzach zmieniły się w stosiki ości. Sięgnął do kieszeni swych dopasowanych, jasnych letnich spodni i wyjął z nich mały sześcianik obciążony czerwonym skajem. Uśmiechnął się zachęcająco, jak wilk do zająca, i ustawił pudełeczko przy jej nakryciu – nad talerzem, między kieliszkiem a szklanką do wody.

– Co to jest? – spytała przezornie.

– Pierścionek. Zaręczynowy – dodał dla uniknięcia nieporozumień.

Renata w mig otrzeźwiała – bez sikania i wody.

– To jakieś żarty?

– Dlaczego żarty?

– Znasz mnie miesiąc... Dzieli nas... wiele. Bardzo wiele.

Serce kołatało jej jak chyba nigdy w życiu.

– Przez ten miesiąc widywaliśmy się niemal codziennie, po parę godzin. I nigdy niczym nie wzbudziłaś moich podejrzeń co do swojej szlachetności.

„Szlachetna amfora brzuchata” – gdzieś z najdalszego zakamarka w głowie Renaty natychmiast wyskoczyła wredna myśl, ale przegoniła ją stanowczym machnięciem dłoni.

– Mimo wszystko to bardzo krótki czas... – wyjąkała. Serce nadal galopowało.

– Pamiętasz? W moim wieku już się nie zwleka z tym, co najlepsze. Przykład mojego ojca także pokazuje, że z dnia na dzień wszystko może się zmienić. Na co więc czekać?

Rany boskie. W jej przypadku – na wszystko. Całe życie stało przed nią otworem. Mogła wybrać dowolną z licznych dróg. Dlaczego miałyby decydować JUŻ? Owszem, była zakochana, ale... Czy gotowa na poważny związek? Na NARZECZEŃSTWO...? Brzmiało to niesłychanie zobowiązująco. Zarazem jednak kusilo niczym nagroda. Jak odpakowywane z papierka pudełko, w którym czeka niespodzianka. Żadna z jej koleżanek nie miała nawet stałego chłopaka, z którym wiązałyby przyszłość – a ona, Renata, proszę, w jednej chwili może mieć narzeczonego.

I to obcokrajowca!

Tylko – czy chce? Przecież od zakochania czy zauroczenia (jakże to odróżnić?) do ślubu droga jeszcze daleka.

Sekundy mijały. Robiło się niezręcznie. Gerard patrzył na nią tymi źródlanymi oczami i cierpliwie czekał.

Bliska paniki postanowiła przerzucić odpowiedzialność na niego.

– Jesteś pewien, że tego chcesz?... – dopytała. Dziennikarstwo to przecież drażnienie i dociekanie. Zasięki z pytań, w których wcześniej czy później rozmówca, jeśli próbuje mataczyć, ugrzęźnie.

– Jestem pewien, Renato – odparł jednak poważnie Gerard. – Podobasz mi się. I to nie w taki płytki, powierzchowny sposób. Podobają mi się zalety twego charakteru, rzekłbym nawet, przymioty ducha. Jesteś taka... niezmanierowana. Umiesz doceniać, umiesz być wdzięczna. To piękne cechy. Czuję, że podobałoby mi się spędzić... no, powiedzmy, jesień mego życia w towarzystwie kogoś tak niezep-sutego.

O rrrany... Renacie z powrotem wino zaszumiło w głowie tak, że w końcu nie wiedziała, czy wszystko dobrze rozumie. Chyba jednak wolałaby, żeby wymienił inny zestaw z asortymentu jej pięknych cech. Jest coś takiego w kobiecie, co każe jej domagać się zgoła innego typu męskiego zainteresowania. Kobieta, nawet niewinna i osiemnastoletnia – a może zwłaszcza taka? – pragnęłaby uwielbienia, dostrzeżenia w niej głębokich pokładów seksapilu i atrakcyjności. Nie – zdecydowanie nie chcemy, żeby się zakochiwali w „przymiotach naszego ducha”. Chcemy porazić ich ciałem, urodą,

wdziękiem – niech „męski ściele się trup”.

Po prawdzie Gerard nie miał dotąd okazji podziwiać kompletnego piękna jej ciała. Ale od czego, u licha, jest wyobraźnia, polot i opięte bluzeczki? Niechby skłamał, nagiął fakty, wygłosił fałszywy pean o jej pięknych oczach, włosach, a choćby i piersiach... Zresztą już przecież mówił o „pięknych Polkach”. Najwyraźniej jednak propozycja małżeństwa musiała się opierać na bardzo solidnych podstawach. Gerard był Niemcem, do tego z górą od trzydziestu lat zajmującym się księgowością. Czego mogła się spodziewać? Był precyzyjny, rzetelny i prawdomówny, i to właśnie były jego zalety. Jego „piękne cechy”.

– Mogę? – zapytał, wskazując na pierścionek, a potem na jej dłoń.

Przejął inicjatywę. A więc dobrze. Formalnie nie powiedziała „tak”. Ściśle rzecz ujmując, on też przecież nie zapytał, czy zostanie jego żoną. A zaręczyny... No, zaręczyny to dopiero przedpokój. Z którego, jakby co, zawsze jeszcze można wyjść.

W gruncie rzeczy odetchnęła z ulgą, że to on zdecydował.

– Skoro tak, to... chyba tak... Proszę. – Podała mu rękę, a on wysuwał z pudełeczka gustowne złote cacko i zainstalował je na jej prawym palcu serdecznym.

– I jak? – spytał z mikroskopijnym odcieniem niepewności.

– Fajnie – odpowiedziała, a on serdecznie się roześmiał.

– Sama widzisz, jaka jesteś fajna, Renato!

Pierścionek troszeczkę pił ją w palec. Pocieszała się myślą, że może są obrzmiałe teraz, wieczorem, po upalnym dniu, sutej kolacji i winie. Poza tym bowiem drobnym dyskomfortem musiała przyznać, że upierścieniona dłoń prezentowała się dostojnie.

Nagle zrobiło jej się bardzo, bardzo przyjemnie.

Dziewczyny padną!!!

Następnego dnia, gdy tylko do Hansa przyszła pielęgniarka, Renata wybiegła z domu, by zadzwonić do mamy. Musi jej powiedzieć o zaręczynach. Szczegóły ostatnich dni zachowa dla siebie, przecież jest gdzieś granica zwierzania się mamie, nawet bardzo kochanej, zresztą automat tak szybko połyka impulsy. O tej porze musiała złapać ją w pracy, wyszperała więc w adresowniku numer, którego nie знаła na pamięć.

– Siedzisz? – upewniła się na wstępie.

– Co proszę? A, to ty, kochanie! No, siedzę, siedzę, oczywiście, że siedzę, a co bym miała robić w pracy na stojąco?

– No to uważaj. Zaręczyłam się. – Renata poczuła się jak bohaterka dziewiętnastowiecznego romansu, nawet lekko się przy tym zaczerwieniła.

– Mów wyraźniej, Reniu, bo coś trzeszczy.

W takich warunkach telekomunikacyjnych romantyzm był jednak na straconej pozycji.

– Gerard Sztompke, mój pracodawca. Oświadczył mi się. Dał mi pierścionek zaręczynowy – oznajmiła więc głośniejszym i zdecydowanym oficjalnie.

– Na Boga, tak mu się poprawiło pod twoją kuratelą?! Reniu, może ty masz bioenergię jak Kaszpirowski?

– Jakie „poprawiło”? O czym ty mówisz?

– No przecież prawie nie było z nim kontaktu, a tu nagle po miesiącu z tobą nie dość, że ożywa, to jeszcze się oświadcza! Ależ historia! Jak u Barbary Piaseckiej-Johnson!

Z braku mamy pod ręką Renata potrząsnęła słuchawką.

– Halo, mammo, skup się!!! Gerard!!! Syn Hansa! Nie ten stary, tylko jego młody syn. Młodszy. To znaczy jedyny syn, młodszy od niego, od swojego ojca.

– Co w tym niezwykłego, że syn jest młodszy od ojca? Reniu, czy ty się dobrze czujesz? Nie złapałaś tam czegoś?... Lub może nazbyt się forsujesz...

– Mammo, co miałam złapać, co ty pleciesz? No Gerarda w pewnym sensie złapałam.

Niezamierzenie. On... Faktycznie od początku poświęcał mi sporo uwagi i czasu, ale myślałam, że po prostu chciał być miły...

– Moja niewinna córeczka – rozczuliła się Roma z odcieniem dumy, którą czuje każda matka, gdy córka zdobywa „dobrą partię” – zwłaszcza w tak niewyrachowany sposób, ot, mimochodem, samym tylko urokiem osobistym (vel: „pięknymi cechami charakteru”).

– Mamo, ty się nie rozczulaj, ty mi lepiej powiedz, co mam zrobić, zanim mi się skończą impulsy!

– Jak to, co masz zrobić? Przecież chyba już coś mu odpowiedziałas?

– Nnnoo... Przyjęłam pierścionek.

– Ach!... – Romie wyrwało się westchnienie – nie wiadomo: zachwytu, wzruszenia czy grozy.

– Pewnie chciałabyś coś o nim wiedzieć? – spytała ostrożnie Renata.

Przez ostatni rok przyzwyczaiła ciągle troszczyć się o mamy uczucia, samopoczucie, dobrostan. Dlatego i teraz pospieszyła z tym pytaniem, gotowa uspokajać, koić, mówić o Gerardzie w samych superlatywach. Była tylko Roma się nie martwiła.

– Oczywiście, że chciałabym – usłyszała po chwili. – Z drugiej strony córuś... Skoro, kto jak kto – ale ty go pokochałaś i przyjęłaś – to on musi być chyba bez zarzutu. Chyba że... – Roma przez moment się nad czymś zastanawiała. – Powiedz mi, słonko, czy ty jesteś w nim bardzo, ale to bardzo nieprzytomnie zakochana?

Takiego pytania nie przewidywała. Sobie samej zadawała je milion razy, ale sobie, w duchu, odpowiada się inaczej niż rodzicielce. Przez telefon. Szybko przeczesła myśli w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi.

– Jestem... Ale nie nieprzytomnie – wybrała w końcu.

– Cała Renia – skwitowała mama. – Wobec tego jestem spokojna.

I to jej musiało wystarczyć – bo w tym momencie telefon trzykrotnie ostrzegawczo zapikał, po czym połączenie zostało przerwane. Renata wyjęła zużytą kartę i wyrzuciła ją do kosza.

Lekkość bytu gdzieś pierzchła i Renata wpadła w dziwny stan. Owszem, nadal była szczęśliwa – lecz zarazem czuła ciężar odpowiedzialności, decyzji, których przed samą sobą jeszcze nie podjęła, niewiadomej, która ją czekała. Gdy próbowała myśleć, jak będzie wyglądało jej życie u boku Gerarda – wyobrażnia odmawiała jej posłuszeństwa. Zabrakło jej punktu odniesienia, odwołania do czegośkolwiek, co już przeżyła. Jaki ten ujmujący człowiek może być na co dzień? Czy schludność, majątność i dobry start to wystarczające argumenty, żeby wyjść za kogoś za mąż? Z drugiej strony – czy jakikolwiek facet okazał jej kiedyś więcej zainteresowania, czasu lub delikatnej czułości?

Może to zresztą nie było szczęście, lecz satysfakcja. I duma. Że znów jest w czymś pierwsza w klasie. Chociaż ta klasa właściwie przestała już istnieć.

Wieczorem, uzbrojona w nową kartę, jeszcze raz wybrała numer do mamy. Tym razem – domowy.

– Mamo, przerwało nam, więc dzwonię jeszcze raz – wyjaśniła na wstępie.

– Czułam, że zadzwonisz. Dlatego siedzę w domu i czekam – odparła Roma.

– Myślisz, że dobrze robię? – zapytała wprost. Nie ma co owijać w bawełnę, jeśli impulsów starczy za ledwie na jakieś dziesięć minut.

– Rozmyślałam dzisiaj nad tym. Wszystkie się rozmyślałyśmy, bo oczywiście powiedziałam dziewczynom, żeby się wspólnie naradzić.

Renata jęknęła.

– Czyli cały urząd już wie?

– Nie desperuj, nie cały, tylko jeden pokój. Co pięć głów, to nie jedna.

Renata powściągnęła już, już wypływającą na czubek języka uwagę o szybkości rozchodzenia się plotek i skupiła się na meritum.

– No i co uradziłyście?

– Że słusznie robisz. Nie można lekką ręką odrzucać to, co los podaje na tacy. Teraz, kiedy jesteś młoda, wydaje ci się, że takie propozycje, takie okazje będą się zdarzały przez całe życie. Ale tak nie jest. Przegapisz jedną – druga może nie nadejść...

– Myślisz, że aż tak ze mną źle? Że tylko jeden desperat na ziemi jest gotów się ze mną ożenić?

– Oczywiście, że nie. Ale co będą mogli ci zaoferować chłopcy stąd? Czy nawet z Warszawy? On jest pewnie majątny, wykształcony, osadzony w dostatnim, spokojnym kraju. To jest zupełnie inna jakość. Inny start, inny status, inny standard życia. Niejedna pannica piętami po dupie by się biła!

Renata wyczuła w tym wyraźne, pragmatyczne doradztwo pań z departamentu mamy i skrzywiła się z niesmakiem. Ku własnemu zdumieniu odkrywała w sobie nieuświadomione dotąd pokłady romantyzmu – i te pokłady domagały się właśnie matczynych łez wzruszenia, ba – nawet bólu, że oto córka odchodzi z maminych ramion w inne, męskie – a tu nic. Roma, z pomocą koleżanek z działu, z miejsca gładko obsadziła się w roli teściowej majątnego Niemca.

Renata miała więcej dylematów.

– No dobrze. A studia?

– A kto powiedział, że musisz z czegoś rezygnować? Co to, w Niemczech nie ma uniwersytetów?

– No są, mamo, pewnie... ale... w Polsce już mam papier w kieszeni. A dostanie się na niemiecką uczelnię może nie być takie proste.

– Dla żony niemieckiego obywatela? Dajże spokój!

– Poza tym nie wiem, jaki tu jest system rekrutacji... a jeśli będę miała rok w plecy?

– Na pewno są jakieś jesienne dogrywki. Tyle że...

– No, nie kończ tak, mamo, niedopowiedzeniami, to nieznośne! Zwłaszcza gdy w każdej chwili może nam przerwać połączenie!

– Nie kończę, tylko myślę! No więc może nie byłoby źle, byś przystępując do tych jesiennych dogrywek, była już panią Sztompkową?

Sierpień toczył się w leniwym, letnim rytmie. Pięćdziesięcioletni narzeczony umiłwał Renacie czas, wożąc ją po wszelkich możliwych atrakcjach Saksonii. Z każdej z wypraw wracali z jakimś suwenirem: a to z puzdreczkiem z miśnieńskiej porcelany na klejnoty, których Renata póki co nie posiadała; a to ze skrzynką wina z jednej ze stylowych winiarni – nie tyle na wesele, którego nie planowali, ile do częstowania przyjaciół, gdy będą wpadali z pierwszą wizytą do nich jako pary; w ostateczności z kolejnym magnesem „na wspólną lodówkę”. Niepodjęte decyzje Renaty były spychane w coraz ciemniejsze zakamarki podświadomości. Gerard zachowywał się, jakby nie było żadnych niepodjętych decyzji, a wszystko zostało już postanowione i ustalone. Skąd zresztą mógł wiedzieć, co się dzieje w Renacinej duszy?... Nie wiedział – tak jak żaden mężczyzna na tej planecie nie jest świadom tego, co w głębi ducha przeżywa i myśli jego kobieta.

Nieświadomość to dobry stan. Nie obciąża i nie deprymuje – toteż pewnego dnia pod koniec miesiąca Gerard zaproponował, aby pojechali do urzędu ustalić termin ślubu oraz zasięgnąć języka co do formalności.

Śluby najwyraźniej nie były ulubioną rozrywką mieszkańców Görlitz: wszystkie terminy wrześnie były jeszcze dostępne. Urzędniczka poradziła im jednak wybrać jak najpóźniejszy, by Renacie – a dokładniej upoważnionej przez nią Romie – udało się zdobyć i dostarczyć do tej pory wszystkie potrzebne dokumenty.

Zaklepalii ostatnią sobotę miesiąca – dwa dni po okrągłych pięćdziesiątych urodzinach pana – hm – młodego.

Klamka zapadła.

Niezauważalnie nastał wrzesień. „Na Zachodzie to nawet jesień jest ładniejsza”, pomyślała Renata, wioząc przysłego teścia na spacer po parku. Słońce wciąż przyjemnie przygrzewało, pogodnego błękitu nieba nie przesłaniały żadne chmury. Zmianę pory roku zdradzały tylko liście drzew, które utraciły swą soczystość i teraz wyglądały jak sfotografowane na kliszy Orwo.

Starszy pan przysnął, więc Renata uznała, że i jej się należy chwila odpoczynku. Usiadła na

pobliskiej ławce. Popatrywała na swojego podopiecznego. Sztompke junior był bardzo podobny do Sztompke seniora. Narzeczonym radzi się, żeby przyjrzeni się matkom swoich wybranek – już dziś będą wiedzieć, co ich czeka w przyszłości. „Jeśli ta zasada działa i w męską stronę, to ciekawe, czy za dwadzieścia–trzydzieści lat też będę siedziała pod tym platanem, tyle że w towarzystwie Gerarda na wózku obok”, pomyślała Renata. Nagle zrobiło jej się chłodno. Nie wiadomo skąd przygnało szary posępny obłok, który właśnie zakrył słońce, by po chwili popłynąć dalej.

Trzydzieści dwa lata różnicy. Mąż starszy od swojej teściowej. „Jak się pospieszymy, to dziecko będzie świętować początek roku szkolnego razem z sześćdziesiątymi urodzinami ojca. I nie będzie musiało chodzić na świetlicę, bo emeryci mają dużo wolnego czasu. Lepiej, żeby to była córka, bo syn na pewno by chciał grać w nogę, no a wiek ma przecież swoje ograniczenia. Ciekawe, czy osiemdziesięciolatekowie to wciąż jeszcze uprawiają seks?...”. Dręczące myśli opadły Renatę niczym gzy. Przyszłość mogła wcale nie być taka różowa. No ale przecież mama zawsze powtarzała, żeby się nie grzebać w przeszłości i nie wybiegać myślami do przodu. Ważne jest tu i teraz. No właśnie – intrygujące, jak tam z seksem u pięćdziesięcioletnich (prawie) Niemców. Renata wciąż pozostawała dziewicą. Gerard był niezwykle nienachalny, co w sumie nawet Renatę dziwiło. Koledzy, z którymi nawiązywała bliższe relacje, byli maniakalnie zainteresowani jej ciałem. Od razu chcieli ją dotykać, wachać, wchłaniać i pochłaniać. Pospiesznie, bez zwłoki. Jej krągłości działały na nich jak najsilniejszy afrodyzjak. Jasne, młodość ma swoje prawa, ale i wiek średni pod pewnymi względami jej nie ustępuje. Renata pamiętała rozmowy matki z panią Krysią, sąsiadką z naprzeciwka, na temat pana Poszkego, który nagle przestał wracać z pracy do swojego mieszkania na parterze. „Głowa siwieje, dupa szaleje”, sentencjonalnie podsumowała to zniknięcie pani Krysia. Okazało się bowiem, że pan Poszke, gnany instynktem, potrzebą, odwiecznym zewem, opuścił małżonkę równolatkę i udał się do nowej pani, która była bardzo młoda i już w ciąży z panem Poszkiem. „Imperatyw. Wola życia, druga młodość. Z naturą nikt nie wygra, a już na pewno nie pani Poszke”, przytaknęła Roma, wysyłając Renatę do pokoju, by odrobiła lekcje.

Gerard wydawał się jakby zaimpregnowany na tę odwieczną siłę, która popycha świat do przodu, każąc samcom kochać się i zapładniać. A może to dlatego, że Renata go nie zachęcała? Umówili się, że konsumpcja nastąpi dopiero po ślubie; Gerard zgodził się na tę prośbę narzeczonej, ale może nie z powodu spokojnego libido, lecz właśnie dlatego, by uszanować wolę dziewicy, która chce swój wianek przenieść przez próg małżeńskiej sypialni? Sam ślub pewnie będzie psychicznie obciążający, bo wtedy poznają się wszyscy ze wszystkimi – dzieci Gerarda z nią, Roma z nowo nabytą niemiecką rodziną. Renata sądziła, że taką zapoznawczą okazją będą urodziny przyszłego męża, ale Gerard wyznał, że chciałby je spędzić narzeczeńsko i kameralnie, tylko we dwoje. „Przygotuję coś specjalnego i romantycznego”, wyszeptał czule i Renata ochoczo na to przystała.

Czas płynął spokojnie. Pięćdziesiąt lat pobytu Gerarda na tym świecie stało się faktem. Renata właśnie dopijała herbatę (pamiętał, jaki kochany) po bardzo dobrym obiedzie, zwieńczonym tortem wiedeńskim kupionym w tej samej kawiarni, w której byli na pierwszej randce. Gerard wspiął się na wyżyny sztuki goszczenia. Stół był elegancko nakryty satynowym obrusem, oświetlony delikatnym blaskiem świec i ukwiecony czerwonymi różami.

– Gerardzie, jestem pod wrażeniem, naprawdę. Tak to wszystko pięknie przygotowałeś – szczerze wyznała Renata, patrząc, jak pod wpływem tej pochwały usta narzeczonego składają się do szerokiego uśmiechu. – Tym bardziej jest mi przykro, że niczego ci nie przyniosłam w prezencie. Umówiliśmy się, że sam sobie coś wybierzesz w tym antykwariacie na rynku, bo ja przecież na literaturze niemieckiej się nie znam, ale nie udało nam się wczoraj tam wybrać i...

– Renate, och, Renate... – Gerard wstał od stołu, okrążył go i klęknął przy jej krześle, ujmując ją za dłoń. – To nie ma znaczenia. Ważne, że jesteś tu ze mną. Przedmioty to sprawa materialna, liczą się ludzie i to, co między nimi...

Renata pomyślała, że jednak wygrała los na loterii życia. Wszelkie obawy nagle skarłały.

– ...choć jest coś, czymbyś mogła mnie obdarować – szepnęła, patrząc jej w oczy.

Nim Renata zdążyła coś odpowiedzieć lub nawet pomyśleć, Gerard podniósł się i delikatnie

pociągnął ją w kierunku korytarza, a następnie w stronę sypialni.

Renata oniemiała. Na dużym łóżku, starannie zasłanym beżową połyskliwą pościelą, widniał napis złożony z płatków róż: *Ich liebe dich*. Małe szkarłatne płatki fantazyjnie pokrywały także kremową wykładzinę na podłodze.

– Poczekaj – szepnął Gerard, wyciągając z kieszeni pudełko zapalek i zapalając po kolei porostawiane tu i ówdzie świece. Zgasił górne światło i odwrócił się do narzeczonej: – Renate, żaden prezent nie może się równać z tym, co ty mi możesz ofiarować. Wiem, że umówiliśmy się na noc poślubną, ale po czekających nas emocjach, dniu pełnym wrażeń, zmęczeniu... możemy nie być w stanie celebrować tej chwili odpowiednio. Dziś jest zupełnie inaczej. I okazja taka uroczysta...

Renata stała w progu sypialni z bijącym głośno sercem. Nie wiedziała, co powiedzieć, bo chyba nie do końca wiedziała, co czuje. Lęk, zaskoczenie, ciekawość, podniecenie?... Była po prostu zupełnie nieprzygotowana na taką propozycję. No a z drugiej strony, jak by się miała przygotowywać? Wisłocką już przeczytała, wiedziała, jak przebiega defloracja – co za okropne słowo, techniczne, a nie romantyczne. Wcześniej nie wrywała się do tracenia dziewictwa, bo chłopcy, którym by to zadanie przypadło w udziale, byli tak samo niedoświadczeni jak ona, a taka nieporadność nie wróżyła niczego dobrego. Ale Gerard – mężczyzna dojrzały, ojciec dorosłych dzieci. Na pewno więc wszystko pójdzie jak z płatka. Poza tym Gerard ją kocha, chce być jej mężem. Ma wobec niej, jak to się ładnie mówi, poważne zamiary. No i właściwie, właściwie to... by chciała. Spojrzała raz jeszcze na krwistoczerowne listki układające się w miłosne wyznanie i odparła:

– *Ja*, Gerardzie. Tak.

W trzeciej klasie liceum kupiły na spółkę z koleżankami harlekina. Po tej lekturze miała ugruntowany obraz miłosnego zapału poprzedzającego akt seksualny: on ma rozpalony wzrok, szybszy oddech. Namiętnie wpija się w jej usta, jedną ręką podtrzymując głowę, drugą zaś sprawnie odpina kolejne haftki gorsetu, by w ekspresowym tempie uporać się z resztą odzieży. Potem rzuca ją na łóżko, pościel się kotłuje, ona wzdycha, on jęczy. Jest gwałtownie, parno, emocje buzują.

Gerard najwyraźniej nie czytywał harlekinów, tylko niemieckich klasyków. Do sprawy wziął się subtelnie. Najpierw sam się rozebrał, starannie odwieszając spodnie, koszulę i marynarkę na krzesło. Potem, wciąż jeszcze w slapkach, podszedł do Renaty.

– Pozwolisz? – zapytał, ujmując w palce pierwszy mikroskopijny guzik sukienki w maki. Cóż, producent nie przewidział, by mniej sprawne i grubsze męskie palce przeciągały okrągłe guziczki wielkości groszku przez wąskie otwory obrzucone ścisłym ścięciem. Gerard chwilę posapał, pomiętosił guzik i poprosił: – Mogłabyś?...

Renata zabrała się więc do rozdzielania samodzielnie. Sukienka w patriotycznych kolorach i wzorze przywołującym na myśl Monte Cassino wylądowała na wykładzinie. Gerard z przeproszającym uśmiechem schylił się i odłożył ją na krzesło. W tym czasie Renata uwolniła piersi z solidnego i wygodnego, lecz niedostarczającego szczególnych podnieć erotycznych biustonosza. Została w samych figach.

Gerard z zachwytem i – jak udało jej się dojrzeć – podnieceniem wpatrywał się w jej biust.

– Jesteś... jesteś... przepiękna! Twoje ciało to dzieło sztuki!

Rzeczywiście coś było na rzeczy. Gerard bowiem kontemplował, lecz nie dotykał – jak w muzeum.

– Może się położymy?... – Renata na chwilę przejęła stery. Nie czuła się komfortowo, tak wystawiona na oglądanie.

Odsunęła kołdrę. Czerwone płatki spłynęły po śliskim materiale.

Gerard dołączył do niej.

– Ach, *nein!* – Wstał, szybkim ruchem ściągnął slipy, przez chwilę bijąc się z myślami, czy pozwolić im niechlujnie leżeć przy łóżku, ale emocje wzięły górę i natychmiast wrócił na materac, przysuwając się do Renaty.

– Renate, Renate... – wyszeptał, drżącą ręką dotykając jej piersi. – Jesteś prze-cu-dow-na. *Wunderbare Erscheinung*. Te piersi to ósmy cud świata. Zapowiedź rozkoszy. Źródło życia. Mogłyby

wykarmić Romulusa i Remusa, i cały rzymski ród. Oraz mnie. – Po tych słowach zaczął ją całować, zrazu nieśmiało, potem jednak coraz zapalczywiej i namiętniej. Tama nieśmiałości i skrepowania pękła. Gerard sapał, pojękiwał, ssał, lizał, głaskał, ścisnął. Miłosny amok powoli udzielał się także Renacie. Odwzajemniała pieśczoły, trochę może nieporadnie, ale peszyło ją to tylko przez chwilę. Lęk przed bólem defloracji odpływał, ustępując miejsca narastającemu podnieceniu. „Doświadczenie w *ars amandi* jest jednak nie do przecenienia”, pomyślała, ściągając figi, które w okolicach kolan zsunęła stopą i posłała w kierunku komody.

Kiedy oboje byli już rozgrzani, zaróżowieni i gotowi na kolejny etap, Gerard z mocą oświadczył:

– *Ich muss das haben!* – Wbił wzrok we wzgórek łonowy Renaty połyskujący wśród alabastru jej ciała.

Renata przyzwalająco pokiwała głową. Ułożyła się na wznak i rozsunęła nogi, zapewniając Gerardowi komfortowe warunki do działania. Zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki i oczekując na zapowiadany przez Wisłocką ból. Gerard złożył na jej ustach gorący pocałunek, wsparł się na przedramionach i natarł na nią. Renata cicho krzyknęła, bardziej z przejęcia niż przykrego doznania. Po króciutkiej chwili napięcia tkanka pękła i dopuściła Gerarda do rozkoszy Reninego sekretu. Renia zaś, wciąż jeszcze spięta, zaczęła odczuwać coś przyjemnego. Początkowe tarcie ustępowało płynnemu sunięciu, wywołującemu miły dreszcz. Wszystko szło w nieznaną, ale z pewnością satysfakcjonującą stronę. Pośladki Gerarda pracowały coraz energiczniej. Po plecach spływała mu strużka potu. Twarz, zazwyczaj blada, nabrała mocnych kolorów, właściwie zaczynała dorównywać czerwieni rozspanych po sypialni kwiatów. Renata zaś powoli już przeczuwała, czym jest ten tak przez wszystkich upragniony orgazm. Jej ciało także zaczynały przeszywać dreszcze, tętno przyspieszyło, piersi pokrył perlisty pot. Jeszcze chwila, chwileczka...

– Ach! – Ciszę przeszył nagły spazm. Twarz Gerarda zastygła w grymasie uniesienia, jakiejś błogości przemieszanej z bólem.

„Więc to takie emocje”, przeleciało Renacie przez głowę. Była już tak blisko swojego celu, że nie chciała dłużej czekać na spełnienie.

– Nie przerywaj, Gerardzie, *noch nicht* – wyszeptwała, zaciskając dłonie na kołdrze.

Gerard jednak głośno westchnął, przymknął oczy i osunął się, składając głowę na jej piersiach.

– Nie, Gerardzie, proszę – wyszeptwała już trochę głośniejsze.

Pozostawał jednak niewzruszony.

– Gerardzie?...

Żadnej odpowiedzi.

– Gerard!

Zsunęła go z siebie; nie podniósł głowy, nie odezwał się.

– Gerard! – krzyknęła.

Odpowiedzią była cisza.

Podbiegła do ściany, by zapalić górną lampę.

Ostra biel światła zalała pokój.

Renata wróciła do łóżka. Gerard wciąż leżał z twarzą w poduszce. Przewróciła go na wznak. Oczy miał otwarte, lecz nie patrzył na nią. Jego wzrok był nieruchomo utkwiony w jakimś punkcie na suficie.

– Gerard, Gerard, proszę!

Narzeczony się nie poruszył. Zupełnie jakby miłosny akt wyssał z niego całe życie.

A co jeśli?...

Nie, to nie może być prawda. No skąd, jak?

Renatę ogarnęła panika. Zaczęła Gerarda szarpać, krzyczeć. Próbowwała wyczuć puls – na przegubie, na szyi. Bezskutecznie. Przysunęła usta do jego ust, oczekując minimalnego choć oddechu. Na próżno. Wypatrywała najmniejszego choćby ruchu klatki piersiowej. Nic.

Gerard nie żył.

21 czerwca 1992 roku

W domu kobiet samotność też jest kobietą.

– To dziewczynka!!!

– Brawo, dziewczyno, pięknie się spisałaś! Siła młodości!

– I bioder! Z takimi biodrami mogłaby urodzić żrebaka!

– Żadnego mędrzenia, użalania się. Parłaś do przodu jak czołg! I słuchałaś nas pięknie, co kiedy trzeba robić. Zawsze mówię, że słuchanie położnych to podstawa sprawnego porodu!

– No, masz tu, mamó, swoje szczęście. – Bęc, na jej piersi trafiło zawiniątko z małą żabką. Niby wyglądało jak człowieczek, ale układ nóg i tułowia bezsprzecznie należał do żabki. Odruchowo ni to przytrzymała, ni to przytuliła żabko-ludzika.

„Mamo”?...

Roma ze zdenerwowania już nie wiedziała, co ma robić. Wypucowała na błysk i tak już wcześniej czysty pokój Renaty. Jeszcze raz sprawdziła całą wyprawkę noworodka – niestety wszystko było już uprane i wyprasowane. Przejrzała znalezione we wspólnej kuchni gazety, zapisując sobie w pamięci, żeby odwiedzić właśnie otwartą w Warszawie pierwszą w Polsce restaurację z szybkim jedzeniem, której „Super Express” poświęcił całą stronę: „Nawet władza lubi jeść w McDonald’s”. Dwóch miłych mundurowych pozowało na tle służbowego poloneza, machając czerwonymi chorągiewkami z żółtym napisem. Potem wzięła z półki jakąś książkę – ale czytać w takim napięciu nie sposób. Roma zresztą w ogóle niewiele czytała. „Za energiczna jestem na czytanie” – mawiała i była w tym jakaś prawda.

Od ośmiu dni półlegalnie waletowała w akademiku. Półlegalnie – bo niewielkim zwitkiem banknotów oraz ciekawą wróżbą przekonała woźną do przymknięcia oczu. Pod koniec czerwca akademik i tak świecił pustkami. Dwie studentki polonistyki, z którymi Renata dotąd dzieliła pokój, po zaliczonej w pierwszych terminach sesji spakowały manatki i odjechały na zasłużone wakacje w rodzinne strony. Szczęściarzy.

W ich miejsce wnet wpasowała się Roma.

Co rusz podchodziła do okna, jakby to stamtąd miała nadejść wiadomość, po czym nerwowym krokiem wracała do stołu. Nijak nie mogła usiedzieć, dlatego na stojąco ułożyła więc trzy pasjanse, a dla pewności jeszcze zadała pytanie wahadełku:

„Czy. To. Już?”.

Kiedy pasjanse i wahadełko zgodnie potwierdziły, że „już”, w wielkim pośpiechu złapała torebkę, sweter i klucze – i wybiegła.

Wnuczka była ósmym cudem świata. Trzy osiemset żywej wagi, pulchniutkie udka, stópki i rączki. Buzia, rzecz jasna, też pulchniutka – z granatowym, trochę nieprzytomnym wejrzeniem, które mają tylko noworodki. Właściwie po pierwszym kwadransie w szpitalu Roma była kupiona i całkowicie przekonana, że jest gotowa zrobić dla tej kruszyny bardzo, bardzo wiele.

Spojrzała na córkę z czymś w rodzaju wdzięczności.

– Reniu, wszystko załatwiłam. Ze szpitala wyjdziecie z Karinką już do nowej rzeczywistości. Akademik to nie jest miejsce dla dziecka: pod względem ani higieny, ani spokoju, ani warunków sanitarnych. Wynajęłam nam mieszkancko – trochę drogo, ale raz się żyje... Bardzo mała kawalerka, ale w fajnym miejscu, z widokiem na Wisłę; będziesz miała blisko na uczelnię.

– „Nam”?... – Czujny umysł adeptki dziennikarskiego fachu natychmiast wychwycił sedno

matczynej wypowiedzi.

– No, nam oczywiście. Myślałaś, że zostawię cię samą?!

Czuła się oszołomiona. Może straciła więcej krwi, niż jej się wydawało?

– Jak je znalazłaś tak szybko?

– Ha, pod latarnią najciemniej. Wczoraj kupiłam kartę telefoniczną i trzy dzienniki, „Wyborczą” i dwie gazety lokalne; kioskarka mi poleciła, w których jest najwięcej ogłoszeń. A koniec końców najlepsze znalazłam na tablicy w akademiku.

– Czekaj. A nasze mieszkanie w Wałbrzychu? Twoja praca?

– Oj, kochanie, praca rzecz nabyta. Tam się zwolnię, tu coś znajdę. Najlepiej zmianowego, żeby się dopasować do twoich zajęć na uczelni. Będziemy się wymieniać przy Karince. Damy radę, nie bój żaby.

Renata odruchowo popatrzyła na Żabkę. Mała usnęła jej przy piersi i spała spokojnym, ufnym snem, nieświadoma ani rozgrywających się nad nią, a wręcz z jej powodu zmian w maleńkiej rodzinie matki, ani tego, że nigdy nie pozna swego ojca – nic z przykrości tego świata jej na razie nie obchodziło, a za całe dobro wystarczały jej pełny brzuszek, sucha tetra i zapach mamy.

Renacie zrobiło się jej bardzo, bardzo żal. Jest dopiero na starcie, a już tyle rzeczy przydarzyło się jej nie fair.

Musiała szybko przenieść uwagę na coś innego, żeby się nie poryczeć.

A więc Roma. Sama nie wiedziała, czy powinna podziwiać matkę za jej niefrasobliwość, czy się nią przerażać.

– A nasz dom?

Roma pokręciła głową z wciąż przyklejonym do twarzy nowo nabytym babcinym uśmiechem.

– Dom to ludzie, Renatko. Dom się stworzy nowy, tu, na miejscu. A mieszkanie na Śląsku się wynajmie, ot, co.

Roma siedziała tak długo, aż ją przegoniono – zbliżał się wieczorny obchód. Pielęgniarka wzięła Żabkę do kąpeli, Renata także wykorzystwała ten czas na własną ablucję w odrapanej, lekko cuchnącej szpitalnej łazience. W świetle jarzeniówki jej ciało wydało się blade i szpetne. Piersi, zawsze duże i pełne, teraz były jeszcze pełniejsze, co jednak wcale nie dodawało im urody. Brodawki i ich otoczki zrobiły się wielkie i brązowe, całe zaś piersi ciążyły jak nabrzmiałe balony. Pod nimi pusty nagle brzuch marszczył się brzydko i wisiał jak niepotrzebny worek. Niżej było jeszcze gorzej. Świeża rana bolała i krwawiła, Renata bała się jej dotknąć inaczej niż strumieniem wody ze słuchawki prysznic. „Jak te nowo powstałe myjnie bezdotykowe” – pomyślała z gorzką ironią, ale wcale nie było jej do śmiechu. Czuła się, jakby odebrano jej całą świeżość, młodość, jędrność. Także w związku z rewelacjami Romy czuła, rzecz jasna, należną wdzięczność wobec matki – ale i żal. Wraz z opuszczeniem akademika zamykały się za nią drzwi imprez, kontaktów, bycia na bieżąco, plotek, newsów, towarzystwa młodych, wesołych, intelektualnie poszukujących ludzi – całego tego twórczego fermentu. Nie to, żeby dotąd nadmiernie korzystała z imprezowania w zadymionych pokojach czy klubach studenckich o jeszcze gęstszej atmosferze – w końcu przez cały pierwszy rok studiów była ciężarna – ale zawsze miała je na wyciągnięcie ręki. A teraz to właśnie się kończy. Ucina, jednym ruchem.

Najpierw Gerard, teraz Roma. I Żabka. Zabrali jej wszystko.

Renata oparła czoło o brzydkie sinobłękitne kafelki i zaniósła się rozpaczliwym, bezgłośnym szlochem – tak, żeby nic się nie wydostało poza zasłonę prysznic. Do oczu wciąż napływały nowe łzy, istne potoki, fale łez, które co rusz splukiwała, ten jeden raz kompletnie lekceważąc nieekologiczne marnowanie wody.

Piękny jej życie zafundowało wstęp do dorosłości, doprawdy. Piękny. Ból, strach, samotność, niepokój o byt, odcięcie od towarzyskiego światka, pewnie klepanie biedy. I dziewczynkę, którą nie wiadomo, czy... czy...

...zdoła pokochać.

Czy to właśnie był ten piekielny *baby blues*, o którym czytała w trzecim trymestrze? Przeklęta huśtawka hormonów, które z racjonalnej dziewczyny przerobiły ją na mazgaja?...

Tylko jak nie uzalać się nad sobą, jeśli samemu jest się od dwóch lat półsierotą, powiło się właśnie drugą półsierotę, i ani jednej, ani drugiej nie ma nawet kto obetrzeć łez, powiedzieć, że kocha i że ze wszystkim sobie poradzą... No dobrze, jest mama. Miło, że jej nie wydziedziczyła i w ogóle tak świetnie stanęła na wysokości zadania.

Tyle że...

To mama. Nie ojciec dziecka.

Nigdy, nawet po śmierci taty nie czuła się bardziej samotna i oszukana przez los. Gdyby Gerard żył, na pewno byłby tu przy niej cały czas. Najpierw chodziłby nerwowo po korytarzu, denerwując się, czemu poród trwa tak długo. A gdy wszystko szczęśliwie dobiegłoby końca, przypadłby do niej – zmęczony, niespokojny, lecz wciąż o tym miętowym oddechu i suchych, czystych dłoniach – i złożyłby na jej ustach najczulszy pocałunek. Bo oto urodziła mu córeczkę – śliczną, zdrową, maleńką córunię tatunia, którą by nosił i kołysał, rozpieszczał i obsypywał prezentami. Może nawet Renata byłaby czasem zazdrosna o ich więź, tajemne porozumienie kochającego ojca i córki, tyle że Gerard nie dawałby jej za długo w tej zazdrości pozostawać. Zaraz by ją dostrzegł i przytulał też ją, swoją żonę, i szeptał do ucha, że to dzięki niej jest taki szczęśliwy i chciałby z nią jeszcze spłodzić syna.

Nowa fala łez zalała twarz Renaty niczym potop.

W fachowych, nowoczesnych książkach pisano, że w tym trudnym dla kobiety okresie należy dzielić się trudnościami i obowiązkami z mężem, że to scala rodzinę, a świeżo upieczonej mamie bardzo pomaga.

No a ona...

Och, Boże.

Naraz przeszła ją inna smutna myśl:

A jeśli Żabka już wróciła, leży teraz sama w sali i też płacze?...

Renata pospiesznie wysmarkała nos prosto pod strumień wody. Musi się skupić na prostych czynnościach. Tak.

Ekspresowo wyszczotkowała zęby, rozczesała umyte włosy, delikatnie osuszyła ręcznikiem wymęczoną skórę. W końcu wróciła do sali. Kobiety, z którymi ją dzieliła, zgasiły już górne światło. Tylko znad umywalki sączyła się jeszcze słaba poświata lampki, pewnie nie większej niż 40 W.

Żabka leżała cichutko, opatulona w świeże powijaki.

Renata spróbowała położyć się na brzuchu. Brakowało jej tej pozycji przez ponad pół roku. Niestety, nie było wygodnie. Brzuch bolał, piersi przeszkadzały. Przekręciła się więc trochę na bok. Bardzo potrzebowała się gdzieś skryć, uciec, z braku laku choćby pod szpitalną poduszkę.

Wsunęła pod nią ręce. Na gładkim chłodnym prześcieradle leżało coś twardego. Odchyliła poduszkę i zobaczyła małe blaszane pudełko po herbacie. Kojarzyła je z domu – Roma trzymała w nim którąś z przypraw na półce nad kuchenką. No tak – Żabka Żabką, ale przecież to był także dzień jej urodzin.

Otworzyła pokrywkę i odwinęła zawiniątko z chusteczki. Był w niej wielki złoty pierścionek Romy o staromodnym fasonie, który niespecjalnie podobał się Renacie. W pierścionku, na kształt serwetki wsuniętej w owalny serwetnik, tkwił rulonik papieru. Wytężyła wzrok, by dojrzeć coś w słabym świetle.

Córeczko! – pisała Roma drobnym, pełnym zawijasków pismem. – *Dziewiętnaście lat temu, gdy Cię urodziłam, Tata podarował mi ten pierścionek. Dziś ja przekazuję go Tobie z okazji narodzin Twojego dziecka* (aha, więc pisała list zawczasu, zanim się jeszcze dowiedziała, że ma wnuczkę).

Oczko w nim to rubin – kamień obfitości i dynamizmu. Przywraca pasję i chęć działania, odbudowuje wiarę i optymizm; przyciąga pozytywnych ludzi i zdarzenia. Niechaj Ci pomaga w niełatwych chwilach i nie daje zapomnieć o szczęściu, które dostajesz.

Mama

Hm.

Gdyby to było takie proste.

Gdyby podarunek miał moc pierścienia Arabelli, bez wahania włożyłaby go na palec, przekreśliła i wypowiedziała życzenie. Nawet wiele życzeń.

Niestety, to był tylko ciężki w formie, i pewnie w karatach, klejnot; bezwartościowy w kwestii życzeń.

Z powrotem zwinęła papier w rulonik, obsadziła w pierścionku i włożyła do puszki.

Oho. Ale na dnie było coś jeszcze.

No tak. Ciasteczko.

Aż strach je otworzyć.

Na chwilę odfrunęła myślą do poprzednich urodzin i poprzedniej wróżby. Cóż. Gerard może nie był „ciachem”, tylko „czerstwym ciasteczkiem” – była jednak przekonana, że mogli być szczęśliwi. Tak, mogliby. Był przystojny i na poziomie. Ona byłaby dumna z takiego męża, on – dumny z pięknej młodej żony. Pasowali do siebie charakterami, więc życie układałoby się raczej bezkonfliktowo. Zresztą w dobrobycie łatwo o brak konfliktów.

Wciąż pamiętała jego zapach, głos, dotyk. Im więcej czasu upływało, tym bardziej wydawał jej się idealny.

Ale na takie rozpamiętywanie nie może sobie teraz pozwolić. Rozpamiętywała przez całą ciążę, w długie, coraz cięższe noce, w czytelni w bibliotece, na wykładach. Teraz trzeba te uczucia w końcu pogrzebać. Zahibernować. Przecież ma w tym już pewną wprawę.

A jeśli... Jeśli już taki los był mu pisany – pięćdziesiąt lat życia i ani roku więcej – to dlaczego TO nie mogło się stać tuż PO ślubie?!... Gdyby tylko... Gdyby tylko wstrzymali się z konsumpcją małżeństwa dwa dni... Dziecko miałoby nazwisko, obywatelstwo, prawo do alimentów i spadku, ona sama zresztą pewnie też, w kraju o takim socjalu... Zresztą wszystko mogło się wtedy potoczyć inaczej. Dni płodne mogły się skończyć i nie byłoby żadnego dziecka. Gerard mógł nie być tak poruszony i nie... nie...

Przełknęła podejrzenie słoną ślinę.

Nie umrzeć.

Żyliby sobie...

Stop. Bo zaraz polegnie.

Skupmy się na tu i teraz. Co tam Roma wywróżyła na ten rok?

Renata przełamała twarde ciastko i wysupłała z niego karteczkę. Ze zjedzenia gniotka zwolniła się gładko pod pretekstem już umytych zębów.

Rozwinęła zwitek i przeczytała:

W domu kobiet samotność też jest kobietą.

A więc pisana jej samotność, jakżeby inaczej. Kto by chciał pannę z dzieckiem. I na dodatek z matką.

Zmięła karteczkę i wraz z pokruszonym ciastkiem wyrzuciła do blaszanego kosza przy łóżku.

Jeszcze raz schowała głowę w poduszkę, wdzięczna Żabce za to, że zasnęła bez ceregieli, i bezgłośnie zapłakała nad swoim losem.

Wcale nie była pewna, czy czuje się gotowa do bycia mamą.

Mieszkanko w istocie było maleńkie, ale zgrabne i stylowe. Dwadzieścia siedem metrów na poddaszu kamienicy na Sowiej, na obrzeżach Mariensztatu. Rzeczywiście na wydział było stąd megablisko, podobnie jak na Starówkę i nad Wisłę, i do parku (co ważne przy spacerach z dzieckiem). Wprawdzie Roma ewidentnie bardziej sugerowała się sielskim widokiem na rzekę z dwóch posiadanych przez lokum okien aniżeli stromymi schodami, po których trzeba było wnosić i znosić wózek – ale Renata musiała przyznać, że i ją przekonały lokalizacja i urokliwość miejsca.

Matka w ogóle zdumiewała ją swoją energią i pomysłowością. Parę dni poświęciła na

przemierzanie okolic nowego domu w poszukiwaniu pracy – i znalazła ją! Od początku lipca miała zasiadać w kasie kina Rejs na Krakowskim Przedmieściu jako bileterka. Blisko i niekolidująco z wykładami, dokładnie tak jak chciała.

Renata poświęciła całe wakacje opiece nad córką – co sprowadzało się głównie do karmienia, przewijania, kąpania i chodzenia na spacer. Uczucia, zasnuwane jak porządny gorset, w końcu przestały ją nękać. Nie popłakiwała już, nie wyobrażała sobie życia z Gerardem, które nigdy nie nastąpiło. Niestety gorset, jak zbroja, nie wypuszczał z Reni także zbyt wiele tkliwości dla dziecka. „Może to przyjdzie z czasem?”, myślała Renata. Na razie zamiast gaworzyć z niemowlakiem czy stroić do małej miny, wolała czytać książkę. Była zawsze obok – i prawie zawsze nieobecna duchem.

Karinka zaś rozwijała się podręcznikowo. Dopisywał jej apetyt i humor, we właściwych momentach opanowywała kolejne proste umiejętności z tabeli z książeczki zdrowia. Cienkie piórka pierwszych włosków zaczęły zwijać się w urocze kędziorki, oczy z tygodnia na tydzień błękitniały na podobieństwo jasnych oczu Gerarda. Macierzyństwo, wsparte entuzjazmem Romy i niekłopotliwością Kariny, okazało się nie tak trudne, jak się Renata obawiała.

Tylko ta przewrotna samotność w ciasnym domu trzech kobiet kąsała czasem niczym kłątwa cholernego ciasteczka.

21 czerwca 1993 roku

Poziomka, co rośnie w cieniu, jest kwaśna.

– No dokąd tak pędzisz? Bez śniadania?

– Na egzamin, pamiętasz? Sesja jest. – Renata potknęła się w wąskim przedpokoju o żółtą kaczuszkę Kariny. – Cholera jasna! – syknęła, masując paluch, którym zawadziła o futrynę kuchennych drzwi.

– Z pustym żołądkiem nic nie zwojujesz. Coś zjeść trzeba, słuchaj matki. A poza tym... – Roma wyminęła córkę w przesmyku prowadzącym do mikroskopijnego pomieszczenia, w którym, nie wiadomo jakim cudem, mieściły się szafka, kuchenka, zlew, lodówka, a nawet krzesło barowe. Sięgnęła po talerz, na którym stał odwrócony do góry dnem kubek.

– ...dziś są twoje urodziny! – obwieściła triumfalnie, unosząc kubek znad talerza.

Oczom Renaty ukazał się blady, niekształtny rożek, udekorowany chorągiewką zrobioną z wykałaczki i kawałka kolorowego papieru, na którym zamasztył pociągnięciem czarnego długopisu napisano: „20 lat!”. „Dwadzieścia lat”, pomyślała Renata. „Zupełnie jakby to było jakieś magiczne zaklęcie, hokus-pokus. A to po prostu już nie naście, tylko dzieciąta. Poza tym, że się starzeję, życie będzie bez zmian. Czyli nijak”.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. – Roma znowu uderzyła w euforyczny ton, wyprzedzając smętną wypowiedź, na którą się zanosilo – jak dobitnie wskazywała mina Renaty. – Siadaj, zrobię ci kawy i przynajmniej coś małego wrzucisz na ząb.

Myśl o zakalcu przesuwającym się przez jej przewód pokarmowy podziała na Renatę mobilizująco i odepchnęła czające się tuż pod powierzchnią smutki.

– Słodycze na czczo? Oj, podpuszczasz mnie. Zawsze mówiłaś, że tak nie można. Zapakuj mi ciasteczko, będzie na drugie śniadanie. A teraz coś pożywnego – może kanapka z białym serem i miodem?

Egzamin z logiki był ostatnim zaliczeniem w tym semestrze. Renata zdała go bez najmniejszego trudu.

– Brawo – powiedział profesor, wpisując jej do indeksu ocenę bardzo dobrą. – W rzetelnej pracy dziennikarskiej nie talent i emocje są najważniejsze, ale żelazna logika. Zupełnie jak w życiu.

Renata powoli wracała do domu. „Żelazna logika, cholera jasna”, pomyślała. Dwudziestolatce chyba należy się od życia coś więcej.

Już prawie letnie słońce przyjemnie ogrzewało jej plecy. Postanowiła na chwilę usiąść na skwerku, nim wróci do domu i kieratu. Miłego, ale jednak dość nudnego. O, a tu po drodze warzywniak, przed którym ustawiono drewniane kosze z owocami. Skrzynka papierówek. Kojarzyły się jej z początkiem wakacji, odpoczynkiem na łące wśród rozbijałych od wiatru traw, pierwszymi piegami w sezonie, wolnością. I młodością, gdy nic nie było przesądzone, a wszystko możliwe.

Wybrała najokrągłszy owoc, dwadzieścia dekagramów zdrowia i dobrych emocji.

Usiadła na ławce. Słońce stało już wysoko na niebie, życzliwymi promieniami ozłacając ją całą. Przetarła zieloną skórkę mankietem bluzki. Wbiła zęby w dość twardy miąższ. Matko, ale kwas! Kwas i cierpkość! Z grymasem obrzydzenia wrzuciła nadgryzione jabłko do kosza. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Jej palce natknęły się na pergamin. No tak, urodzinowe ciasteczko z wróżbą. Rozwinęła pakunek. W promieniach słońca i otoczeniu bujnej natury wypiek prezentował się jeszcze gorzej niż w ciasnej kuchni. Rozkruszyła twardawą skorupkę.

Poziomka, co rośnie w cieniu, jest kwaśna.

Bardzo trafnie, nie ma co.

Papierówka – zapowiedź lata – kwaśna.

Poziomka – końcówka lata – kwaśna.

Czy czeka ją jeszcze jakaś słodycz?... Tak ma wygląda jej młodość – ponoć najfajniejszy czas w życiu?

Wakacje upływały niespiesznie. Koleżeństwo ze studiów marzło w Bałtyku, zdobywało górskie szczyty, zaliczało szkwały na Mazurach, a Renata skutecznie odpoczynek w mieście. Chodziła z Kariną na spacery nad Wisłę, do Ogrodu Saskiego, na Starówkę. Przed południem towarzyszyła im Roma, w drugiej połowie dnia były tylko we dwie.

Wieczorami Renata przede wszystkim czytała. Tak było i tym razem.

– Zostaw już tę emerycką rozrywkę. Chodź, obejrzymy razem telewizję. Fajny program jest.

„Naprzód paro, ruszaj z wiarą, niech emocji rośnie żar. Sukces nie jest senną marą, niech porywa nas czar par!” – dudniło z ekranu.

– Rany, co to jest?

– Krzyś Ibisz. Piękny chłopiec, prawda?

– No. Chyba go ze studniówki wyciągnęli. Oni tam poloneza tańczą?

– Taka czołówka. Taniec *à propos*, bo polonez był najpierw tańcem ludowym. Taka chodzona rozrywka, żeby trochę radości społeczeństwu dać.

– No to już mi dałaś. Mogę wrócić do czytania?

– Siadaj, pooglądaj, nie kwękaj. Widzisz – to konkurencje dla małżeństw. Par. Duetów. Dwójki ludzi razem. Rozumiesz?

– A dlaczego ona rozbija deskę ręką, a on chodzi z łyżką w buzi, a na niej ma jajko?...

– Oj, zawsze byłaś czepliwa. Tu chodzi o to, że w parze jest lepiej. Łatwiej. Weselej. Człowiek nie jest stworzony do życia w pojedynkę. Bo kwaśniej. Jak poziomka w cieniu.

Renata poczuła nieprzyjemne ukłucie. Znowu te cholerne wróżby i porównania.

– No a gdzie ja niby mam kogoś poznać? W spożywcza ku za rogiem? Kiedy w piaskownicy wycieram Karinie gluty z nosa? W drodze do magła?

– Każde miejsce jest dobre – jeśli masz w sobie otwartość i gotowość na takie spotkanie. Masz?

Renata chyba nie miała. Po ciepłym lecie nastąpiła słotna jesień, lekka zima, ożywcza wiosna.

Studiowała, czytała, zaliczała, odzwyczaiła Karinę od pieluch i od smoczka, czasem wyszła ze znajomymi na piwo.

I wciąż była sama.

Ani czar, ani pary.

21 czerwca 1994 roku

Oczyszczenie umysłu, duszy, ciała i przestrzeni przywróci ci dobrą energię.

– Lawenda, melisa, szalwia, rozmaryn, kora brzozy, lipa, rumianek. Psiakrew, skąd tu wziąć korę brzozy...? – dumiała półgłosem Roma.

Renata z bezbrzeżnie znudzoną miną siedziała na brzegu wanny i czekała, aż Karina załatwi się do nocnika.

– Po co ci kora brzozy? – zainteresowała się dla odwrócenia uwagi od nadymającej się córki.

Ich kawalerka na Sowiej była tak mała, że z powodzeniem można było prowadzić rozmowę między łazienką a pomieszczeniem, które służyło im za wszystko inne: salon, jadalnię, sypialnię, bawialnię (o czym świadczyły zewsząd wyzierające zabawki Kariny), bibliotekę (o czym świadczyły wszędzie poupychane książki Renaty), a jak przypuszczała Renata, także pokątny gabinecik spirytystyczny. Po paru wizytach w nowym, zachwycającym salonie meblowym IKEA w Alejach Jerozolimskich Renata wpadła na pomysł sprytnego zaaranżowania ich skromnej przestrzeni poprzez przedzielenie pokoju postawionym w poprzek regałem. Regał, dotąd jedyny mebel z IKEA, na który zdołała się szarpnąć, idealnie się do tego nadawał: niezabudowane boki i brak tylnej ściany powodowały, że ze wszystkich stron mebel wyglądał lekko i dobrze. I doprawdy nikomu nie mącił humoru fakt, że wedle szczegółowego opisu na metce był to tani regał do pomieszczenia gospodarczego.

Mający dwa okna pokój idealnie nadawał się do dzielenia: jedno okno przypadało na część jadalniano-wypoczynkową, drugie na sypialnianą, z kolei ścianę między pokojem a kuchnią nie do końca legalnie rozebrały do poziomu wysokiego bufetu. Efekty były zachwycające: kuchnia, która dotąd była ciemną klitką, stała się integralną częścią domu, należycie doświetloną i przez to jakby rozleglejszą. Krzesło barowe wreszcie zyskało właściwe miejsce: stanęło przy bufecie i służyło wszystkim po trochu do wszystkiego po trochu.

– Do woreczka z mieszanką ziół – padła tymczasem odpowiedź z gabineczku spirytystycznego.

– A... do czego ci woreczek z mieszanką ziół? – indagowała Renata.

– Nie mnie, tylko nam, serdeńko. Do oczyszczenia energii domu i przywrócenia dobrych przepływów energii.

No tak. Mogła nie pytać. Matka od roku prenumerowała tygodnik „Gwiazdy mówią” i miesięcznik „Wróżka”. Była jedną z pierwszych czytelniczek nowo powstałych gazet i ich gorącą entuzjastką. Z każdym wydaniem któregoś z pism – a więc średnio pięć razy w miesiącu – Renata była świadkiem nowego natręctwa Romy, na szczęście krótkotrwałego. W domu pojawiały się wtedy zdumiewające przedmioty, których przeznaczenia Renata wołała nie dociekać. Pięć długich świeczek, każda w innym kolorze. Kamyczki z dziwnymi czarnymi rysunkami jakby liter. Kominki zapachowe, w których Roma paliła jakieś zielska albo olejki eteryczne – trzeba przyznać, że przyjemne.

O dziwo, nowe hobby matki wraz ze wszystkimi tymi akcesoriami czasem nawet bywało użyteczne. Na przykład, gdy „w sezonie wzmożonej zachorowalności na grypę i przeziębienie” (jak deklarował pan z reklamy rutinoscorbinu) Roma stawiała w kominkach świeczkę („tilajta” – mówiła; jedyne akcesorium, po które z kolei ona fatygowała się do IKEA), a do zamieszczonych nad płomykiem czarek wlewała wodę z olejkami: eukaliptusowym, geraniowym i innymi, od których faktycznie lżej było oddychać. Albo gdy raz Karina dostała paskudnego kaszlu, Roma dzięki artykułom we „Wróżce” przypomniała sobie o zbawiennym działaniu naparu z lipy i okładów na piersi z gęsiego smalcu, tak że mała szczęśliwie prześlizgała się przez przeziębienie bez farmaceutyków.

Najczęściej jednak... Ech, szkoda gadać.

Renata westchnęła i na powrót skupiła się na swoim łazienkowym „tu i teraz”.

– Karinko, już?

– A dasz nionia? – odpowiedziała z ręcznie pytaniem na pytanie Karinka.

– Duże dziewczynki nie potrzebują ssać nionia – odparła moralizatorsko. – A już na pewno nie potrzebują go do zrobienia kupy.

– Ale chcem – oświadczyła uprzejmie, lecz stanowczo jej nieodrodna córka.

– No, wstawaj – zlekceważyła ją Renata i urwała dwa listki papieru toaletowego. Użyła go, podciągnęła małej spodenki i zmierzwiła jej loczki na grzywce. – Leć do babci!

Sama jeszcze przez chwilę zajęła się oczyszczeniem nocnika, starając się nie myśleć za wiele nad tą niemłą czynnością. Z powrotem przestawiła się więc na słuchanie Romy.

– „W naszym życiu zdarzają się lepsze i gorsze chwile. W tych gorszych szukamy schronienia w bezpiecznych ścianach naszego domu. Jednak złe emocje – kłótnie, płacz czy smutek – negatywnie wpływają na jego energię. Wszystko to może zamienić nasz azyl w miejsce, w którym czujemy lęk i niepokój”.

Po płynności wypowiedzi Renata poznała, że Roma czyta na głos fragment artykułu.

– I co wtedy? – Nie chciała psuć jej zabawy.

– „Wtedy przychodzi czas na zmianę energetyki domu. Najlepiej zacząć od dokładnego przewietrzenia. W oknach warto powiesić dzwonki wietrzne. Ich dźwięk jest nie tylko przyjemny, lecz także podnosi wibrację pomieszczeń. Innym dobrym sposobem na aktywowanie domowej energii jest użycie bębenków lub klaskanie w dłonie”.

– Brawooo! – Karina pojętnie wstrzeliła się w temat.

– Brawo, Karinko! – pochwaliła ją czule Roma. – Weź sobie ciasteczko, chcesz?

– A nionia? – zagrała szczwanie Karinka.

– A nionia dostaniesz na wieczór – odparła babcia i wróciła do pouczającej lektury.

– „Po obejściu wszystkich pomieszczeń trzeba dokładnie umyć ręce zimną wodą”.

Renata właśnie myła ręce zimną wodą, i to bynajmniej nie po to, by pozbyć się złej energii. Ich piecyk gazowy załączał się (lub nie) wedle sobie tylko znanych reguł. Będą musiały w końcu przekonać właściciela mieszkania, żeby coś z nim zrobił.

– „Bardzo skutecznym sposobem na oczyszczenie domu ze złej energii jest okadzanie – czytała tymczasem Roma. – Znakomite właściwości oczyszczające ma szalwia biała. W sklepach ezoterycznych można też kupić gotowe mieszanki ziół, dzięki którym uwolnimy nasz dom od złego”.

O bogowie. Renata nawet nie miała pojęcia o istnieniu sklepów ezoterycznych. To stamtąd pewnie matka ściąga do domu te wszystkie dziwadła. Wołała nie wiedzieć, ile kosztują.

– „Oczyszczanie należy zakończyć medytacją połączoną z wizualizacją. Wyobraźmy sobie nasze mieszkanie skąpane w białym świetle. Za pomocą miotły usuwamy z niego wszelkie zaciemnienia i skazy”.

– Koniecznie miotły? A można użyć szczotki albo odkurzacza? – zagadnęła praktycznie młoda Ślączka.

– Miotłę tylko sobie wizualizujesz – wyjaśniła Roma.

– Szanująca się czarownica powinna mieć miotłę. – Renata postanowiła się trochę podroczyć. – Wiesz, miotła się przydaje. Przemieszczasz się tanio. Zdrowo. Bez korków. Problemów z zaparkowaniem też żadnych... Mogę ci kupić na bazarku; o, albo pod cmentarzem, tam mają takie stylowe wiechcie!

– Boże broń przynosić coś spod cmentarza do domu! – przestrzegła niedoszła czarownica. – A już z samego cmentarza... Mogiła! Pamiętaj!

Renata zachichotała. Ciekawa była, czy Roma świadomie wyleciała z tą mogiłą. Nic jednak nie wskazywało, by matka była w żartobliwym nastroju.

– „Pomieszczeniem, o które powinniśmy szczególnie zadbać, jest sypialnia – wytrwale kontynuowała temat. – Najlepiej kupić sobie nowe łóżko. Jeśli jest to jednak niemożliwe, bo na przykład odzie-dziczylimy zabytkowe łoże i nie chcemy się go pozbyć, kupmy przynajmniej materac. Materac taki okadzamy szalwią, a pod nim umieszczamy woreczek z mieszanką ziół: lawendą, melisą, szalwią, rozmarynem, korą brzozy, lipą, rumiankiem”.

„A, to to” – zorientowała się Renata. Zestaw, o którym czytała na początku. Więc chce je okadzać. Rany boskie, żeby tylko nie podpaliła przy tym mieszkania! Trzeba mieć na nią oko: zaaferowana Roma to nieokielznany żywioł! Renata szczerze wątpiła, czy podzielność uwagi pozwoli Romie jednocześnie okadzać i wizualizować.

Swoją drogą – chłodny umysł Renaty wprost nie mógł przejść obojętnie obok takich rewelacji – kto pisze te dyrdymały?! Jakie dziedziczenie zabytkowego łoża...? Komu dziś przytrafiają się takie rzeczy? Ludzie nie kupują nowych łóżek pod byle pretekstem, bo ich zwyczajnie na to nie stać. Bo są praktyczni. Bo argument ze złą energią chyba byłby ciut za słaby, by przekonać męża do zmiany wyrka.

Renata co prawda nie miała żadnych doświadczeń w materii stanu małżeńskiego, tak to sobie w każdym razie wyobrażała.

Autor artykułu widocznie też postanowił zwrócić się bliżej realiów zwykłego życia:

– „Jeśli śpimy na wersalce, to woreczek możemy włożyć do jej skrzyni. Nad łóżkiem zawieśmy indiański łapacz snów. Jest to nie tylko piękna ozdoba, lecz także zapewnia nam sny bez koszmarów. Sypialnię należy traktować wyłącznie jako miejsce odpoczynku – nie stawiaj tam telewizora, biurka do pracy czy sprzętu do ćwiczeń. W małych mieszkaniach, gdzie pomieszczenia są wielofunkcyjne, nie ma innej możliwości. Staraj się wtedy, o ile się da, wydzielić przestrzeń do spania. Można to zrobić za pomocą półek czy parawanów”.

– Punkt dla mnie! – zawołała Renata, z dumą patrząc na regał.

– Łapacze snów – fajna nazwa, nie? Ciekawe co to – odpowiedziała niezupełnie na temat Roma. Po czym wróciła do lektury. – „Rytuał okadzania domu mieszanką ziół zaczynamy od drzwi wejściowych i idziemy wzdłuż ścian mieszkania naokoło, wracając w końcu do wejścia. Przy oczyszczaniu kierujemy się w lewą stronę, przy napełnianiu energią – w prawą. Do pełnego osiągnięcia harmonii zapalmy następnie świece. Czarne oczyszczają przestrzeń, niebieskie zapewniają spokój, zielone dają ochronę i pieniądze, pomarańczowe – harmonię”.

Ha. Więc o to chodziło ze świecami!

– „Oczyszczony, pełen pozytywnej energii dom gwarantuje nam spokój i staje się schronieniem przed światem. – Roma pomału przechodziła do podsumowania. – Czujemy się w nim komfortowo i dobrze. Harmonijnie przepływająca energia wzmacnia nas, daje nam siłę i sprawia, że wszystko w naszym życiu zaczyna się układać”.

Zapadła błoga cisza. Roma wynotowywała coś w swoim specjalnym grubym brulionie, Karina na moment zajęła się zabawą na podłodze, a Renata nawet nie zauważyła, kiedy odpłynęła.

W wakacje między drugim a trzecim rokiem studiów mieli wybrać sobie jakieś aktualne wydarzenie i napisać o nim obszerny reportaż. Dwudziestego piątego sierpnia w Jankach otwierała się IKEA – ponoć znacznie większa i bardziej wyposażona od tej w Jerozolimskich. Renata pojechała tam, pchana zarówno zawodową, jak i prywatną ciekawością – i zrobiła fenomenalny materiał. A dokładniej zaczęła go robić – bo połknięty bakcyl kazał jej wracać do tematu jeszcze parę razy (by w efekcie dwa miesiące później otrzymać za reportaż piątkę, pochwałę samego profesora Jagodzińskiego i coś w rodzaju estymy u koleżeństwa z roku. I jak tu nie lubić IKEA?).

Ludzi było zatrzęsienie – i to nie tylko takiego zwykłego pospólstwa. Renacie mignęło wtedy przed oczami (i obiektywem aparatu) wielu polityków, dziennikarzy i aktorów.

Gości witał sam Ingvar Kamprad, co się zaś tyczy sklepu... Jak w ogóle nazwać taką przestrzeń sklepem?! Przywykła do tego, że salony meblowe w PRL-u składały się z ekspozycji *à la* wystawa stała w muzeum, ogrodzona sznurem i z zakazem dotykania. Naraz „u Szweda” można było wszystko – sprawdzać, doświadczać, wypróbować. Siadać do woli w fotelach, na krzesłach, sofach, taboretach, kręcić się na krzesłach obrotowych, otwierać i zamykać szuflady, myszkować po szafach, zaglądać do ustawionych na kuchenkach garnków, kłaść się na materacach, dobierać ich wielkość i twardość do swoich potrzeb, a na dodatek wszystko to kupić.

Renata była zafascynowana. Pod pretekstem reportażu jeździła do Janek jeszcze parę razy. Rozmawiała z personelem, z klientami. Tak ustaliła kilka frapujących faktów statystycznych. Sklep („Sklep”!...) liczył trzystaście i pół tysiąca metrów kwadratowych powierzchni i sześć tysięcy artykułów

w sprzedaży (*sic!*).

W ciągu zaledwie kilku pierwszych dni po otwarciu do Janek udało się siedemdziesiąt pięć tysięcy klientów. Dziesięć autobusów dowożących klientów z Warszawy przewiozło w tych dniach dwadzieścia jeden tysięcy osób. Niezależnie od autobusów, samochody oczekujące na wjazd na parking utworzyły pięciokilometrowy korek.

Poza przepytywaniem klienteli i pracowników Renata oddawała się kontemplacji zaaranżowanych na tych trzynastu tysiącach metrów niby-mieszkanek. Nie mogła wyjść z podziwu, jak zmyślnie rozwiązywano w nich problem ciasnoty, i to bez takich przeżytków, jak pawlacz czy półkotapczan. Wnętrza były lekkie w formie, wygodne i funkcjonalne, do tego w kolorach, jakie w kontekście umeblowania dotąd nikomu w PRL-u się nie śniły.

Wszystko to jakby dedykowane (to absurdalne słowo robiło właśnie absurdalną karierę w mediach) ich maleńkiemu mieszkanku.

Byłoby cudownie móc tak mieszkać.

Niestety wizja miała dwie duże wady.

Po pierwsze, meble były drogie.

Po drugie, czy jest sens meblować nieswoje lokum?...

Na ułamek sekundy Renata wróciła myślą do swego niedoszętego życia w Görlitz. W obszernym mieszkaniu Gerarda w ogóle nie musiałyby się przejmować zmyślnym meblowaniem ciasnoty. Gdyby tylko...

Och, czy kiedykolwiek w życiu przestanie się kręcić wokół tego „gdyby tylko”?!... Roma oczywiście powiedziała, że właśnie dlatego Renata nie daje kroku naprzód, że się kręci w kółko wokół sprawy, której nie da się już naprawić ani zmienić, ani przeżyć inaczej, bo po prostu należy do przeszłości. Renata widziała to dokładnie na odwrót: gdyby tylko w jej życiu wreszcie zdarzyło się coś fajnego – pojawił się ktoś nowy, zajął jej głowę i serce nowym uczuciem – natychmiast zostawiłaby swoją durną przeszłość w najświętszym spokoju.

Do rzeczywistości przywrócił ją dziwny zapach ni to kadzidla, ni to spalenizny.

– Co ty robisz? – fuknęła.

– Szałwię akurat miałam – wyznała Roma. – Z apteki, w saszetkach. Pamiętasz? Kupiłam sobie kiedyś na bolące dżiąsło. Próbuje ją tu rozpalić w takim komineczku... Nowych mebli na razie nie będziemy miały, ale okadzić nie zaszkodzi.

– Kupowanie nowych mebli nie ma najmniejszego sensu – burknęła Renata z nagłą złością. – Nauczyłabyś się lepiej pozbywać niepotrzebnych klamotów, to wszystkim by ulżyło! Nie, no nie będziemy siedzieć w takiej wędzarni! Karina, wkładaj buciki! Idziemy na lody!

– Llllodyyyy! – Karina zerwała się z dywanu i poczęła skakać jak najęta – na jednej nodze, na dwóch, w obrotach i piruetach. Z potoku słów matki i babki dwulatka bezbłędnie wychwytywała treści potencjalnie dla siebie użyteczne. Renata lubiła tę jej cechę i uważała ją za przejaw inteligencji, zarazem jednak drażniła ją inna umiejętność córki: całkowite wyłączenie się i ignorowanie haseł dla niej niekorzystnych, jak „pora spać”, „idziemy się myć”, „trzeba rozczesać włosy”. Nie miała cierpliwości w nieskończoność przekonywać córkę do zasadności mycia się, czesania i snu, dlatego gdy tylko Karina zbliżała się do tej irytującej dziecięcej jęczliwości, Renata ucinała rozmowę szybko i bez dyskusji. Od dyskusji i wyjaśniania była babcia, wyraźnie bardziej miękka w kontaktach z wnuczką. Na szczęście wieczorami, kiedy Karina najczęściej zaczynała kwękać, Roma bywała w pracy. W przeciwnym razie już całkiem rozbisurmaniłaby dziewczynkę swoją ustępliwością i gotowością do dzielenia włosa na czworo.

– Daj mi jedną chwilkę, szybcutko się tu uwinę i pójdę z wami! Ja stawiam! – zawołała Roma pospiesznie. – Nalegam, to przecież wasze urodziny!

No proszę.

– Myślałam, że zapomniałaś – nie mogła sobie darować Renata.

Roma, od jakiegoś czasu przemierzająca się przepisowo wzdłuż ścian z dymiącym jak kadzidło kominkiem, na chwilę przystanąła i posłała jej niedowierzające spojrzenie.

– Zwariowałaś?!... Piecyk się popsuł i nie upiekłam ci ciasteczka – toteż wróżby niby nie ma – ale to okadzanie to właśnie rytuał specjalnie na twoje urodziny! Oczyszczenie umysłu, duszy, ciała i przestrzeni przywróci ci dobrą energię. Matka wszystko widzi... I naprawdę z całych sił ci życzę, żebyś i ty w końcu była szczęśliwa!...

21 czerwca 1995 roku

Każda choroba ma swoje lekarstwo.

„...ludzie złamani przez życie, samotni, zestresowani. Czy pan wie, że z ostatnich badań wynika, że tylko pięć procent ludzi w Polsce jest zadowolonych z życia? To znaczy, że tylko pięć procent Polaków cieszy się swoim życiem”.

– Ciekawe, co ona o tym wie? Wygląda, jakby sama zgarnęła całą pulę radości – prychnęła Renata, stając w drzwiach do pokoju.

– O, jesteś wreszcie. No i jak sesja? – Roma z radością powitała córkę, jednak jednym uchem wciąż z zainteresowaniem strzygła w kierunku telewizora.

– W porządku, a jak ma być? Zawsze byłam dobrą uczennicą.

– A, to tak. Bo żyć to ty, dziecko, nie umiesz. – Roma zapraszającym gestem uklepała siedzisko kanapy.

– A to co niby miało znaczyć? – syknęła Renata.

– Potem, córcia, potem. Teraz obejrzymy. Bardzo interesujący program.

Roma była fanką telewizji, a w szczególności programów typu talk-show. Z pasją pochłaniała ludzkie historie – czy to o trudnym życiu matki pięcioraczków, czy o synowej, która po śmierci męża wyszła za teścia, czy też o mężczyźnie, który czuł przymus zjadania swoich włosów. Uważała, że to fascynujące, że bez wychodzenia z domu można się zanurzyć w tak odmienny świat innych ludzi.

– Zmanierowane te gwiazdy... – mruknęła Renata, siadając obok matki.

– Dziennikarze. Jak ty. Patrz i wyciągaj wnioski.

Renata patrzyła na ekran i nie czuła się zainspirowana. Małgorzata Domagalik, w nienagannej blond fryzurze, mocno przylegającej do ciała garsonce i nieruchomej pozycji – w tej kategorii wygrywała z nią tylko Elżbieta Jaworowicz – była zupełnie nie z jej bajki. „Królowa Śniegu”, pomyślała Renata. Mariusz Szczygieł, prowadzący *Na każdy temat*, miał zdecydowanie odmienną ekspresję. Swobodny, uśmiechnięty, spontaniczny. Właściwie to same zalety, ale aż trudno było uwierzyć, że wynikały wyłącznie z charakteru, a nie były wystudiowaną grą, prowadzoną na potrzeby pro-programu.

Matka jakby czytała w jej myślach:

– On jest taki uroczy. Chodząca słodycz. Mama musiała go dobrze wychować. No, a pani Doma-galik...

„Czy ja bym poszła do psychoanalityka? Nie, nie poszłabym. Bo ja mam takiego psychoanalityka w domu. To moja mama” – zabrzmiało z telewizora.

– ...o, też rozsądnie mówi. – Roma poklepała córkę po kolanie. – Jeszcze chwilkę, zaraz się kończy i siądziemy sobie do kolacji.

Renata westchnęła.

„Co żeśmy stracili jako naród, nie chodząc do psychoanalityka, tylko zwierając się wróżce lub kolegom na wódce?”, pytał retorycznie kolejny ekspert programu. Renata nawet nie miała pojęcia, że coś traci. I że brak psychoanalizy miałaby jej rekompensować szklana kula u wróżki.

– E, no co on gada? – Roma nagle porzuciła czołobitność i zachwyty nad programem. – Co jest złego we wróżkach? – spytała Renatę.

Cóż, w córce trudno było szukać sojusznika.

– No dobra, to gasimy i idziemy do kuchni. Pora na świętowanie.

Renata zdrętwiała. Od czasu wplecenia ciasteczkowej wróżby w rytuał urodzin czuła się niepewnie wobec każdej kolejnej przepowiedni. Niby traktowała te matczyne sentencje z przymrużeniem oka, ale nic nie potrafiła poradzić na to, że zapadały w pamięć. A potem chyba uruchamiały jakiś mechanizm samospełnienia, bo jakby się głębiej zastanowić, to tkwiło w nich ziarno

prawdy.

Roma wspięła się dziś na wyżyny sztuki kulinarnej. Renata nie mogła wyjść z podziwu, jak matce udało się ją doprowadzić do dorosłości w zdrowiu gastrycznym. Kuchnia Romy była jedyna w swoim rodzaju. Inwencji nie mąciły konwencje, zasady, tradycja. Roma gotowała, jak jej w duszy zagrało. Na dwudzieste drugie urodziny córki przygotowała parówki w majonezie z duszoną marchwią (marchew lubiła dodawać do wszystkiego, twierdząc, że dzięki niej ma świetny wzrok), kanapki z ogórkiem i szprotkami oraz kompot z wiśni i mięty.

Na środku stołu, na honorowym miejscu, ustawiony był ozdobny talerzyk w różyczki z niekształtnym kruchym ciasteczkiem. Los Renaty we wnętrznościach bladego wypieku.

– Widzę, że cię skręca z ciekawości. No dobrze, to już sobie weź słodycz. Ale teraz tylko karteczka, a przyjemność później, po kolacji.

Renata zdrętwiała. W jakiegokolwiek kolejności spożywana – kolacja przygotowana przez jej matkę była niezawinioną udręką i potencjalnym zagrożeniem dla żołądka. Niestety, Renata była głodna. Niestety, nie chciała ranić matki. Na szczęście miała za sobą lata wprawy i wyćwiczony żołądek.

Każda choroba ma swoje lekarstwo

– przeczytała na głos. Zawiesiła spojrzenie na Romie. – Jakież problemy dietetyczne?... – Znacząco przyglądała się majonezowi.

– Ha, ha, kpij sobie z matki, bardzo proszę. Choć przypomnę, że to i moje święto, bo dwadzieścia dwa lata temu...

– ...to ja cię przez prawie dwie doby rodziłam – dokończyła Renata. – No wiem, mamuś, wiem. Tylko że twoja kuchnia stoi w sprzeczności z zasadami dietetyki.

– Dieta jest dobra dla chorych. A my jesteśmy zdrowe. To znaczy ja. Bo ty masz problem, choć to sprawa duszy, nie ciała.

Renata nie wiedziała, czy bardziej się obawia matki wchodzącej w paradę internście, czy psychologowi.

– A mianowicie? – zapytała zaczepnie.

– Mianowicie jesteś samotną młodą kobietą, która powinna mieć faceta, a nie tylko starą matkę obok i małego brzdąca pod nogami.

– Ty wciąż swoje...

– No wciąż, bo mogę sobie język wystrzepić, a efektu nie ma. Od września Karinka idzie do przedszkola. Jaką wtedy znajdziesz wymówkę?

– Mamo, ja wcale nie szukam wymówek! Ile razy mam ci tłumaczyć, że o fajnych facetów nie potykasz się ot tak, na ulicy.

– I tu dochodzimy do sedna. Mam dla ciebie kogoś!

– Jak to: mam? Dałaś ogłoszenie do rubryki matrymonialnej?

– Nie, no skąd. Pamiętasz Alinę?

– Nie... A tę twoją znajomą z Wałbrzycha?

– Właśnie. Ma syna.

– Ale on to ma... Ponad trzydzieści lat, prawda?

– Phi, też mi coś. A Gerard to był licealista?

– Świetny argument. Marzy ci się wariant *Cztery pogrzeby i wesele*?

– Daj spokój. Różnica wieku idealna. Zdażył już okrzepnąć w Warszawie, ma mieszkanie, intratne zajęcie.

– Rany, czy to ten od sztucznych szczęk?

– Protetyk, Reniu, protetyk. Zawód konkretny i potrzebny.

Renata poczuła, że niczego już dziś nie tknie. Wyobraziła sobie siebie za rok – stół z produkcją kulinarną matki, matka, ona, protetyk szlifujący mosty i wstawiający je w modele szczęk. „Czyli życie mogłoby być jeszcze gorsze niż teraz”, pomyślała. Może to nawet krzepiąca konstatacja.

– No, i tak od słowa do słowa... Umówiłam was. – Że co?! Jak mogłaś? Pytałaś mnie o zdanie?!

– Nie desperuj. Co ci szkodzi? Zjesz sobie raz dobrą kolację, napijesz się wina i zdecydujesz co

dalej. Wielkie mi co.

– Mamo, ale to jest jakieś... żenujące! Zachowujesz się jak swatka! Co on sobie pomyśli?

– Że szukasz męża. A ponieważ on szuka żony, to okoliczność całkiem sprzyjająca.

Roma brała życie prosto, z dobrodziejstwem inwentarza.

– To żebym nie zapomniała. W sobotę o dziewiętnastej, restauracja Positano w Alejach Jerozolimskich. No, to już jedźmy, nie drażnijmy dłużej kubków smakowych.

Renata denerwowała się przed randką jak nastolatka. „Trudno powiedzieć, że wyszłaś z wprawy, bo przecież nigdy jej nie nabyłaś, prawda?”, Roma próbowała rozładować napięcie, ale szło jej nieskoro. Renata nie miała ochoty na to wyjście. Wierzyła w przeznaczenie, los, przypadek, a nie w zaaranżowaną schadznię dwojga desperatów.

To utracone złudzenie o romantycznych początkach prawdziwej miłości kłuło jej duszę. Nawet z Gerardem było inaczej. Owszem, początek nie przypominał bajki: „Pewnego razu ujrzała mężczyznę i wszystko w niej od razu zakrzyknęło: to on, ten jedyny!”. Ale przecież poznała go tak, jak należy, czyli przypadkiem – kto mógłby przewidzieć, że podczas wakacyjnej opieki nad starszym panem los postawi na jej drodze mężczyznę, który w bardzo krótkim czasie stanie się jej bliski? A jeszcze trudniejsze byłoby odgadnięcie ciągu dalszego: niezwykle krótkiego i dramatycznego. Tylko los mógł to wymyślić.

A teraz?... Czy już ten czas, żeby się pogodzić z brakiem poezji i otworzyć na prozę życia? Skąd w kobietach, i w Renacie także, przekonanie, że miłość ma być jak grom z jasnego nieba? To chyba jakoś genetycznie uwarunkowane. Kultura dokłada swoje: zaczyna się od Kopciuszka i potem jakoś już leci. A przecież wszystko inne się w życiu planuje: studia, pracę, wakacje, dzieci, wyjazdy, remonty, zakupy. To właściwie dlaczego z facetem miałyby być inaczej? Więc może nie ma się co uprzedzać. Bratnia dusza z Wałbrzycha, no i człowiek jakoś osadzony w rzeczywistości, żaden nieznan i niebezpieczny typ. No i głupio by było nie docenić starań mamy. Pójdzie i da z siebie wszystko.

Pięć minut po dziewiętnastej przekroczyła próg restauracji. Płochliwie rozejrzała się dokoła. Większość stolików była zajęta, głównie przez pary. Tylko jeden był obsadzony pojedynczo. Niestety o pomyśle nie było mowy, ponieważ samotny mężczyzna podniósł się i ruszył w stronę Renaty.

– Miło mi. Tyle o tobie słyszałem. Olgierd. – Zgiął się prawie w pół, schwycił dłoń Renaty i złożył na niej wylewny pocałunek. – Zapraszam do stolika.

Renata, idąc za nim, mogła się przeglądać w wygłancowanej łysinie na czubku jego głowy. Olgierd był o jakieś dziesięć centymetrów od niej niższy. A przecież włożyła balerinki, więc to nie kwestia obcasów.

„Nie daj się zwieść uprzedzeniom”, powtarzała sobie w myślach. Wygląd nie może przesądzać o duszy i charakterze człowieka. Zwłaszcza ten pochodzący z genów. To, co wynikało z wyboru, też nie było idealne, ale skoro Olgierd jest samotny, to kto ma o niego zadbać, podpowiedzieć, że beżowa koszula w drobną niebieską kratę i szerokie płócienne spodnie, w które jest wpuszczona, a całość przytrzymana znoszonym brązowym paskiem, to strój dobry dla siedemdziesięciolatka, nie dla faceta w okolicach trzydziestki.

– To jak ci się żyje w Warszawie? – zapytał Olgierd, odsłaniając w uśmiechu piękne zęby.

„Ciekawe, czy to porcelana własnej produkcji”, przeleciało Renacie przez głowę.

– Dobrze. Twórczo. Połowa studiów już za mną, po wakacjach zaczynam praktyki. Zresztą będę mieć więcej czasu, bo Karinka... – Nagle zamilkła, jakby wywołanie tematu dziecka było czymś wstydliwym. Skąd w niej taka autocenzura – jak u dziewiętna-stowiecznej służącej, której zdarzyła się „przygoda z konsekwencjami”. – Bo Karina idzie do przedszkola – dokończyła już pewnym głosem.

– No tak, tak. – Olgierd przytaknął uprzejmie. – Dzieci są w porządku. To znaczy są miłe. Najczęściej.

Renata pomyślała, że odrobił tę lekcję z tolerancji i akceptacji. Plus dla niego.

– A ty jak się tu odnajdujesz?

– Fantastyczny rynek. Klientów mam tyle, że zatrudniłem technika do pomocy. Zawodowo też do przodu, bo w Wałbrzychu robiłem najprostsze protezy, a tu ludzie sobie życzą tego, co najlepsze.

– Pasma sukcesów, można powiedzieć.

– Może można. Ale praca to połowa życia. A druga, czyli życie prywatne... – zawiesił głos. – Tu jakby gorzej. Samotność doskwiera, pustka jest.

Renata pokiwała głową. Nie mogłaby zupełnie szczerze powiedzieć, że rozumie, bo jej życie było dość szczelnie wypełnione – zajęcia, znajomi, Karina, mama. Czasem doba bywała za krótka. Jasne, nie było w tym życiu faceta, drugiej połówki, ale i czasu na takie tęsknoty miała niewiele. A może po prostu nauczyła się żyć w pojedynkę? Lub sama siebie oszukiwała?

– Podejmowałem różne próby, ale jakoś tak... Nic z tego nie wyszło. Może dlatego, że spotykałem się z samymi warszawiankami? Miały chyba inne oczekiwania.

– O. To znaczy jakie?... – Renata poczuła, że coś się w niej budzi. Jakieś przeczucie, lampka alarmowa się zapala – czyżby to właśnie była ta intuicja, o której mama w kółko nawijała?

– Wielkowiejskie. Kino, wyjście, impreza, weekend w klubie.

– To chyba normalne?

– Niby tak. Ale gdzie w tym miejsce na prawdziwe życie? Zakupy, sprzątanie, odwiedziny u mamy, dzieci?

Tak, to musiała być intuicja. Szturczała ją teraz w zebro.

– No, wiesz... – zaczęła delikatnie. Zbyt delikatnie, bo Olgierd wszedł jej w słowo:

– Właśnie! Ja to nawet rozumiem, inne doświadczenia i oczekiwania. Dlatego kiedy mama wspomniała o tobie i że oboje jesteście z Wałbrzycha... Zrządzenie losu, prawda?

Renata pomyślała, że to dziwne, iż Olgierd wspomniał o losie. To, co dla niej było zaaranżowaną randką, on najwyraźniej uważał za efekt działania jakichś niezależnych od nich sił. Choć, jeśli spojrzeć na to inaczej, to miało sens: życie Olgierda było ułożone pod linijkę – zaplanowane, konkretne, poukładane. Córka koleżanki matki z Wałbrzycha, o której słyszał wiele lat temu, teraz siedzi z nim przy stoliku w Warszawie. Zdążyła nie wyjść za mąż i urodzić dziecko. A teraz być może będzie jego żoną – zdecydowanie ekstrawaganckie jak na standardowe standardy.

Renata już nie zaprzętała sobie głowy romantyczną przypadkowością pierwszego spotkania, nie mogła jednak przeoczyć oczywistych faktów: Olgierd jest tradycjonalistą z krwi i kości. Jego życie musi się toczyć wedle schematu: sprzątanie w sobotę, schabowy w niedzielę, dwoje dzieci, wakacje w Bułgarii, emerytura na działce pracowniczej. Małżeństwo jest gwarantem stabilizacji życiowej. „I to by było tyle”, pomyślała Renata, czując, jak zamyka się nad nią wieko trumny. Już więcej nic?...

Z zamyślenia wyrwał ją głos Olgierda:

– ...to po co komplikować proste rzeczy?

– Czyli?... – Renata, pogrążona w myślach, musiała czegoś nie dosłyszeć.

– No, sprawy podstawowe. Ślub, dzieci. On zarabia, ona dba o ciepło domowego ogniska. Od wieków to działa. Może to zbyt wcześnie na takie deklaracje, ale przy mnie żona nie musiałaby pracować. Ty nie musiałabyś pracować, Renatko. – To powiedziawszy, delikatnie dotknął jej dłoni.

Renata odruchowo cofnęła rękę. Zanim zdążyła pomyśleć, że to jej zupełnie nie kręci – ani propozycja, ani dotyk – popłynął sygnał z ciała.

Nie, nie, nie. Po prostu nie. To się nie uda.

Nie dość, że będzie musiała to jakoś subtelnie dać do zrozumienia Olgierdowi, to jeszcze tłumaczyć się przed mamą. Odmawianie wciąż było jej piętą achillesową. Ale przecież nie może podejmować decyzji dlatego, że nie potrafi być asertywna.

Olgierd chyba uznał, że był zbyt wyrywny, i po prostu miło się uśmiechał.

Sytuację uratowało zjawienie się kelnerki.

– Czy mogę już przyjąć zamówienie?

– Oczywiście. – Uprzejmie uśmiechnął się Olgierd. Po czym zwrócił się do Renaty: – Ja biorę risotto. Odpowiednio zbilansowane, ryż to białe złoto wśród produktów spożywczych, no i są warzywa z cennym błonnikiem. Dobre dla żołądka i zębów.

„Tak, zdecydowanie muszę przestać się dopasowywać”, postanowiła w myślach Renata. „I nie ma co tego odkładać na później. Zacznę od dziś”.

– A ja wezmę mule. Do tego białe wino.

– Kieliszek?

– Nie, butelkę.

Jak to było z tą chorobą i lekarstwem?...

21 czerwca 1996 roku

Złoto bywa szkodliwsze od żelaza.

Roma stała pośrodku pokoju z miotłką do kurzu i miną śledczego do zadań specjalnych. Chwilę krzątała się wzdłuż regału, udając, że zawzięcie odkurza półki. Naraz odwróciła się w półobrocie i twardo wbiła wzrok w przestrzeń nad swoją głową, mniej więcej na wysokości sztychu z rumakiem, zawieszona na ścianie salonu przez właściciela mieszkania.

– Nie mamy tu nic do ukrycia, panie sierżancie! – obwieściła rumakowi pewnym głosem.

Natychmiast potem przypomniała sobie wskazówki reżysera. „Mniej pewnie, drżąco, jakby właśnie owszem, ukrywała pani sekret, ale udawała nieudolnie, że nic podobnego”.

No tak.

Cofnęła się o trzy kroki i jeszcze raz przeleciała półki miotłką. Zatrzymała się w tym samym miejscu co poprzednio i załkała żałośnie:

– Nie mamy tu nic do ukrycia, panie sierżancie!

Skrzywiła się z niesmakiem. Zdecydowanie za łzawo. Jak owca prowadzona na ścięcie wełny brzęczącym ostrzem, tuż przy skórze. Brr.

Trzeba to jakoś wyśrodkować.

Ha, od czego ma się wizualizację?

Przymknęła oczy i z całą mocą wyobraziła sobie, że skrywają z Renatą naprawdę mroczny sekret. Trzymają go, żeby daleko nie szukać, o, tutaj, za telewizorem, pod kłębówiskiem kabli, i jest to... Jest to, powiedzmy, szkatułka... Albo nie, duża damska różowa kosmetyczka, po brzegi wypchana forszą w dużych nominałach. Z samych przekrętów i niecnych interesów. Szemrany towar, jeszcze przed praniem. Brzeżki banknotów są brudne i zakrwawione.

Stop. No nie, to jednak przesada, przecież w praniu pieniędzy nie chodzi o brudne banknoty – napomniała samą siebie.

Czy tam jest dostatecznie dużo miejsca na dużą kosmetyczkę? – zwątpiła i dla pewności zajrzała za ciężki Elemis z wydatnym, czarnym odwłokiem.

Miejsce było. Podobnie jak mnóstwo kurzu.

Przełożyła miotłkę z lewej ręki do prawej i wychochlowała zza odbiornika cały brud, wzniecając w pokoju istne kurzowe tumany.

No. Teraz przynajmniej się nie ubrudzi. Ta kosmetyczka zwizualizowana.

Następnie wyprostowała się, chwilę poruszała łopatkami dla rozluźnienia, po czym z powrotem się przygarbiła.

– Nie mamy tu nic do ukrycia, panie sierżancie...

Na końcu frazy wyrwało jej się westchnienie, pewno od tego kurzu. Ale to nic. Najważniejsze, że wreszcie chyba utrafiła we właściwy ton.

Od siedmiu miesięcy Roma statystowała w filmach. Przygoda zaczęła się pewnego ciemnego grudniowego dnia, kiedy to w kinie Kultura ktoś powiesił ogłoszenie o poszukiwaniu statystów. Po trzech latach sprzedawania biletów, podglądania po wielokroć tych samych filmów zza kotary przy drzwiach oraz poznawania, wprawdzie jednostronnego, coraz to nowych kinomanów Warszawy Roma uważała się już co najmniej za filmoznawczynię, toteż zgłosiła się bez wahania – i (jakże to pewność siebie popłaca!) równie bez wahań została przyjęta.

Oplacalność interesu była, jak to u niej, umiarkowana: ot, za dzień pracy na planie dostawało się obiad i parę złotych. Karina, odkąd poszła do przedszkola, nie potrzebowała już mamy i babci przez całą dobę. Tym bardziej należało szukać sobie nowych pasji, żeby nie skapcanieć.

Romie zależało, by dobrze wypaść. Nieme role martwych powstańców czy bycie małą główką

w chuście w bezimiennym tłumie już jej się przejadły. Marzyła, by wreszcie, choć epizodycznie, zaistnieć.

No dobra, dla utrwalenia, jeszcze raz. Kamera... Akcja!

Skuliła ramiona i fachowo się przygarbiła.

– Nie mamy tu nic do ukrycia, panie sierżancie – rzekła, myśląc z trwogą o wymyślanym skarbie za telewizorem.

Wyszło perfekcyjnie.

– To dla mnie? Serio?

Gośka pokiwała głową.

– No serio, serio. Otwieraj!

To było miłe uczucie. Ktoś chciał się z nią przyjaźnić, pamięta o jej urodzinach, przynosi jej prezent... Nawiązanie koleżeńskich relacji z ludźmi z roku zajęło jej trochę czasu. Niebywanie na imprezach, nieszwendanie się po pubach i niepodzielanie grozy egzaminów (w trosce o utrzymanie stypendium Renata była zawsze wykuta na blachę) eliminowało wiele okazji do zadzierzgnięcia bliższych znajomości. Gośka jednak była wytrwała. Renata już dawno przypadła jej do gustu. Była pojętna, konkretna, kaśliwa (co świadczyło dobrze zarówno o jej inteligencji, jak i o poczuciu humoru) oraz miała styl, który Gośka starała się dyskretnie naśladować. Nie żeby Gośka gustowała w babach, nic z tych rzeczy! Wręcz przeciwnie. Bardzo chętnie przygruchałaby sobie wreszcie jakiegoś miłego chłopaka. Byłaby niezwłocznie gotowa zaznać z nim wszelkich cielesnych rozkoszy, których życie dotąd jej szczydziło.

Cóż, kiedy miłe chłopaki wybierały śliczniutkie żoły, a nie takie życzliwe, grubawe okularnice jak ona.

Fakt, że Renata przez ostatnie pięć lat także nie miała żadnego adoratora, ostatecznie przesądził o żarliwej sympatii Gośki. Renata zresztą wcale przesadnie się nie wzbraniała. Może jedynie czuła, że ma trochę za mało czasu do zaoferowania ewentualnej przyjaciółce. Tudzież uwagi. Interesowały ją sprawy konkretne i praktyczne. Obrona. Znalezienie pracy. I faceta. A nie zwierzenia i ploteczki.

Renata rozerwała cieniutki papier w kropki i jej oczom ukazał się granatowy torebkoplecaczek ze skaju. Szelki plecaczka można było połączyć ekspresem, tak że stawały się paskiem torebki na ramię, lub rozpiąć i umieścić go wygodnie na plecach. Plecaczek był krzykiem mody ostatniego sezonu.

– Przyuważyłam, że ci się podobał, gdy chodziłyśmy w maju po stadionie szukać tych butów dla Kariny – wyznała Gośka, która pośród innych dzień-nikarskich skaz miała i tę nieco irytującą wadę, że zawsze zanadto spieszyła się z roztlumaczeniem wszystkiego. Każdego dowcipu. Każdej puenty. Jakby nie miała zaufania do intelektualnych mocy swych rozmówców. Zdawała się powątpiewać, że sami będą w stanie rozkminić, na czym w danym przypadku polega witz. Jej materiały zawsze były zbyt przegadane, a pytania do wywiadów za bardzo eksponowały samą pytającą. W pracy dziennikarza były to dość znaczące błędy.

– Jest ekstra! – zachwyciła się szczerze Renata. – Stylówka! Tylko... czy ja mogę przyjąć od ciebie taki prezent?...

– Możesz – orzekła stanowczo Gośka. – A skoro ci się podoba, to tym bardziej możesz, wręcz powinnaś.

– Dziękuję! – Renata naraz się wzruszyła. – W takim razie ja cię zapraszam na urodzinową kawę i ciastko u nas w bufecie, teraz, zaraz. Stoi?

– Stoi! – Gośka wydawała się rada z takiego obrotu spraw. – A weź przymierz! – zażyczyła sobie jeszcze, na prawach darczyńcy.

Renata spięła szelki i zarzuciła sobie plecak na ramię. Obróciła się bokiem do Gośki i posłała jej uśmiech modelki.

– W sam raz na staż! – zawołała.

– O właśnie! A powiedz, powiedz, gdzie sobie załatwiłaś? – zainteresowała się Gośka.

Na takie pytania Renata chciałaby móc odpowiadać całe życie – choć to przecież ona miała prowadzić wywiady, nie ich udzielać. Tym razem zrobi jednak dla koleżanki z roku sympatyczny wyjątek. Uśmiechnęła się znowu, tym razem nie jak modelka, a jak zwycięzca.

– W „Gazecie Wyborczej”.

Z trudem kryła dumę i zadowolenie z tego faktu. Od pierwszego roku „Wyborczą” czytała codziennie. W dni powszednie korzystała z egzemplarza w bibliotece, wydanie świąteczne kupowała co piątek do smakowania przez weekend w domu. Gazeta miała swój poziom, a o jej gronie redakcyjnym krążyły legendy. Niekiedy mrozące krew w żyłach, co prawda.

– Fiuuuu!... – gwizdnęła Gośka z podziwem. – Nieźle. Ja przy tobie to wręcz żenada, nawet nie pytaj, dokąd idę. Kiedy zaczynasz?

– Od pierwszego lipca – odpowiedziała Renata, zgodnie z prośbą o nic nie pytając. – To chodź na tę kawę! I szarlotkę! Oby była!

Romę rozpieęła energia. Czują, że wszystko jest jeszcze możliwe. Kto powiedział, że kariera aktorska nie może się zacząć po czterdziestce?

Tylko jak przywabić sukces? Co jeszcze mogłaby zrobić, skoro jej jedyna dotąd kwestia była już wyuczona do granic, a na planie będzie miała okazję wygłosić ją dopiero pojutrze?

Rozejrzała się po mieszkaniu w poszukiwaniu inspiracji. Czerwcowe słońce bezlitośnie obnażało fakt, że kurz starto jedynie z najporęczniejszej półki regału, wszędzie indziej zaś zalega jego gruba warstwa.

Można by posprzątać.

No niby można – ale tak bez ideologii? Podbudowy? Drugiego dna?... To było trochę nie w Romy stylu. O wiele bardziej lubiła robić coś w imię wyższych celów.

Naraz coś sobie przypomniała. Kucnęła przy drugiej od dołu półce regału, tam, gdzie zalegał stosik jej ulubionych gazet. Energicznie zdjęła z góry dwa numery „Gwiazdy mówią” i jedną „Wróżkę”. Poznałaby je i z zamkniętymi oczami: „Gwiazdy mówią” były drukowane na tęym, cienkim, gazetowym papierze, „Wróżka” zaś to była klasa *de luxe*: piękna oprawa graficzna, format A4 i gruba okładka w śliskiej kredzie.

A oto i on! Numer specjalny poświęcony feng shui.

Roma przycupnęła na wersalce i szybko odna-lazła właściwy artykuł.

Jak sobie poradzić z energetyką naszego domu? Najlepiej zacząć od sprzątania. Rozejrzyjmy się, czy nic nie zakłóca przepływu energii. Nie trzeba się na tym znać, wystarczy stwierdzić, czy ułożenie przedmiotów w pomieszczeniach podejrzanie nas nie denerwuje. Czy wszystko na pewno jest tam, gdzie powinno? Jeśli masz wątpliwości, zamknij oczy i wyobraź sobie idealne miejsce w domu na każdy przedmiot. Zwizualizuj sobie ten przedmiot i poczuj, jak wpływa on na energię twojego domu.

Pozbądź się rzeczy budzących negatywne wspomnienia. Po co ci ciuchy byłego partnera? Po co trzymać zdjęcia czy listy kogoś, kto nas zranił? Wyrzuć wszystko, co jest zepsute i zbędne. Jeśli coś wymaga naprawy, napraw to. Rzeczy, których od dawna nie używasz, zapewne już nie użyjesz – nie ma sensu ich trzymać, ponieważ zabierają przestrzeń.

Harmonijny dom to taki, w którym czujemy się dobrze. Zbędne przedmioty nas przytłaczają, odbierają nam powietrze, negatywnie wpływają na energię domu. Uprzątnięcie ich może działać cuda.

– Więc jednak... – Roma z westchnieniem podniosła rzuconą niedbale koło telewizora miotelkę do kurzu. – Diabeł tkwi w sprzątanu. A to się Renatka ucieszy.

– Cześć, babciu! Jesteśmy!

– Cześć, skarbeńku! – Roma otworzyła im drzwi odziana w podomkę i gumowe rękawice. Włosy miała w nieładzie, a wzrok nieco błędny. Zaraz się jednak ożywiła. – Skarbeńki wy moje dwa! – poprawiła się. – Jak było w przedszkolu? – zwróciła się znów do Skarbeńka numer jeden.

– Robiliśmy motyla na powitanie lata, chcesz zobaczyć?
– Czy ja chcę?! O, bogowie! Ja nie wyobrażam sobie, żebym miała nie zobaczyć tego motyla!...
– powiedziała z emfazą, jak na babcie aktorkę przystało. – Pokażesz mi?

Renata ostrożnie wysuwała z reklamówki duże, barwne szkaradzieństwo składające się z krepiny, rolek po papierze toaletowym i słomek do napojów.

– Jakoś tu... – Rozejrzała się. – Nie wiem, jakby więcej miejsca. Albo jaśniej... Sprzątałaś?

– Sprzątałam – przyznała Roma, z uwagą obracając motyla. – Piękny!!!

– Piękny – zgodziła się łaskawie Karinka. – A masz coś dla nas na urodziny?

Roma klasnęła w dłonie, na chwilę zapominając, że wciąż ma na nich rękawice. Zzula je zresztą zaraz i poszukała wzrokiem swojej torebki. Wisiała na krześle. Otworzyła ją, chwilę w niej pogmerała, po czym wyjęła dwie koperty z cieniowanym, pastelowym napisem „Love”.

– Ba! Kochane moje, tym razem mam dla was... bilety do kina i teatru! O, tu proszę... – Zajrzała do pierwszej koperty. – *Cwał* Zanussiego dla Reni, a tutaj... – Podała wnuczce drugą kopertę. – *Smerfy* dla Karinki. Spektakl w najbliższą sobotę. Z mamą i z babcią!

– Juhuuuu! – Pызata Karinka biegła wokół kolan Romy, łapiąc ją za ręce i usiłując włączyć w płas.

Renata obracała w dłoniach swoją kopertę. Jej uwagę zwróciła tęczowa motylek do kurzu, twórczo wetknięta do wazonu z jaśminem. Matka ujawniała coraz bardziej, nazwijmy je delikatnie, artystyczne cechy.

– Poza biletami jest tam jeszcze coś – przerwała jej obserwację Roma. – Tym razem to nie ja ci wróżyłam, tylko wróżka Cecylia. Wróżka Cecylia specjalnie dla ciebie wyciągnęła wróżbę ze swego kramiku z sentencjami.

Od paru miesięcy Roma szczyliła się korespondencyjną znajomością z wróżką Cecylią, mającą stałą rubrykę w „Gwiazdach”. Roma dzieliła się z nią troskami o córkę i wnuczkę, a wróżka w odpowiedzi przekonywała ją do dbałości o niczym niezmacone przepływy energii w domu i do noszenia ametystu, kamienia harmonii i relaksu.

– „Kramik z sentencjami”?... – Renata nie mogła powstrzymać się od uniesienia brwi i pokręcenia głową.

– Tak, tak. To Owidiusz, podobno. Powiedział to, co wyciągnęła. Oczywiście wcześniej. Ach, no i tym razem nie upiekłam ci ciasteczka, bo wróżba by się nie zmieściła, a nie chciałam przepisywać. Wiesz, energia...

Renata pokiwała głową, markując zrozumienie.

W zasadzie już sam brak gniotka był jak dobra wróżba.

Otworzyła kopertę, wyjęła i odłożyła na stół dwa bilety na *Cwał* (Dwa?... Z kim pójdzie? Z Goską? Wykluczone, zagada jej całą fabułę). Następnie wydobyla złożony na pół liliowy kartonik i odczytała jedno krótkie zdanie wypisane pochyłą czcionką.

– Musiałaś za to zapłacić?

– Niewiele. – Roma z wystudiowanym lekceważeniem machnęła ręką. – Zresztą dobra wróżba jest warta wszelkich pieniędzy.

– Uważasz, że jest dobra? – Renata jeszcze raz przeczytała sentencję o złocie i żelazie:

Złoto bywa szkodliwsze od żelaza.

Do liliowego karneciku złoto i żelazo pasowały jak pięść do nosa.

– Brzmi trochę jak „lepsze jest wrogiem dobrego”.

Roma wzruszyła ramionami.

– No ale przecież chcesz odmiany losu...

Wieczór był bardzo przyjemny. W mieszkaniu panowała cisza. Roma wyszła do pracy, Karina spała, a przez szeroko otwarte okno wpadał rześki powiew ostatniego dnia wiosny. Zaraz znów zacznie się lato – ich kolejne lato w mieście.

Renata wzięła swoją starą brązową torebkę i torebkoplecaczek od Gośki, by przepakować zawartość. Nie wiedzieć czemu plecaczek, sądząc po fa-sonie, uszyty najpewniej niedawno, wypchany był gazetami sprzed trzech lat. Z zawodowym zainteresowaniem Renata wyjęła z niego wszystkie pogniecione gazetowe kulki i rozprostowała pierwszą z nich.

Jakieś kolorowe czasopismo. Cała rozkładówka poświęcona Ewie Wachowicz.

Oto Ewa w złocistej koronie Miss Polonia i w jeszcze zdobniejszej, jako trzecia wicemiss w konkursie Miss Świata. Potem też wcale nie gorzej. Prezenterka Polsatu, sekretarz prasowy premiera Pawlaka, producentka telewizyjna. Wszędzie zadbana, piękna, perfekcyjna.

Renata się zamyśliła.

Zwykła dziewczyna z Gorlic, tak jak ona, też z południa. Dlaczego tamtej wszystko się udawało? Pasma uśmiechów fortuny, te miny łaskawej królowej, która jednak zachowała wiele wdzięku młodziutkiej dziewczyny; błyski rzucane na prawo i lewo od jej złotych koron, szarf, cieni do powiek, złocistych blond loków, pięknej biżuterii.

Właśnie, znowu to złoto.

Renata nie miała by nic przeciwko, by i w jej życiu w końcu coś zaśniło pełnym blaskiem szlachetnego kruszcu. Niechby to była forsa albo miłość; a najlepiej jedno i drugie.

Gorlice brzmiały prawie jak Görlitz. Coś ją boleś-nie ukłuło w obfitą pierś.

Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciom Wachowicz. Ciekawe, czy jej to przyszło bez wysiłku, czy doszła do wszystkiego drogą wyrzeczeń? Ale czego by sobie miała odmawiać?

Powiodła wzrokiem po pełnych policzkach miss. Może stosowała drakońską dietę. Może w pocie czoła robiła co dzień zestawy ćwiczeń, których nienawidziła. Może była konsekwentna w dążeniu do jasno wytyczonego celu.

No ale czy Renata nie jest? Od zerówki pilnie się uczyła. Zawsze odrabiała prace domowe, nie zgłaszała nieprzygotowań, brała zadania dla chętnych, nie spóźniała się, należała do zuchów, utrzymywała w pokoju porządek, chodziła po zakupy (także dla pani Krysi, ich wałbrzyskiej sąsiadki staruszki). Wszystko robiła, jak należy. Ba, zdecydowanie więcej, niż należy. Nie poprzestawała na odbębnieniu obowiązków, tylko sama wynajdowała sobie nowe. Gdyby prowadziła zeszyt dobrych uczynków i rzetelności, byłby gruby jak Biblia. Czy los naprawdę tego nie widzi? Nie mógłby zrobić uczciwego bilansu i wreszcie dać jej jakiejś nagrody? Choćby i pocieszenia, cokolwiek, na zachętę.

Renata westchnęła. Zmieniła gazetę i powzięła nieodwołalną decyzję. Po raz kolejny weźmie sprawy w swoje ręce. Nie będzie się łaśiła do fortuny. Plan na najbliższe tygodnie – zrzucić z pięć kilo. A jutro umówi się do jakiejś kosmetyczki. Lub nawet wizażystki.

Tym razem w końcu naprawdę to ona będzie miss.

Renata była przejęta. Staż w „Gazecie Wyborczej”, ho, ho, ho! Do tej pory myślała o tym dzienniku z nabożeństwem i pietyzmem – przecież to kolebka wolnego dziennikarstwa w nowej Polsce. Miejsce opiniotwórcze, marzenie setek absolwentów jej wydziału. A teraz ona, dwudziestotrzyletnia Renata Rębacz z Wałbrzycha, będzie tu ostrzyć pióro. A może, jak dobrze pójdzie, to kto wie – zacznie tu nawet pracować.

Czuła rozpiekającą radość w piersiach. Wsiadła na przystanku przy ulicy Dolnej i postanowiła nie podjeżdżać już niczym do Czerskiej, tylko urządzić sobie spacer. Lipcowe powietrze przyjemnie ogrzewało jej twarz, lekki wiatr rozwiewał włosy. Było idealnie – wakacyjnie ciepło, lecz nie za gorąco. Wiatr ożywczy, niebo błękitne. Miasto urlopowo przetrzebione. Karina z mamą na dwutygodniowym wypoczynku pod gruszą, u dalekiej, lecz zaprzyjaźnionej ciotki na Podlasiu.

Renata pomyślała, że to pierwszy raz w życiu, kiedy czuje się dorosła. Jakkolwiek głupio to brzmiało w odniesieniu do matki przedszkolaka i zaawan-sowanej studentki, tak właśnie czuła. Do tej pory patrzyła na siebie przede wszystkim jak na córkę. Psikus losu sprawił, że nie odcięła pępowiny. Niby wykonała pierwszy krok ku dorosłości, czyli opuściła rodzinny dom i rodzinne miasto, ale one – w osobie Romy – przyjechały za nią do Warszawy.

Nie chodziło o to, że matka była w stosunku do niej nadopiekuńcza czy w inny sposób inwazyjna – zdecydowanie nie. Roma ceniła niezależność: swoją i innych, i nie wchodziła córce w paradę. Jasne, niczego nie owijała w bawełnę, mówiła wprost to, co myślała, ale przenigdy nie próbowała niczego na Renacie wymóc. No ale jednak wciąż mieszkaly razem. Taka sytuacja przeciągniętego gniazdowania nie pomaga we wchodzeniu w dorosłość. Renata była wdzięczna rodzicielce za pomoc w opiece nad Kariną, bez niej nie dałaby sobie rady.

Teraz jednak pomyślała, że właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, by być jedyną gospodynią w domu. O, właśnie to – dom musi mieć jedną gospodynię. Renata czuła, że dorosła do tej roli. Po południu wraca z zajęć lub pracy – „Wyborcza”, rany! – odbiera Karinę z przedszkola, razem robią zakupy. Jedzą wspólnie przyrządzony obiad – bez marchwi i szafowania tłuszczem, potem niespieszny czas przedwieczorny, kąpiel Kariny, czytanie bajki. A później Renata sama – w ciszy albo z książką. Albo w bardziej dorosły sposób – z jakimś facetem w kinie czy w teatrze. W tym czasie czuwać nad córką mogłaby pani Danusia, sąsiadka z parteru, która zawsze ćwierka do Kariny i wiele razy oferowała się z pomocą, no ale jakoś nigdy się nie złożyło.

Taka opiekunka miałyby jedną znaczącą przewagę nad Romą – opuszczałyby mieszkanie po powrocie Renaty. Co z kolei otwierałoby całkiem nową perspektywę zapraszania kogoś do domu na wieczór. Czy nawet na noc.

Renata aż przystanęła, uderzona tą myślą. Tak, zdecydowanie miałyby ochotę na związek. Pełnokrwisty, różnopłaszczyznowy, duchowy i cielesny.

Do tej pory wciąż spychała potrzebę bycia w parze – w wyteżoną naukę lub matkowanie. A może nawet w bycie córką. Teraz coś się zmieniło.

To chyba ta nagła, choć tylko okresowa, wolność.

Coś trzeba będzie z tym zrobić.

„O, to już prawie”, pomyślała, stając na rogu Chełmskiej i Czerskiej. Po lewej stronie widać było budynek redakcji. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się, wypięła pierś i pewnym krokiem ruszyła ku przeznaczeniu.

Już na parterze wydawnictwa jej pewność sflaczała jak balon, który spod sufitu opadł na półkę z kaktusami. W budynku było głośno, gwarno, ruchliwie. Korytarzami biegali ludzie z wydrukami lub dyskietkami w rękach, przy biurkach toczyły się zażarte dyskusje, z bufetu dochodził chichot i zapach pomi-dorowej. Brzęczało jak w ulu. Renata trafiła w oko cyklonu i nie miała pojęcia co dalej.

„Jezu, przecież nie mogę zrobić z siebie sieroty, która chce pracować w takiej gazecie, a zachowuje się jak nierozgarnięta dziumdzia”, pomyślała, odruchowo się prostując.

W tym momencie jej wzrok napotkał spojrzenie młodego mężczyzny, który siedział na biurku pod ścianą, pokazując coś na monitorze komputera stojącej przy nim dziewczynie.

Miał stalowoniebieskie oczy. Spojrzenie było pewne, długie i z błyskiem. Renata, wciąż z wypiętą pierśią i wciągniętym brzuchem, przez moment nie była w stanie zapanować nad kolanami, które zdrząły.

„Przystojny”, pomyślała. „Bardzo przystojny”.

Cholera, szkoda, że nie wdrożyła jeszcze w życie planu zostania miss. No ale przecież nie mogła robić wszystkiego w jednym momencie. Ostatnie dwa tygodnie poświęciła na dokształcanie się z bieżącej polityki, sytuacji gospodarczej, zagrożeń i wyzwań współczesnego świata. Zawsze starała się być na bieżąco, co nie było łatwe, jeśli idzie o informacje przekazywane w telewizyjnych programach informacyjnych, bo Roma machała lekceważąco ręką na wybory, strajki i protesty, skupiając się na numerologii, feng shui i biorytmach oraz domagając się swobodnego dostępu do czasu antenowego, by tę wiedzę tajemną zgłębiać.

Drugą połowę lipca Renata spędziła więc w czytelni na Koszykowej. Zamówiła prasę z ostatniego kwartału, by nie dać się na niczym zagiąć, gdy będzie pisać artykuł dla „Wyborczej”. Zwłaszcza że ostatnio tyle się działo: powstała Akcja Wyborcza „Solidarność”, stoczniovcy demonstrowali przeciwko likwidacji Stoczni Gdańskiej, podpisano polsko-litewską umowę o wolnym handlu, na Ukrainie uchwalono konstytucję, w Mongolii skończyły się rządy komunistyczne, Binjamin

Netanjahu został premierem Izraela. Przyswoić i ugruntować sobie tyle wiedzy w krótkim czasie to nie lada wyzwanie intelektualne. A wiadomo, że mózg potrzebuje najwyższej jakości paliwa. No i glukozy. Renata zatem dostarczała sobie niezbędnych kalorii w przerwach między lekturą dzienników, tygodników i miesięczników. Zdaje się, że mózg nie był, niestety, aż tak zachłanny i nie pożarł wszystkiego, część aprowizacji przekazując na przykład biodrom i brzuchowi.

Facet wstał, raz jeszcze pokazał coś koleżance przy biurku, po czym położył jej rękę na ramieniu (kolana zadrżały powtórnie), coś powiedział i odwrócił się w kierunku wejścia, gdzie wciąż, nieruchomo, tkwiła Renata.

Metr osiemdziesiąt ładnie zbudowanego męskiego ciała, odzianego w modne dzinsy i lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, pewnym krokiem zmierzało w jej stronę. Jeszcze mocniej wciągnęła brzuch.

Nieznajomy zatrzymał się pół metra przed nią. Na tyle daleko, by mogła raz jeszcze otaksować wzrokiem całą sylwetkę. I na przykład zauważyć, że ma włosy w ładnym odcieniu blond, lekko rozjaśnione od słońca, z dłuższą grzywką – zostawioną zapewne po to, by mógł ją seksownym ruchem odgarniać z czoła. I na tyle blisko, by poczuć intrygujący zapach wody kolońskiej.

– Dzień dobry. Jestem Norbert. Czy mogę jakoś pomóc? – Głos pasował do właściciela. Był mocny, pewny siebie, przyjemnie niski.

Renata, i tak już onieśmielona debiutem w prawdziwym świecie dziennikarstwa, teraz była dodatkowo zdeprymowana całą sytuacją.

Norbert nie był taki, jak dotychczasowi faceci, których znała. Gerard, „żebym się teraz tylko nie rozkleiła”, pomyślała, kochany, miły, elegancki, ale bez pazura, bez tego, co mogą mieć tylko pewni siebie i swojego uroku trzydziestolatkowie, koledzy z roku – równie niewprawni jak ona, z bagażem niepewności przywiezionym z domów rodzinnych, położonych daleko od stolicy, protetyk Olgierd, w którym można było czytać jak w otwartej księdze – i nie był to romans.

Norbert wyglądał zupełnie inaczej. Wzorzec faceta z Sèvres. Niewymuszony luz i pewna nonszalancja.

– Renata, miło mi. Ja... khm... ja... przyszłam na staż. Z dziennikarstwa na UW. – Renata próbowała zapanować nad głosem. – Wakacyjne praktyki. Jestem z puli profesora Matyszczyka.

– O, cóż za doskonała rekomendacja. Profesor to pierwsza liga dziennikarstwa, co znaczy, że stoi przede mną studentka, którą warto się zainteresować. Zawodowo. – Uśmiech też miał niezwykle przyjemny.

„Zaopiekuj się mną, nawet gdy powodów brak, zaopiekuj się mną mocno tak” – Renacie przypomniawszy się piosenka Rezerwatu, od której miała ciary na imprezach licealnych. Teraz ciary wróciły.

– No tak... to zaopiek... znaczy zainteresuj się mną. – Miało to zabrzmieć uwodzicielsko, ale wyszło raczej bezradnie.

Norbert musiał jednak lubić delikatne, mało przebojowe kobiety, bo w uspokajającym geście położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

– Jasne. Poczekaj tu chwilę, zaraz się wszystkiego dowiem.

Renata oparła się o ścianę. Nie była pewna, czy to kwestia butów na obcasie, duchoty w budynku czy fluidów płynących od Norberta, ale lekko zakręciło się jej w głowie.

Nagle jej życie nabrało rumieńców i rozpędu. Czy to możliwe, żeby rzeczy działały się ot, tak? Jak pstryknięcie palcami? Z uporządkowanego, spokojnego nurtu w pędzący wir?

Zresztą nieważne. Ważne, że bardzo jej to odpowiada.

Zobaczyła wracającego Norberta.

– No, już wszystko wiem. Szefa Stołka nie ma, ale zadzwoniłem do niego i dostałem wytyczne. Tomek wraca w przyszłym tygodniu, do tego czasu ja będę się tobą opiekował.

„Opiekował. Się. Mną”. Kolana Renaty znów nabrały konsystencji ciepłego wosku.

Norbert patrzył na nią tym swoim nieprzeniknionym, magnetyzującym wzrokiem, który sprawiał, że traciła kontakt z rzeczywistością, oddając się błogiemu odrętwieniu.

„Jezu, rany, Renata, zberz się, bo to przecież «Wyborcza»”, skarciła się. „Najpierw wielkie dziennikarstwo, potem amory”.

– Fantastycznie, już notuję. – Jej głos zabrzmiał pewnie i dziarsko.

– Dobrze, to siądźmy sobie tu, przy tym biurku, i wszystko ci przekażę. Tomek podyktował mi listę tematów na pierwszy tydzień.

– Aha. Ale właściwie dlaczego ten Tomek? Przecież on kieruje „Gazetą Stołeczną”?

– No właśnie dlatego. – Norbert błysnął równymi, białymi zębami. – Jakby tak na spokojnie się zastanowić, to całkiem logiczne, że szef działu, w którym masz stażować, wręcza ci listę zadań, prawda?

– Wciąż się miło uśmiechał.

Renata poczuła nagły ścisk w krtani. No jak mogła być taką idiotką! Co ona sobie roiała? Że od razu siądzie sobie na kolegium z naczelnym i zamiast niego napisze wstępniak? Kretynka. Tak się kończą nieokielznane marzenia. Ech. No trudno, trzeba zachować kamienną twarz, bo jeszcze Norbert się domyśli i Renata skompromituje się nie tylko przed sobą, lecz także przed nim. Zresztą lokalnie też się tyle dzieje, i w kulturze, i w administracji. Tu też się można wykazać.

– No tak, tak, nie to miałam na myśli. Po prostu sądziłam, że może będzie jakieś zebranie, może są inni stażyści i...

– Nie, teraz jesteś tylko ty. I ja – na etacie, wcześniej też tu byłem na stażu. Zaskoczyło, spodobałem się i teraz jestem szefem działu kulturalnego. No i zastępcą Tomka – chwilowo.

O, kultura, też miło. Może wspólne wyjście do teatru? Albo na wernisaż? Recenzja z filmu? Tak, Roma ma rację, mówiąc, że nie warto się martwić, bo los nam zwykle szybko wynagradza niepowodzenia, oferując nowe szanse.

– ...awarii ciepłowniczej na Woli.

– Słucham?

– No wody nie ma. Już drugi dzień. W wakacje, kiedy gorąco, to dotkliwie. A spółdzielnia niemrawa, coś niby robią, ale mieszkańcy twierdzą, że raczej pozorują pracę. No i wodę podstawiają tylko rano, potem już nie. Ludzie zirytowani, ktoś nawet prał dziecięce ubranka pod kranem przy ujęciu oligocenki.

„No i to by było tyle, jeśli chodzi o marzenia”, pomyślała Renata. Brak wody w kranie. A to się wykaże, ho, ho.

– Tak. Jasne. To na kiedy to ma być?

– Na już, słońce. Masz czas do szesnastej. Teraz jedziesz, czyli dotrzesz tam na jedenastą, łapiesz prezesa spółdzielni, jakichś speców, jeśli grzebią przy rurach, kilkoro mieszkańców. Wracasz, siadasz przy komputerze, piszesz porywający tekst i o szesnastej przynosisz mi dyskietkę na biurko. I jeszcze nad nim popracujemy – razem.

To „razem” stanowiło pewną pociechę. Może po prostu nie marzenie o błyskotliwej karierze miało się spełniać, tylko to o atrakcyjnym facecie?

Dobra, niech będą i rury.

Podróżowanie komunikacją miejską ma mnóstwo zalet. Tego dnia długa trasa z Czerskiej na Wolę przydała się Renacie do opracowania planu. Przed wyjściem z redakcji sprawdziła adres osiedla i spółdzielni, do których miała się udać, wykombinowała, które połączenie tramwajowo-autobusowe będzie najlepsze, a następnie, w owych tramwajach i autobusach, wynotowała sobie listę tego, czego chciała się dowiedzieć. Poważany przez Norberta profesor Matyszczuk przekonał ją (a wraz z nią pewnie innych swoich studentów), że gdy chce się dotrzeć do sedna danej sprawy, taki punkt wyjścia jest lepszy niż standardowa lista pytań. Fajne pytania trochę lansują pytającego i trochę schlebiają przepytawanemu, często znudzonemu sztamponowym zestawem typu „jak się zrodziła myśl” czy „skąd się wziął pomysł na”. Lista celów natomiast trzymała w ryzach reportażyście, pytania i jego uwagę, nie pozwalając stracić z oczu tego, czego dziennikarz chciał się dowiedzieć. Co więcej – dzięki niej można było stworzyć satysfakcjonujący materiał dla finalnego odbiorcy – czytelnika, słuchacza czy widza. A przecież to

satysfakcja odbiorcy decydowała o tym, kto z dziennikarskiej braci był lubiany, poważany i chętnie wysłuchiwany.

Do śląskiej duszy Renaty ta metoda bardzo przemawiała.

Na miejscu poszło... jak z płatka. Mieszkańcy przywitali ją z otwartymi ramionami, pałając żądzą wygadania się, wyżalenia, a w niektórych przypadkach także wykorzystania fantastycznej sposobności do zaistnienia w gazecie. Także w spółdzielni auto-rytet „Wyborczej” otworzył jej drzwi prezesa, a jego sekretarkę skłonił do podania dobrej kawy i talerzyka czekoladowych wafelków. Wisienką na torcie zaś była dobra i potwierdzona wiadomość, że w ciągu najbliższych dwóch dni awaria zostanie ostatecznie naprawiona.

Wprawdzie w świecie informacji, odmiennie niż w świecie filmu, liczył się nie happy end, ale zasada *bad news is a good news*, Renata była jednak z efektów pierwszego dnia swej praktyki bardzo kontenta. Dramatyczny problem i jego rychłe rozwiązanie postanowiła wziąć za dobrą monetę. Na start... i na wszystko inne.

W drodze powrotnej naszkicowała sobie całą notatkę, tak że po powrocie na Czerską pozostało jedynie wklepanie jej do komputera i zapisanie na dyskietce.

Dwie minuty po wpół do czwartej wręczyła ją Norbertowi.

– Tempo bez zarzutu. – Uśmiechnął się, biorąc od niej kwadratowy dysk. – Zobaczymy, czy jakość także. – Wsunął dyskietkę do swego komputera. – Weź sobie krzesło i siądź tu koło mnie, to omówimy na bieżąco.

Renata przyturlała fotel obrotowy zza sąsiedniego biurka i zajęła miejsce.

Norbert czytał, nie przerywając.

– Język dobry, czysty, bez zbędnych zawijasów. Bardzo dobrze – pochwalił. – Punkt za puentę – dodał, a Renata, bardzo na siebie zła, poczuła, że się czerwieni. – Jedyne, co trzeba poprawić, to długość. Całość musi się zamknąć w jednym łamie, i jeszcze odchodzi nam tam miejsce na dwumodułową reklamę. Ale tym się nie przejmuj, to normalne u nowicjuszy. Zresztą wykreślać jest łatwiej niż dopisywać; osobiście uwielbiam skracać teksty. Chcesz zobaczyć, jak przykroję twój?

– Jasne.

W miarę tego przykrawania mina jej jednak trochę rzedła. Nie umiała jeszcze przeliczać łamów na wiersze i liczbę wyrazów, nie była też pewna, ile zajmuje jeden moduł reklamowy – widziała natomiast, jak pod bezlitosną ręką Norberta ginie ponad połowa jej dobrze napisanego tekstu. Szkoda jej było dosadnych wypowiedzi mieszkańców i jej własnych trafnych podsumowań.

Nagroda jednak przysłała tuż po ostrym cięciu i wyjątkowo skutecznie osłodziła jej żal za wyciętymi fragmentami.

– No, to w takiej postaci może zostać – podsumował Norbert. – Zapisuję zmiany i przekazuję do wmontowania do jutrzejszego wydania. Jak podpisujemy? Inicjałami? „RR”?

– Chyba tak... – Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, ale tak, inicjały wydawały się stosowne. Tak się często podpisywali w „Gazecie”, więc... – Tak, tak poproszę – potwierdziła pewniejszym głosem.

Komputer zapisywał dane, wydając bzyzące dźwięki, pasek na monitorze informował o postępie procesu – w końcu wszystko ucichło, zniknęło, a Norbert wyjął dyskietkę, posłał Renacie zadowolony uśmiech i poszedł zanieść materiał do redaktora jutrzejszego wydania.

Piętnaście minut. Tyle trwała akceptacja, obróbka i przekazanie jej pierwszego tekstu do druku. Ła!!!!

Rozejrzała się po sali, niepewna, co ma dalej robić. Odstawiła krzesło na miejsce, wróciła do swojego biurka, ale energia nie pozwoliła jej spokojnie usiąść. Może pójdzie przypudrować nos albo napić się wody? Swoją drogą taka praca w ciągłych emocjach musi nieźle odchudzać. Przez cały dzień nic nie zjadła (no, wafelki w spółdzielni!) i nadal nie czuła się głodna. To dlatego pewnie wszyscy tutaj byli tak szczupli!

Zajrzała do kuchni, napiła się wody i poszła do łazienki. Przed dużym, idealnie czystym lustrem nad ciągiem umywalk otworzyła wieczko taniego pudru w kamieniu, potarła go puszkiem i naniosła na

czoło, brodę i nos.

Hm.

Bardzo ostre światło nad lustrem podpowiedziało jej, że chyba był źle dobrany.

Jeśli dostałaby tu robotę... I codziennie widywałaby Norberta... No to przecież nie może wyglądać jak gęś z prowincji. Przyjrzała się sobie krytycznie: puder był za jasny i szybko się ścierał, więc nos i broda świeciły jak stuwatowe żarówki; szminkę już prawie zjadła, co może nawet lepiej, bo malowanie ust bez użycia konturówki nie wychodzi zbyt dobrze. I czy przypadkiem nie ma wąsika nad górną wargą?! Było gorzej, niż sądziła. W domu jeszcze wydawała się sobie całkiem, całkiem, ale tylko dlatego, że nie miała odpowiedniego odniesienia. Studenckie życie rządzi się innymi prawami niż wielki świat mediów. Wyobraziła sobie siebie u boku Norberta – on czarujący, z niewymuszoną elegancją, ładnie pachnący, ponętny, jak z artykułu w „Twoim Stylu”, a ona... no zdecydowanie z innego czasopisma, na przykład ze swojskiego „Super Expressu”. I taki supergość miałby się nią zainteresować?

„Co to za szybki apetyt!”, skarciła się. Jeden dzień stażu i zaraz chrapka na więcej! Ot, przewrotna natura człowieka, co każe mu nie cieszyć się tym, co właśnie osiągnął, lecz natychmiast chcieć więcej!

Jakby w odpowiedzi na to autobesztanie z miejsca przypomniała jej się Roma i jej wiara w siebie, potęgę wizualizacji i pozytywnego myślenia.

Jeśli więc dostałaby tu angaż, to za pierwszą pensję...

Pierwszą pensję w całości by przepuściła. Poszłaby do wizażystki. I jakiegoś dobrego, obłudnie drogiego fryzjera, pardon: stylisty, żeby jej dobrał komputerowo fryzurę i kolor włosów.

Pewnie bardzo przyjemnie byłoby tak żyć na co dzień. Chadzać sobie do fryzjera i manikiurzystki, jadać luncha na mieście, pić kawę z ekspresu ciśnieniowego, nawiązać z Norbertem stosunki niesłużbowe...

Prychnęła z zażenowaniem. Jak to się jej łatwo w głowie przewraca. Jeden dzień pracy w gazecie, szacunek w oczach rozmówców, dobra kawa, wafelki, tekst do druku – i już sobie roi nie wiadomo co!

„A niby dla czego nie?” – coś z nagłą zadziornie odezwało się w Renacie. Jest świetnie przygotowana, dobrze pisze, a do tego w najbliższym czasie planuje schudnąć i wypięknąć. Właściwie to jest najlepszą znaną sobie kandydatką do wszelkiego sukcesu. Przed państwem, w złotej koronie – miss Renata Rębacz! To złoto z wroźby musi coś oznaczać! Nie srebro, nie brąz, nie nagroda pocieszenia, lecz złoto!

Z łazienki wyszła nabuzowana animuszem. Go-towa na wszelkie wyzwania. Właściwie już piękna i szczupła. Odetchnęła głęboko swoją pełną piersią i z królewską gracją wkroczyła z powrotem do redakcji.

– O, Renatka, dobrze, że jeszcze jesteś!

No i brawo. Przynajmniej jedna osoba odnotowała wejście miss. Co więcej, nie była to jakaś tam przypadkowa osoba, lecz Mister Universum, Norbert...

Jak on właściwie ma na nazwisko?

– ...bo wynikła taka nagła sprawa. Dziś Bory Tucholskie oficjalnie dostają rangę parku narodowego. No i trzeba tam pojechać, bo szef chce mieć materiał: trochę pogadanki o tym, co lokalna ludność na to – wiadomo, pewno będą się użalać, że już nie będzie można zbierać grzybów w lesie – a trochę pięknego materiału graficznego – wiesz, bór, zieleń, jakiś kwiat, huba, dziupla – da się duże zdjęcia na kredowej wkładce, w sam raz na początek lata. To ani twoja, ani moja działka, ale rozumiesz, lipiec, urlopy, biorą ludzi z łapanki... Fotograf jest, jedziemy zresztą jego autem – tylko pismaków brakuje. Gdybyśmy pojechali we dwójkę, tobyśmy się na miejscu podzielili robotą i szybko uwinęli. To jak, mogłabyś czy masz jakieś zobowiązania?

Pytanie było niby niewinne i czysto zawodowe. Jedyne tymi zobowiązaniami trochę odkrył karty. He, he.

A więc to działa tak błyskawicznie? Cała ta afirmacja i wizualizacja?...

Aha, on czeka na odpowiedź.

– Mogłabym – odparła uprzejmie miss Renata R.

Norbert wyraźnie się rozpromienił.

– Ekstra! To co, jutro pod firmą o siódmej? Aha, i przygotuj sobie jakąś wiedzę na temat parków narodowych i tego konkretnego terenu, żeby wiedzieć, o co pytać, co tam pokazać i te de.

Aha. Czyli Renata już wie, co będzie czytać dziś wieczorem. Prawdę mówią, że dziennikarzem jest się całą dobę.

Renata miała nadzieję, że wyszukanie i przyswojenie wiadomości o Borach Tucholskich pójdzie jej jak z płatka. Odnalazła w katalogu odpowiednie publikacje, złożyła zamówienie, a na Koszykowej wolne pół godziny, po których powinna dostać potrzebne pozycje, przeznaczyła na pyszne sajgonki na placu Konstytucji. Bardzo lubiła tu jadać; powiew egzotyki niezwykle ją pociągał. Jedyne zgrzyt, który na mikrosekundę przyhamował apetyt, gdy przystanąła przed budką z wietnamskim jedzeniem, wynikał z tego, że w plastikowym pudle, przypominającym przyczepy kempingowe „Niewiadów”, nie było bieżącej wody. No ale czy na przykład w takim Hanoi to w każdym punkcie gastronomicznym jest kran z wodą? Pewnie nie. A miliony Wietnamczyków tam jedzą i żyją.

Ukończywszy domagający się obiadu żołądek, wróciła na Koszykową i rozsiadła się nad zamówionymi tekstami.

Po półgodzinie czuła się znękana.

Po godzinie pomyślała, że właściwie to nie lubi natury.

Gdy minęło półtorej godziny, z rezygnacją zaczęła robić notatki-ściągi. Mimo bólu głowy.

Nigdy nie lubiła ani geografii, ani biologii.

Interesował ją drugi człowiek, historia, a nie świstunka leśna, trzepla zielona, porybliny jeziorne czy grzybienie północne. „Utworzenie w Borach Tucholskich parku narodowego ma na celu ochronę oligotroficznego krajobrazu sandrowego, jedyne tego typu w obecnie istniejących parkach narodowych w Polsce, a unikatowego w Europie”. Rany. Dla kogo oni to piszą? Skoro ona, Renata Rębacz, z wyższym wykształceniem, oblatana całkiem niezłe w wiedzy o świecie i znająca dużo trudnych słów, czuje się, jakby czytała po chińsku. No nic. Skupi się na wiadomościach przyswajalnych, czyli na przykład na nazwach miejscowości, powierzchni i takich tam. Jakoś to będzie.

Męka poznawcza, której doświadczyła w czytelnicy, była niczym wobec znoju, z jakim wybierała ciuchy na pierwszy reporterski wyjazd.

Bory, dzicz, tereny pierwotne, cywilizacja tu się nie zadomowiła, więc ubranie powinno być adekwatne. Żadnych szpilek, wiadomo. No ale z drugiej strony nie jest przecież pracownicą pegeeru, tylko przedstawicielką ważnego dziennika, więc walonki i koszula flanelowa też chyba nie na miejscu. Jest gorąco, bo to lipiec, ale w takim borze, zwłaszcza jeśli się trafi las mieszany, jednak panuje chłód. No i kleszcze są, a przed nimi się trzeba chronić, osłaniając każdy centymetr ciała. A jak pojedą do jakiegoś sołtysa lub leśnika? I tam w domu będzie siedziała okutana, spływając potem? Lepiej wygląda w sukienkach, ale może to głupio do lasu w kiecce? A gdyby tak zapakować różne warianty stylistyczne? Ale czy wtedy nie wyjdzie na próżną pannę, która w najkrótszą podróż zabiera pół szafy?

O północy była prawie spakowana i ledwo żywa.

Zasnęła w drodze do łóżka.

Podróż do Chojnic odbyła się w towarzystwie Norberta i fotografa Piotrka. Warunki całkiem luksusowe – opel astra ojca Piotra sprawnie ich wiozł krętymi kaszubskimi drózkami, na których Renacie było tylko trochę niedobrze. Całe szczęście, że zasnęła i nie zdążyła rano zjeść śniadania.

Na miejscu okazało się, że jej obawy były na wyrost. Norbert wziął na siebie sprawy administracyjno-geograficzno-biologiczne, czyli poszedł na spotkanie z sołtysiem i dyrektorem parku, a Renata dostała do zeksplorowania element ludzki, to znaczy ruszyła w teren, by pytać mieszkańców, co sądzą o pomysły wyodrębnienia kawałka lasu i uczynienia go dobrem chronionym prawem. Piotrek pojechał w objazdówkę popstrykać zdjęcia. Mieli się spotkać wieczorem na kolacji, w pensjonacie Bóbr, malowniczo położonym nad jeziorem Wielkie Gacno.

Renata dotarła na kwaterę chwilę przed siedemnastą. Na ganku zobaczyła Norberta. Siedział na drewnianych schodach, wachlując się „Wyborczą”.

– O, jesteś! I jak poszło?

– Całkiem, całkiem. Utwierdzam się w przekonaniu, że lubię rozmawiać z ludźmi. – Uśmiechnęła się, zastanawiając się, czy po całym dniu spędzonym w upale nie jest zbyt spocona lub czerwona. Przydałaby się jej kąpiel.

Norbert chyba czytał jej w myślach:

– Pewnie jesteś znękana? Może napijemy się czegoś w barze i zjemy coś małego, a potem przejdziemy się nad jezioro?

„Znakomity pomysł, zwłaszcza to jedzenie”, pomyślała Renata. Adrenalina już spadała i teraz do głosu zaczęła dochodzić głód.

Kiszka ziemniaczana była znakomita.

Skwarki do niej – cudowne.

Zimne piwo – ożywcze i relaksujące.

Towarzystwo Norberta – coraz mniej stresujące i coraz bardziej inspirujące. Fajny z niego facet. Bezpośredni, serdeczny. I taki przystojny... Aż niewiarygodne połączenie przymiotów!

Po części kulinarnej przyszedł czas na rekreację. Ruszyli w stronę jeziora.

Upał już trochę zelżał. Zniżające się słońce pięknie oświetlało taflę wody. Wokół panowała cisza.

– Niby wakacje, a tutaj tak pusto – zauważył Norbert.

– Ruch turystyczny skupia się po drugiej stronie jeziora. Tu ostoja dla odludków, takich jak właściciele pensjonatu.

– Najwyraźniej tak. To dlatego wszędzie same szuwary i nie widać dostępu do wody. Jak rybacy, którzy cenią ciszę, radzą tu sobie?

– W jeziorze Wielkie Gacno nie odnotowano obecności ryb, co spowodowane jest kwaśnym odczynem wody i niską trofią – wyjaśniła uprzejmie Renata. Popołudnie w czytelnicy właśnie procentowało.

– Co? Matko, no nie wierzę! Wzorowa uczen-nica!

– Rozmawiasz z fachowcem.

– A czy fachowiec wie, dokąd pójść, by zamoczyć nogi w jeziorze?

– Wie, bo pytał właścicieli Bobra. Za jakieś pół kilometra będzie niewielki drewniany pomost schowany wśród turzyc. Głównie nitkowatej, choć także i dziubkowatej. Chodźmy – rzuciła Renata osłupiałemu Norbertowi.

Szła teraz przed nim. Czowała się mądra, profesjonalna i kompetentna. Oraz zaradna i przenikliwa. No i całkiem kobieca. Lniane szorty nie krępowały ruchów i nie zdradzały zbyt wiele. Bawełniany T-shirt z dekoltem uwydatniał biust i milczał o brzuchu. Bardzo fortunny fason.

Renata zgrabnym krokiem wędrowała wzdłuż brzegu. Dojrzała pomost. Nagrzane szare drewno pachniało jeziorem i wakacjami. Usiadła na krańcu, spuszczać uwolnione z trampek stopy do wody. Poczowała się błogo. Podała się zmęczeniu, promieniom słońca i chmielowemu alkoholowi. Ułożyła się wygodnie na deskach i przytknęła oczy.

Po chwili usłyszała cichy plusk i poczuła ramię Norberta przy swoim.

Przeszył ją prąd. Lekkie muśnięcie podziałało na nią jak zaawansowana pieśczoła. Kula gorąca błyskawicą rozlała się po jej ciele. Mimo ciepła bijącego od desek i żaru z góry poczuła gęsią skórę na rękach.

– Jak miło. Cisza, natura i rusałka obok – odezwał się niskim głosem Norbert.

I głos miał taki seksowny...

– Rusałki to panny, które dokonały żywota przed zamążpójściem – wyjaśniła Renata, próbując opanować drżenie. Nigdy wcześniej żaden facet tak na nią nie działał. Nie robiąc prawie nic.

– O, nie wiedziałem. Przykra sprawa, tak niefortunnie pożegnać się z tym światem. Nie doświadczyć jego uroków. – Palce Norberta delikatnie polaskotały jej szyję.

– Doświadczały. Tyle że po życiu. – Renata bardzo pragnęła, by te uroki stały się jej doświadczeniem, zaraz, natychmiast, tu. Z nim.

– Perwersyjnie... A ja jestem prostym, tradycyjnym chłopakiem. – Teraz palce Norberta lekko gładziły płatek jej ucha.

Przypomniał jej się tekst z „Bravo Girl” o tym, że wprawny kochanek może doprowadzić kobietę do orgazmu, głaszcząc jej ucho. Uznały z koleżankami, że to największa bzdura, jaką kiedykolwiek czytały. Teraz Renata poczuła, że to może być prawda. Czuła jednak też, że nie tylko jej ucho jest spragnione dotyku sprawnych dłoni Norberta.

Obrócił się na bok, wsparł na ramieniu i pochylił głowę nad twarzą Renaty.

– Noc kupały już była, ale ja bym chętnie poszukał kwiatu paproci. – Pocałował Renatę długo i namiętnie, a potem, wciąż obsypując ją pocałunkami, zaczął się przesuwać od szyi w dół ciała.

Renata zdążyła jeszcze pomyśleć, że przecież paprocie nie wytwarzają kwiatów. A potem poczuła się tak, jakby spadała z bardzo wysoka – z jej ciałem działy się dziwne rzeczy: wirowało, nabierało rozpędu, pulsowało, aż gwałtownie, ale zarazem miękko wylądowało na ziemi.

Oboje znaleźli kwiat paproci.

21 czerwca 1997 roku

Upojonej światłem ćmie marzy się los motyla.

Gośka w roli druhny czuła się nieswojo. Przerażały ją te wszystkie ślubno-weselne obrzędy, ceremoniał, odpowiedzialność, widoczność...

No dobra, bez ściemniania: tak naprawdę przerażało ją to, że Renata wychodzi za mąż, a ona jest ciągle sama. Umyślnie skupiała się na odpowiedzialności i obowiązkach, by nie myśleć o tym, że za weselnym stołem usiadzie bez pary. Co gorsza, w rażąco bliskim towarzystwie zakochanych gołąbków.

Okropność. Nigdy by na to nie poszła, gdyby tak nie lubiła Renaty.

No dobra – jeszcze raz, bez ściemniania: nie chodziło tylko o przyjaźń. Gośka wiedziała, że w świecie mediów kontakty są ważniejsze niż umiejętności i dokonania. Wprawdzie w materii umiejętności i dokonań niespecjalnie miała się czym pochwalić, lecz przebywanie w orbicie ludzi sukcesu, za jakich uważała Renatę i Norberta, dawało w jej mniemaniu szansę na to, że i na nią spłynie w końcu trochę życiowego farta.

Norbert oświadczył się Renacie w sylwestra. Spędzali go u jego znajomych w bloku na Żoliborzu na nader hucznej i tłumnej prywatce. Dużo pili, dużo tańczyli, Norbert namiętnie gniótł jej po-nętne ciało, łatwo dostępne przez cienki mate-riał opiętej sukienki – aż gdzieś po północy, po szampanie, toastach i życzeniach, ktoś włączył kasetę Myslovitz.

Norbert przepadał za Myslovitz. Ich teksty działały mu na wyobraźnię, muzyka poruszała jakąś czułą strunę w jego podatnym na wzruszenia sercu. Dlatego, choć był sromotnie przepocony po hulaszczej składance rockandrolli, bez namysłu porwał Renatę do tańca. Przekiwali się przez nastrojową *Historię jednej znajomości*, z powrotem rozruszali przy *Z twarzą Marilyn Monroe*, następna była *Peggy Brown*.

Norberta najulubieńsza.

Nigdy nikomu nie wyznał, że ta Peggy Brown nieskończenie go podniecała. Była muzyczną ekspresją jego fantazji o kobiecie idealnej. Trochę niedopowiedzianej, trochę obcej, czasami hardej, nie do wytrzymania ponętnej, koniecznie z jasnym, miękkim ciałem, cudownie ustępującym pod jego palcami.

*Jej głos jest dla mnie muzyką
pulsuje jak ciche echo.*

*Jej twarde białe piersi
mleczniejsze są niż jej mleko.
Jej suknia z miękkiej tafty
dziś skromnie opuszczona...*

Chyba o niczym w życiu nie marzył tak jak o takiej sukni, pod którą chciałby się wkradać w przelicznych, niekończących się wyprawach po złote runo. „Dziś skromnie opuszczona” – to znaczy, że nie zawsze taka bywała, o nie... Nieznośnie seksowna Peggy była kapryśna i zmienna: raz pozwalała łaskawie na ukończenie wyprawy, to znów dumnie opuszczała sukienkę, wydając wyrok na męskie katusze. I jeszcze to słowo „tafta”... Tak wspaniale lechtało wyobraźnię! Jak dokładnie wygląda ta tafta? Wyobrażał sobie, że jest trochę sztywna, połyskliwa, a przy miętoszeniu wydaje niesłychanie erotyczny szelest.

Nocami w samotności

*rozpustny sen widziałem
żeśmy w jednym łóżku
spojeni ciało z ciałem...*

Dla duszy Norberta to było za wiele. Zawsze tak przeżywał tę piosenkę. Chciało mu się płakać. Och, Boże, przeżyć coś takiego!... Przeżyć – i choćby umrzeć!

*O Peggy Brown, o Peggy Brown,
kto ciebie ukochać będzie umiał?*

Naraz Norberta przeszły olśnienie jak strzała; błysk geniuszu, przejmujący aż do braku tchu i do bólu trzewi.

Twarde białe piersi? Suknia z tafty? Rozłożyste łono?

Czy to możliwe, że tak długo pozostawał ślepy, podczas gdy Peggy była tuż obok?!?...

Nic na świecie nie wyzwala w męskiej duszy takich wzruszeń jak odpowiednia proporcja muzyki i alkoholu. Norbertowi aż łzy stanęły w oczach na to objawienie.

Nagłym ruchem odsunął od siebie Renatę, tak by móc całą ją objąć wzrokiem.

Peggy. Jak nic. Poczul, jak kręci mu się w głowie.

Patrzyła zdziwiona na tę nową figurę w ich tańcu. Uroczyście ujął ją za obie ręce.

– Renatka... – wyjąkał, ledwie panując nad drzeniem głosu. – Renatka, a może my byśmy się pobrali?

Nie były to tak wystudiowane oświadczenia jak dopracowana kolacja Gerarda.

Nie było to też mistrzostwo świata, jeśli idzie o formę.

Oddech absztyfikanta zalatywał śledzikiem i wódeczką, pod pachami miał mokre plamy, zabrakło kwiatów i pierścionka. Renata była jednak zadowolona, że wystąpienie tak diametralnie różniło się od tamtych zaręczyn. „Nic dwa razy się nie zdarza” – pisała świeżo upieczona noblistka Wisława Szymborska To znaczy: zdarza się – ale nigdy nie identycznie jak poprzednio. Na szczęście.

I jeszcze te łzy w oczach Norberta. Musiał być naprawdę szczery, wzruszony i przejęty. To wszystko sprawiło, że i jej zawilgotniały oczy.

Czy nowy rok mógł zacząć się lepiej? Nie. Było i-de-al-nie!

Czasem się zastanawiała, czy śmiała propozycja ożenku zostałaby utrzymana, gdyby Norbert poprzestał na wystąpieniu prywatnym. Czy nie wymawiałby się potem niepamięcią, pijackim zwidem, a może w ogóle nie wróciłby do tematu? Dyskretne szeptanie nie leżało jednak w naturze Iwa salonowego, którym Norbert niewątpliwie był. Oto dlaczego wnet po wysunięciu propozycji i zostaniu przyjętym dobrze wstawiony przyszły żonkoś rozdmuchał oświadczenia do rangi towarzyskiej sensacji, leadu na okładce, hitu dnia, a dokładniej nocy. Skrzyknawszy imprezowiczów do największego pokoju, powtórzył oświadczenia tym razem w formie publicznego widowiska, spektaklu z przyklękaniem i darciem się, że się zgodziła, porywał w ramiona i polewał do kieliszków, już w końcu nie wiadomo, czy pijany ze szczęścia, czy po prostu pijany.

Z nastaniem stycznia do trzymania go za słowo wrywało się zatem parędziesiąt osób, żądnych dalszych rozrywek. Norbert, który bardzo sobie cenił rolę duszy towarzystwa, powiódł więc Renatę do Kruka, żeby wybrała sobie model i rozmiar pierścionka, pieczętując tym samym wkroczenie w poważny stan narzeczeński.

Cóż. Może nie było to bardzo romantyczne, za to całkiem praktyczne. Renata wybrała fason całkowicie odmienny od niemieckiego: dużą, bardzo złotą i bardzo wygodną szeroką obrączkę z rubinem.

Tym razem nie miała najmniejszych wątpliwości, czy jest zakochana. Mówiło jej o tym całe ciało. Gdy Norbert był blisko – ciało z miejsca meldowało stan gotowości na jego dotyk, pieszczotę, na odbiór wszelkich bodźców. Renata musiała się wręcz powstrzymywać, by na widok Norberta nie prężyć

się i nie mrużyć jak kotka. Taak... Działał na nią. Był świetnym rozmówcą, pomysłowym kochankiem, a jeszcze do tego całkiem dobrym dziennikarzem. Randki z nim były ekscytujące, a seks... Och, Boże!... Seks... Właściwie już sam seks byłby wystarczającym argumentem za jej „TAK”!

Znajomi z sylwestra nadal domagali się igrzysk, toteż Norbert nastawał na szybki ślub z eleganckim, wystawnym weselem. Oboje zgodzili się w kwestii nielubienia zimy, więc styczeń, luty i marzec spadały. Dla Norberta to mógłby być kwiecień lub maj, lecz Roma z taką mocą przekonywała Renatę do miesiąca z „r”, że koniec końców zaklepalą ostatnią sobotę czerwca.

– Gdyby „r” w czymkolwiek gwarantowało szczęście, wszyscy już dawno bylibyśmy skończonymi szczęściarzami – mrużyła sceptycznie Renata. – Rroma, Rrenata, Karrina, (a jakby się uprzeć, to także Gerrarrd – i to podwojony), nazwisko: Rrębacz, zamieszkanie: Warrszawa, specjalizacja: dziennikarrstwo, w końcu – Norrberrt. Też podwojony.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – odpowiadała Roma, tyleż sentencjonalnie co nieustępliwie.

Renata wątpiła, czy Pan Bóg w istocie zaprzęta sobie głowę błogosławieniem wyłącznie tych roztropnych par, które przysięgały sobie wierność w miesiącach z „r”, w końcu jednak machnęła ręką na przesady. Mogą poczekać i do czerwca; narzeczeństwo też było fajne. Przynajmniej zdążą się spokojnie przygotować.

W ogóle wszystko nareszcie układało się pomyślnie. Po pamiętnym stażu Renata wprawdzie nie dostała pracy w „Wyborczej”, lecz znakomite referencje wypisane kwiecistym stylem Norberta otworzyły jej wrota wydawnictwa Axel Springer Polska, gdzie objęła posadę w absolutnie nowym na polskim rynku prasowym tworze: magazynie *true stories* „Sekrety Serca”.

Odbyli zresztą na ten temat wiele burzliwych dyskusji. Renata chciała zajmować się czymś ambitnym i poważnym. Marzyła jej się kariera w którymś z opiniotwórczych tygodników, najchętniej w dziale „Polska” lub „Świat”, ostatecznie „Polityka” czy „Kultura”. Norbert był zdania, że oferta pracy w Axel Springer jest doskonale skrojona na miarę potrzeb świeżo upieczonej adeptki dziennikarstwa. Dawała pewne zaplecze finansowe i (skromny, bo skromny) socjal, możliwość rozwoju oraz tematykę pasującą do kobiecych zainteresowań.

Początkowo Renata była pianą i wściekała się o to szufladkowanie. Z braku lepszych propozycji postanowiła ostatecznie na chwilę zaczepić się w „Sekretach”, usiłując nie oczadzić od kompilowanych w każdym numerze idiotyzmów. Miesiące jednak płynęły, pod koniec każdego jej konto zasilala przyzwoita sumka pensji, Norbert zaś otaczał ją samczą opieką i przywództwem. Od awansu w grudniu zarabiał całkiem dobrze, niejednokrotnie dawał też do zrozumienia, że w kwestii zawodowych osiągnięć uznaje to za skromny początek swojej przyszłej kariery. Sama nie wiedziała, kiedy jej wojowniczość i chęć podboju świata poczęły dyskretnie ustępować łagodnej uległości. Po sześciu latach szarpaniny ze światem całkiem przyjemnie było oddać stery życia w ładne, męskie dłonie narzeczonego.

Roma w ciągu roku zagrała w sześciu filmach, z czego w trzech miała do ogłoszenia od jednej do dwóch kwestii. Zaczęła myśleć o sobie jak o artystce i pod tym kątem wyszukiwała w okolicznych szmateksach coraz bardziej ekstrawaganckie stroje. Na zakupy chętnie zabierała ze sobą wnuczkę, Karina bowiem także bez reszty połknęła bakcyła ekscentrycznych ubiorów. Lubiła cały rytuał: dziwaczny zapach tych przybytków, możliwość bezkarnej grzebaniny w koszach, dreszczyk emocji towarzyszący wyciąganiu obiecującego materiału w kwiaty, który mógł się okazać bluzką XXL, sukienką, chustką lub czymkolwiek innym, co potem w domu babcia poprzcina i pozaszywa, tak aby skroić dla niej kolejną strój królowej.

O ile to możliwe, żyły się z babcią jeszcze bardziej. Gdy Renata z Norbertem miewali wieczorne wychodne, Roma zabierała ją do pracy. Praca babci była równie czarodziejska jak sama babcia – Karina dopiero niedawno odkryła, że nie każdy miał babcię, która pracuje w kinie. Ona sama spędzała w tym magicznym miejscu po parę godzin co najmniej raz w tygodniu. Najpierw siedziały obie w okienku z biletami. Roma oddzierała klientom właściwe kartoniki i wydawała resztę, Karina czytała ulotki i prze-rysowywała z nich najfajniejszych bohaterów. Potem, gdy wszyscy widzowie siedzieli już w fotelach, przenosiły się z babcią pod salę z projekcją i filowały zza kotary na ekran. Roma uważała ją za dziecko bystre, dojrzałe i inteligentne, toteż nieprzesadnie dbała o klauzule „dozwolone od lat

osiemnastu”. Tak obejrzały *Sarę Ślesickiego* i *Pestkę Jandy*, *Girl Guide* i *Nic śmiesznego*, *Młode wilki* i *Pulkownika Kwiatkowskiego*, a świat pojęć Kariny począł niepokojąco wykraczać poza średnią statystyczną polskich sześciolatek.

Narzeczony mamy także żywo intrygował Karinę. Był to pierwszy mężczyzna pojawiający się cyklicznie w ich domu, traktowała go więc z najwyższym zainteresowaniem. Podczas każdej wizyty starała się zaistnieć, rzucić mu w oczy, odegrać przed nim jakąś niepoślednią rolę, odziana w szyte przez babcię zadziwiające suknie. Norbertowi z kolei pochlebiała atencja szczerbatej królowej, tak że z łat-wością wchodził w rolę wesołego wujka. Przynosił czekoladę, chwalił dziwne kiecki, bił brawo po występach i uczył grać w warcaby.

Tak, doprawdy wszystko układało się pomyślnie. Do tego stopnia, że w okolicy urodzin, tuż przed hucznym ślubem, Renata pomyślała nielojalnie, że zdecydowanie woli tę ubiegłoroczną przepowiednię złotoustej Cecylii od wcześniejszych puszek Pan-dory, które fundowała jej matka pod postacią niewinnych kruchych gniołków. Niestety w ciągu roku z niewiadomych przyczyn zażyłość Romy z wróżką Cecylią rozluźniła się, tak że w dzień dwudziestych czwartych urodzin Renatę znów powitał talerzyk ze znajomym ciasteczkiem.

Nie dała sobie jednak zmać radości. Miały to być jej ostatnie panieńskie urodziny. Kochała i była kochana – a także pożądana, posiadana, zaspokajana. Przygotowania do ślubu szły pełną parą. Norbert, dzięki rozlicznym znajomościom, załatwił po kosztach przyjęcie weselne w restauracji przy Marszałkowskiej, jej córka z przyszłym mężem obiecująco byli sobie ciekawi. Mama wykazywała mniej entuzjazmu, ale i to Renata traktowała z dobrotliwą wyrozumiałością. Wiedziała, że jej zamążpójście, usamodzielnienie się i wyprowadzka do Norberta będą dla Romy ciosem, do którego nie będzie się chciała przyznać – na pewno jednak targają nią obawy o nagłą pustkę w ich małym mieszkanku, samotność i rychłą starość. Cóż jednak: taka była kolej życia – jak dowodziły właściwie wszystkie łzawe historie w „Sekretach Serca”.

Renata najpierw więc przyjęła życzenia, następnie wyściskała Romę, potem bardzo dzielnie schrupała ciasteczko, a na koniec rozwinęła wyjęty zeń zwitek.

Upojonej światłem ćmie marzy się los motyla.

– Ćma to też motyl, moja kochana! – Pokazała Romie język. – Piękność nocy! No, to teraz się zbieraj, idziemy z Karinką poszaleć w sali zabaw. A szaleństwa bez ciebie są jak na pół gwizdka!

21 czerwca 1998 roku

Chwytaj chwile, nim uciekną.

„Przecież sam kazał mi nocą jechać po wódkę”. „Rozszarpałyśmy kukłę i pomogło”. „Córuś, rodzina Arka to czysta patologia”.

Renata westchnęła. Patrzyła na okładkę ostatniego wydania „Sekretów Serca” i czuła, jak przepełnia ją gorycz. Już się pogodziła z brakiem błyskotliwej kariery dziennikarskiej. Nie będzie tropić afer gospodarczych, przepytować polityków, pisać felietonów literackich. Praca w gazecie dla kobiet też może zapewnić spełnienie zawodowe. Przez jakiś czas udawało się jej to sobie wmawiać. Pisały z dziewczynami krzepiące historie, współczesne wersje *Kopciuszków*. Były sercowym pogotowiem ratunkowym. Wprowadzały trochę magii w szarówkę dnia. Aż... ktoś rzucił pomysł, by oddać łamy także czytelnikom. Redakcja ogłosiła cykliczny konkurs na opowiadanie. Wybrane historie (po solidnej obróbce językowej) trafiły pod strzechy.

Renata drętwiała, czytając te zwierzenia. Co tam się działo! Publikacje raczej nadawały się do kronik policyjnych lub do opieki społecznej. Zdrady, cięższe nieletnich, libacje, wykorzystywanie, poligamie, oszustwa matrymonialne. Na Renatę spływało całe zło tego świata.

„Widzisz, Renulka, jak my mamy dobrze?”. Norbert ją obłapiał, gdy przebąkiwała o braku higieny psychicznej w pracy i obciążaniu ponad miarę jej wrażliwości. Obłapianie przyjmowała z zadowoleniem, w zapewnienia wierzyła, choć czuła brak rozeznania Norberta w kwestii tak zwanego zwyczajnego życia.

Pod koniec ubiegłego roku Norbert dostał propozycję pracy w telewizji. Właśnie wystartowała nowa stacja – TVN. Norbert, jako rasowy człowiek mediów, poczuł, że to propozycja skrojona wprost dla niego. Wyzwanie, nowe obowiązki, dreszczyk emocji, spore pieniądze, różne bonusy – na przykład telefon komórkowy bez limitu rozmów!

„Wchodzę w to”, oznajmił Renacie. I wszedł, rzadko wychodząc.

W domu bywał ostatnio gościem. Ciągle się z kimś spotykał, coś uzgadniał, do kogoś dzwonił.

Program informacyjny *Fakty*, który miał zdetronizować państwowy monopol na informowanie Polaków o wydarzeniach w kraju i na świecie, to była robota przez całą dobę.

Renata rozumiała, kibicowała, choć czuła się trochę osamotniona. Po pracy wracała do mieszkania na Ursynowie, które wciąż jeszcze było urządzone po kawalersku. Razem z mamą przerobiły składzik na pokój dla Kariny, malując go na różowo i wyposażając w dziewczęce akcesoria. Sama wieszała zasłony, dokupowała wazon, ozdobiła ściany plakatami i obrazami. Sama robiła z tego miejsca dom, choć to przecież zadanie dla dwojga.

Nie tak wyobrażała sobie wspólne, małżeńskie życie. Wracała pamięcią do dzieciństwa i widziała rodziców – zawsze w parze: przy niedzielnym śniadaniu, na sobotnim brydżu z sąsiadami, piątkowych sprawunkach na bazarku, wyjazdach za miasto, przy sprzątanu piwnicy, wieszaniu firanek, robieniu przetworów. Byli parą, a para to dwoje odrębnych ludzi, którzy – w połączeniu – stanowią całość. Jej dziecięce poczucie bezpieczeństwa opierało się właśnie na tej nierozłączności rodziców. Jasne, teraz pewne sprawy – z oddalenia czasowego, po przeprowadzce do Warszawy i zmianach ustrojowych – wydawały się jej trochę staroświeckie, niemodne, nieprzystające. Oni z Norbertem żyli zupełnie inaczej – tak nowoczesnie, szybko, wielkomięjsko. No ale chyba nawet w tym scenariuszu mogłoby się znaleźć miejsce na wspólne zakupy, podczas których Renata by wybierała, Norbert doradzał, a potem nie pozwoliłby jej nawet dotknąć siatek, mówiąc: „Daj, kochanie, ja to poniosę”. Albo siedzieliby sobie na kanapie, oglądając jakiś fajny film, a on najpierw by jej zrobił herbatę z cytryną i dwiema łyżeczkami cukru, a potem by jej pomasaował stopy. Tymczasem godziny spędzane z Norbertem były wrywane dni, a częściej – nocy. O tak, jeśli chodzi o noce, to te były spektakularne. Renata wciąż poznawała takie rejonu seksualności, o których istnieniu nie miała pojęcia. Norbert był pomysłowy i niestrudzony

w łóżku. Facet nie może być jednocześnie doskonałym kochankiem i przytulnym domatorem, podpowiadała jej intuicja i Renata skłonna była przyjąć to wyjaśnienie złożoności świata. Zwłaszcza że w głębi ducha przyznawała, iż chodzi nie tylko o długie i częste nieobecności Norberta. Jak zadra w sercu była myśl, że on się tak pięknie pnie po szczeblach kariery, a ona drepcze w kółko.

Roma, której się oszczędnie zwierzyła z tej myśli, odparła, żeby nie szukała dziury w całym i nie produkowała problemów. „Czasy się zmieniają, faceci nie”, zawyrokowała sentencjonalnie i z nieomylną miną. „Znaczy co?”, Renata chciała uściślenia. „Znaczy, że ty możesz być matką, ojcem, szefem, pracownikiem, a oni są po prostu facetami”.

Renata westchnęła raz jeszcze, podpisując okładkę do druku. Nie można walczyć ze światem, trzeba brać, co oferuje. A dziś na przykład oferował jej urodziny.

Jakie to szczęście, że zbudowali metro. Do niedawno oddanej stacji Centrum podjeżdżała tramwajem w kwadrans, a potem szybką kolejką mknęła do stacji Ursynów.

Dziś Roma wyręczyła ją w odbieraniu Kariny z przedszkola. Miały razem zrobić zakupy i przygotować świąteczną obiadową kolację.

Obowiązkiem Renaty było tylko stawić się w dobrym humorze. Całkiem korzystny układ.

W torbie miała prezent dla córki – lalkę Pocahontas. Karina miała hopla na punkcie tego filmu. Pierwszy seans odbył się w towarzystwie babci. Drugi, trzeci i dwudziesty pierwszy także. „Przyzywa mnie ten za łukiem rzeki świat”, podśpiewywały obie, naśladując Edytę Górniak. Renia wypożyczyła film, ale klimat jej zupełnie nie podpasował. Poczuli się trochę jak w pracy, gdy angielski kapitan porzucił zakochaną w nim Indiankę, wracając z wyprawy do domu. Znowu porażka, niespełnienie, smutny los. Obcy był jej także wszechobecny wątek więzi człowieka z naturą, a w filmie co rusz były piosenki o drzewach i ptaszkach. Szanowała jednak wybór córki, więc kupiła w Smyku lalkę.

W domu przywitał ją orientalny zapach. Rany, co tym razem mama ugotowała, Renacie aż ścisnął się żołądek. Lata mijały, a Roma nie czyniła żadnych postępów w sztuce kulinarnej. To znaczy eksperymentowała, ale nie przekuwało się to w jakość. „Norbert pewnie wróci głodny, a tu kulinarne pole minowe”, westchnęła.

– No, jesteś, córuś! – Roma wychyliła się z kuchni.

Renata osłupiała. Matka miała na sobie szeroką spódnicę prawie do kostek, elastyczną, obcisłą bluzkę w kolorowe mazy, fartuch kuchenny, a na głowie omotaną chustkę. „Rany, jak się wczuła w rolę gospodyni”, zatrwożyła się Renata.

Roma, łapiąc jej spojrzenie, poinformowała:

– Z planu się urwałam. Dwa dni statystowałam do *U Pana Boga za piecem*. Byłam małomiasteczkową gospodynią w wieku emerytalnym.

– Pogratuluj kostiumografowi i charakteryzatorce. Idealny efekt.

– Prawda? Ciuchy kupiliśmy na pobliskim targu, od ruskich. Fantastyczna przygoda.

– Tak... A ten zapach to skąd?...

– A, no wybacz, ale w niedoczasie jednak byłam, więc poszłam na łatwiznę i skoczyliśmy z Karinką do tego chińczyka za rogiem. Kupiliśmy ichni rosół i różne mięsa w sosach, trzeba tylko dogotować ryż.

Renata odetchnęła, próbując nie zmanifestować ulgi.

– Mama, mama! – Karinka wypadła ze swojego pokoju, zwieszając się jej na szyi. – Wszystkiego dobrego, mamusi! – wykrzyczała, wręczając laurkę. – A masz coś dla mnie? – zapytała, po stosownej, acz niezwykle krótkiej chwili.

– No pewnie, że mam. – Renata się uśmiechnęła, wyciągając przed siebie torbę ze Smyka.

Karina, dobrawszy się do jej zawartości, odparła, naśladując intonację babci:

– Jestem w niebie.

Gdy wybiła dziewiętnasta, Renata zaczęła się nie-pokoić.

O wpół do ósmej co chwilę podchodziła do okna, sprawdzając, czy aby Norbert nie zbliża się do domu.

O dwudziestej, zrezygnowana, dała sygnał, że pora siadać do stołu.

O dwudziestej pierwszej, po orientalnym przejeździe, dostała chińskie ciasteczko wróżbą. Roma przeszła samą siebie. W oryginalnym produkcie zrobiła otwór, wyciągnęła równie oryginalną z przepowiednię i wetknęła swoją karteczkę.

Chwytaj chwile, nim uciekną.

O wpół do dziesiątej, po posiłku, wykąpaniu Kariny i przeczytaniu jej bajki, zadzwoniła do męża. Nie odbierał.

O dwudziestej drugiej pożegnała matkę.

O wpół do jedenastej otworzyła butelkę wina. Nalała sobie kieliszek i poszła przygotować kąpiel.

O wpół do dwunastej butelka była pusta, a woda zimna.

Otuliła się szlafrokiem i poszła do salonu czekać na męża.

W głowie się jej kotłowało. Trochę od wina, a trochę od myśli, które, nieproszone, nagle się wysypały jak z worka: „czy to normalne, żeby mąż nie przyszedł na urodziny żony?” (nie), „dlaczego ja się nie niego nie złoścę?” („dlaczego w ogóle tak rzadko się złoścę na innych?”), „a gdybym to ja mu wycięła taki numer?” (niemożliwe), „czy Gerard mógłby mi zrobić coś takiego?” (nigdy!).

Renata nalała sobie kolejny kieliszek wina.

Wyczekiwanie w swoje urodziny na najważniejszego gościa, który się spóźnia i nawet nie przeprosza, nie nastraja optymistycznie. I co gorsza, stwarza doskonałe warunki do rozmyślań, które Renata starała się trzymać z dala od siebie.

Kiedy nalewała sobie czwarty kieliszek wina, usłyszała klucz w zamku.

W drzwiach do salonu pojawił się Norbert. Był ożywiony, pachnący dobrymi perfumami i testosteronem.

– Kochanie, jestem. No przepraszam, ale kocioł, tyle się działo, dziś odpalaliśmy to nowe oprogramowanie i się udało, więc potem troszkę świętowaliśmy i się zeszło... – Jego wzrok zatrzymał się na żonie, zaróżowionej od procentów i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Spod rozchylonego szlafroka kusząco wyglądała mleczna pierś.

– ...ale już jestem. Cały dla ciebie.

Renata miała plan, żeby porozmawiać z mężem. Z każdym opróżnionym kieliszkiem wina utwierdzała się w swoim żalu. Jednak powinna powiedzieć mu, że zdecydowanie za wcześnie na rolę słomianej wdowy. Że czegoś – a dokładniej jego zwyczajnej, codziennej obecności – brakuje jej do małżeńskiej pełni. Że czasami czuje się samotna. I że dziś, w jej urodziny!, to już przegiął z tą pracą. Jednak życie napisało inny scenariusz do tej sceny.

Po dwudziestu minutach leżeli w skotłowanej pościeli w sypialni. Spoceni, zdyszani. Tak, seks był silnym spoiwem ich związku. Renata, mimo niewielu wcześniejszych doświadczeń, przeczuwała, że to jest właśnie to. Najdelikatniejszy dotyk Norberta ją elektryzował, wprawiając w drżenie. Zupełnie nie rozumiała, o czym pisały czytelniczki skarżące się na brak orgazmów, mechaniczny seks z mężem, oziębłość. Norbert był, Renata sama przed sobą wstydziła się tego słowa, ogierem: gibki, silny, niezawodny. On zaś, mimo bogatej przeszłości erotycznej, o której mimochodem czasami wspominał, wydawał się zafascynowany Renatą. Trochę niedzisiejsza uroda, lekki, ponętny naddatek ciała i jakaś skromność, całkowity brak wyuzdania kręciły go niezmiernie.

– Jesteś boska, królowo – wyszeptał jej do ucha.

– Ty też, mój rumaku – odwzajemniła się Renata, której wciąż jeszcze szumiało w głowie. – I dlatego ci wybaczam, że zapomniałeś o moich urodzinach.

– Nie?! Tak? No patrz, to przez tę robotę... Ale poczekaj! – Norbert zerwał się z dywanu, podbiegł do półki z płytami i zaczął czegoś gorączkowo szukać.

– Czekał, czekał... Gdzie ja to?... A, już!

Po chwili w pokoju rozległo się: „Baby’s got blue skies up ahead, but in this I’m a rain cloud”.

– Moja kochana ma błękitne niebo nad głową, ale ja na nim jestem deszczową chmurą – wyjaśnił usłużnie. – Wiesz, że Bono napisał ten tekst dla żony, ponieważ zapomniał o jej urodzinach? Ja nie mam talentu poetyckiego, ale są takie rejonu sztuki, w których osiągnąłem mistrzostwo – szepnął czule.

Świat znowu zawirował.

21 czerwca 1999 roku

Są przybytki, które przyprawiają o ból głowy.

- Karinko, nie zabieraj mu smoczka. Przecież widzisz, że płacze, kiedy go nie ma.
- Ale Norbert mówi, że chłopaki są twarde i nie potrzebują smoczków.
- Trzymiesięczne chłopaki? A kiedy tak mówił, bo ja jakoś nie słyszałam?
- Jak byłaś w łazience. Wczoraj, tak długo, co chciałam siku, a ty leżałaś w wannie i mnie nie wpuszczając.

Renata westchnęła i otarła pot z czoła. Był początek lata i już prawie trzy tygodnie nieustających upałów. Czowała, że cała się lepi. Bawełniana sukienka z szerokim zaszewkami, umożliwiającymi przystawianie dziecka do piersi, kleiła się do niej niemiłosiernie. Wciąż chciało się jej pić. Wziąć prysznic. Uciąć sobie drzemkę. Wrócić do „Sekretów Serca”. Nie karmić Radka co pół godziny. Pozbyć się tej okropnej fałdy z brzucha. Nie zaplamiać kolejnych ubrań wyciekającym mlekiem.

Czowała, jakby ktoś odebrał jej dawne, spokojne życie.

Urodziny rok temu okazały się brzemiennie w skutki. Renata źle się czuła po wszystkich wypróbowanych tabletkach hormonalnych. Spirala wydawała jej się nieprzyjemną ingerencją w organizm, poza tym nie wyobrażała sobie jeszcze obfitszych krwawień. Norbert zaś, z wdziękiem casanowy, wyjawiał: „Nie lubię gumek”, więc polegali przede wszystkim na kalendarzyku małżeńskim.

Na pytanie, czy chciała mieć z mężem dziecko, odpowiadała jednoznacznie, że tak.

Może tylko żałowała, że wpadli tak szybko... Miała taką ochotę ponapawać się trochę tym małżeństwem. Z drugiej strony – może faktycznie lepiej wcześniej niż później? Na co tu czekać? Przecież od początku nie byli we dwoje, lecz we troje, z Kariną – więc koncepcje typu dziki seks w środku dnia na podłodze w salonie i tak odpadały.

Norbert, po pierwszym szoku, był nawet wzruszony. Obficie opił sukces reprodukcyjny i dalej zasuwał na kilkanaście godzin do pracy.

W połowie ciąży Renata wyłądownała na zwolnieniu – istniała obawa wcześniejszego porodu.

Źle to wpłynęło na jej psychikę. Odcięta od świata i ludzi, za jedyną rozrywkę miała książki i telewizję. Czowała się zapuszczona, gruba i brzydka. Czasem wydawało się jej, że emitowany od wiosny serial *Świat według Kiepskich* jest o niej – też wypchniętej poza nawias normalnego życia.

Norbert – w deklaracjach – był pełen troski. Kupował jej kwiaty i cmokał w czoło. I dalej pracował. W domu i przy Karinie pomagała nieoceniona Roma.

Teraz też była. Jednak gdy na pogodnie: „Co słyszać?”, dostała od Renaty zwrotną litanię skarg na zdrowie, pogodę i los polskich matek, odparła:

– Córcia. Mam już prawie pewność, że nie odrobiłam z tobą dobrze lekcji o pszczołkach i zapylaniu. Druga ciąża i druga nieplanowana. Jak się nie chce mieć dzieci, to się ich nie ma. My na przykład z tatą mieliśmy tylko ciebie, bo – wybaczone, nie mówię tego ze złośliwości, tylko z kronikarskiego obowiązku – byłaś trudnym dzieckiem. Najpierw kolki, potem ząbkowanie, gryzłaś mi piersi, nie chciałaś chodzić do przedszkola, więc siedziałam z tobą w domu, a przecież były wtedy matki, co dawały dzieci do tygodniowego żłobka...

– Wiem, mam. Już mi to opowiadałaś wiele razy. Chcę tylko wyjaśnić, że tygodniowe żłobki były dla pracownic zakładów technicznych, a ty niczego nie produkowałaś, tylko byłaś urzędniczką.

– Niech ci będzie. Ale wracając do sprawy, to teraz żyć nie umierać, tyle sobie można zabezpieczeń dobrać. Ja to musiałam się nabiedzić. Te globulki tak się pieniły, no ale jak sobie żartował twój ojciec: „Nie dawaj dupulki bez Zet globulki”.

– Mamo! – Renia spłoszyła. – A jak Karina cię usłyszy?

– No i wielkie mi co. Wcześniej się dowie, wcześniej mądra będzie.

Renata tylko westchnęła. Roma zdecydowanie nie była standardową babcia.

Chwilową ciszę przerwał wrzask Radzia.

– Przynieść ci ssaka? – zaoferowała się Roma.

Renata zrezygnowana pokiwała głową.

Radosław Nowacki urodził się 21 marca, tydzień po terminie. Był wielki – 3900! – i nie spieszyło mu się na świat. Renata dostawała zalecenia „seksu na poród”, Norbert się przykładał, a i tak zadziałała dopiero oksytocyna w zastrzyku.

W pięknej sali w kolorze mięty w szpitalu Świętej Zofii Renia przez pięć godzin wypychała syna na ten świat. Norbert czekał za drzwiami, argumentując, że jest zbyt wrażliwy na dosadną fizjologię. Poproszono go dopiero na finał, czyli na przecięcie pępowiny. Wtedy coś w nim pękło. Popłakał się, nabiedził, tnąc twardy sznur, ucałował żonę, popstrykał zdjęcia. I poszedł świętować z kolegami pierwsze dziecko w redakcji.

Po jego wyjściu Renata znów została w szpitalu sama z nowo narodzonym synem. Uspokojona szczęśliwym finałem, uradowana wydaniem na świat zdrowego synka, mająca świeżo w pamięci wzruszenie męża – nie mogła się powstrzymać przed odniesieniami do poprzedniego porodu. Emocje w istocie mają wpływ na to, co zapamiętujemy. Na przykład swoje szlochanie w szpitalnej łazience sprzed ośmiu lat pamiętała, jakby to było wczoraj. I tak jak zawsze, gdy to wspominała, było jej bezbrzeżnie żal tamtej Renaty – wystrychniętej przez los na dudka, samotnej, przestraszonej, nieszczęśliwej. Gdyby mogła, mocno przytuliłaby tamtą siebie. Objawiłaby jej się, jak zjawą z przyszłości, i powiedziała: „Nie rycz, mała, dasz radę, przeczekaasz. Jeszcze będziesz miała swoje szczęście, ręczę!”.

Czy taka mama jak tamta, Renata '91 – zagubiona, niepokodzona, obwiniająca się – mogła dać swemu dziecku miłość i bezpieczeństwo?

Nie mogła i nie dała. Dopiero teraz, w szpitalnym pokoju dzielonym z własnym synkiem, innymi położnicami oraz ich nowo narodzonymi dziećmi w pełni dopuściła do siebie tę zawstydzającą myśl: jeśli idzie o Karinę, nie dała z siebie wszystkiego. Nie pokochała jej od razu, jak należy. Nie otoczyła kokonem matczynej troski, uwagi, ciepła. Nie miała do niej tak tkliwego stosunku jak teraz do Radka.

Radek... Wybrała mu takie imię na cześć radości, którą w związku z nim odczuwała. Będzie ich, rodziców, pociechą, radością, promykiem. Na pewno.

Karina – znaczy śliczna, słodka, kochana. Jakby chciała imieniem wynagrodzić córce brak swoich uczuć. Imię z dobrą wróżbą. Niech inni się nią pozachwycają. Matka na razie nie może.

Ta myśl utkwiała w niej jak zadra. Powinna jakoś oddać Karince tę zaległą porcję miłości. Była jej to winna.

Tylko jak?

W dniu urodzin żony Norbert wrócił z pracy w wyśmienitym nastroju. Właściwie to zawsze tak wracał – jakby na lekkim rauszu. Tak na niego działał wieczny pęd i bycie non stop na posterunku. Nawet w domu wisiał na telefonie, przeglądał coś w komputerze. Był bardziej tam niż tu.

Ta sytuacja była jeszcze nie zarzewiem, ale już małą iskierką, która zaczynała osmalać lont frustracji Renaty, złaźnionej kontaktu z dorosłymi ludźmi. Właściwie widywała tylko Romę, dzieci i sąsiadki. Od Norberta oczekiwała zainteresowania, rozmowy, uważności. Czasu tylko dla niej, dla nich.

– Jestem, kochanie – rozległo się od drzwi.

– Tak wcześniej? – Renata, w fotelu, z Radkiem przy piersi, wciąż w podomce, którą miała zmienić dopiero późnym popołudniem, przed urodzinową kolacją, była zdumiona. Zegar na ścianie pokazywał szesnastą piętnaście.

– Tak witasz męża, który tym razem pamiętał o twoich urodzinach i który tęskni za tobą? – Do całej sylwetki Norberta dołączyła teraz ręka skrywana za drzwiami, a wraz z nią w pokoju pojawił się ogromny bukiet czerwonych róż.

– Są piękne! – Zdumienie było szczere. – Jesteś kochany!

Norbert promieniał. Przystojny, modnie ubrany, ładnie pachnący, szczodry, z gestem – to on wyrastał na prawdziwą gwiazdę tego wieczoru. Błada Renata jakoś przy nim gasła.

– O, jesteś. – Teraz w salonie pojawiła się Roma. – Nie sądziłam, że tak szybko. No i nic nie zdążyłam przygotować...

– Nic się nie stało. – Prawie w tym samym momencie powiedzieli to oboje.

– Mama i tak jest zmęczona, więc... – Tu Norbert zrobił efektowną minę – porwę Renatkę na szybki lunch, a potem sobie siądziemy do kawy i deseru. Kupimy coś w tej nowej cukierni za rogiem. Mają tam fantastyczne rzeczy – dodał szybko, jakby obawiając się, że Roma spożytkuje podarowany jej czas na cukiernicze eksperymenty.

– Ale jak porwę? – zatrwożyła się Renata. – Przecież jestem niewyjściowa, no i Radek...

– Wszystko się da – zawyrokowała Roma. – Wskoczysz w sukienkę, tusz, puder i już was nie ma. My z Karinką zabierzemy Radka na spacer. Turkotanie po nierównym chodniku go ukoi i mały zaśnie. Pospacerujemy i za półtorej godziny widzimy się w domu. No już, córcia.

Renata, wciąż oszołomiona, poszła za jej radą. Zmieniwszy wygniecioną podomkę na odprasowaną sukienkę, z czerwoną szminką na ustach i pociągniętymi tuszem rzęsami od razu poczuła się lepiej. No i wizja dobrego jedzenia – to też podziało na nią ożywczo.

Jej atrakcyjny mąż wprost doskonale nadawał się do takich wyjść – zaryzykowałaby nawet stwierdzenie, że bardziej nadawał się do wyjść niż do domowego życia. Znał adresy modnych restauracji; wiedział, jak się zachować; umiał prowadzić rozmowę, tak by rozmówca czuł się doceniony i ważny. Doprawdy, randka z facetem o wyrobionych kompetencjach miękkich to prawdziwa przyjemność.

Frustracja Renaty znikła zupełnie.

Wrócili przed dziewiętnastą. Renata była przyjemnie najedzona wybornym spaghetti, a w eleganckim pudełku mieli jeszcze tiramisu. Norbert wymyślił „włoski wieczór miłości”, tematycznie dopasowując kulinaria.

Prezenterem – choć bardziej dla Norberta, bo akurat teraz Renata nie pijała dużo kawy – był bajerancki ekspres, młynek i wielka paczka ziaren kawowych – „ekskluzywnych i drogich”, co mąż podkreślił.

– Pięknie pachnie – zachwyciła się Roma, równocześnie wpychając sobie do buzi potężny kawałek biszkopta z likierem amaretto. – Poczekaj, Reniu, nie bierz tyle, bo cię zemdle. Przecież ja też mam dla ciebie ciasteczko. No jakbym mogła nie mieć?

– Jakieś specjalne. – Norbert sceptycznie przyjrzał się czemuś, co było skrzyżowaniem rogala z babeczką.

– A to Renia nic ci nie mówiła? To wróżby. Nie wiem, czy wiesz, ale los mnie obdarzył wrażliwością antycypującą.

– Anty... co?

– Cypującą. Znaczą przewidywania. Co w połączeniu z numerologią...

– Mama wróży. Takie hobby. – Renata, chcąc uciąć te wywody, sięgnęła po ciasteczko i bezceremonialnie rozłupała widelczykiem górę, wydłubując karteczkę.

Są przybytki, które przyprawiają o ból głowy.

– Hm... – powiedział Norbert.

– Hm... – dodała Renata.

– Jak dużo, to chyba zawsze dobrze? – drażył Norbert. – Teraz wreszcie możemy sobie kupić różne fajne rzeczy, których wcześniej nie było.

– A może to z kobiecego punktu widzenia ujęte. Znaczą chodzi o... – Wzrok Renaty zawisł na miejscu po talii. – Więcej ciała?

– Nie komentuję sił wyższych ode mnie – odparła Roma. – Ten, do którego jest skierowana ta wróżba, w odpowiednim momencie zrozumie jej sens, nawet jeśli teraz wydaje mu się on mglisty i niejasny.

Renata dyskretnie zawinęła wypiek w serwetkę i sięgnęła po tiramisu. Poczekaj na te wskazówki, na razie nie będzie się martwiła oponką na brzuchu.

21 czerwca 2000 roku

Żaden kwiat nie ma motyla na wyłączność.

– Raz ćma, raz motyl... Pomysły ci się kończą? – gderała Renata.

Dochodziło południe. Piły z Romą kawę i zajadały się puszystym plackiem z rabarbarem produkcji Renaty, Renata zaś dodatkowo zajadała się tradycyjnym urodzinowym ciasteczkem. Karina skrupulatnie wydłubywała rabarbar, poprzestając na konsumpcji samego słodkiego biszkoptu, Radek chwilowo się nie darł.

– Nawet wygodne te fotele. – Roma uprzejmie zignorowała uwagę o ćmach.

Niskie kubelkowe siedziska pochodziły z najnowszej kolekcji Black Red White. Norbert kupił cały zestaw wypoczynkowy z kanapą włącznie bez konsultacji z żoną. Trochę się o to pokłócili. Raz – że poprzednia kanapa i fotele były jeszcze w bardzo dobrym stanie. Dwa – utrzymanie jasnokremowej tapicerki przy dwojgu dzieciach dokładało Renacie pracy i stresu. Miała wrażenie, że wciąż tylko nieustannie napomina i zapiera, napomina i zapiera, napomina i zapiera...

W ogóle okoliczności były takie, że trudno nie gderać. Od piętnastu miesięcy siedziała z Radkiem w domu. Siedziała – i gnuśniała. Norbert jednak uważał, że skoro sam jest w stanie utrzymać rodzinę, to ona nie musi się spieszyć z powrotem do pracy. Bardzo cenił jej gospodarność, jej kuchnię, sprężystość swoich idealnie uprasowanych koszul, błysk wyglancowanych butów.

– Jesteśmy szczęśliwcami, Renulku, pamiętaj – powtarzał jak dawniej. – Niejedna ci zazdrości, że nie musisz pracować i możesz się oddawać urokom macierzyństwa bez finansowych dramatów!

Renatę dręczyła myśl, że oto niemal dekadę później robi dokładnie to samo co na Hildebrandstrasse. Podobnie jak wtedy, ma robić zakupy, dobrze gotować i utrzymywać mieszkanie w czystości. Podobnie jak wtedy, nie ma wpływu na jego wystrój, bo to mąż ma pieniądze i w dodatku ostatnio odkrył w sobie bakcyła ich wydawania (trwonienia!) na urządzenie wnętrz. Podobnie jak wtedy, ma chodzić do parku, z tą różnicą, że wówczas pchała wózek Hansa, a teraz ma wózek z Radkiem.

Oraz zadającą milion pytań Karinę.

Rok szkolny dopiero się skończył, a ona już była wykończona intensywnym towarzystwem dzieci przez całe boże dnie.

Słowem – znów jest gospożą. Jakby przez te dziesięć lat wcale nie było studiów, dyplomu z wyróżnieniem, stażu, pracy. Znów rozwiesza niekończące się prania, ociera z brody przetartą zupką i wyczekuje późnego wieczoru na spotkanie z facetem.

Tyle że wtedy dostawała za to pieniądze.

Z drugiej strony próbowała sobie tłumaczyć, przecież dzielą się obowiązkami. Norbert dba o ich rodzinę z zewnątrz, pracując i zarabiając, ona zaś troszczy się o nią od środka. Kiedyś, gdy postanowiła się pożalić mężowi na ten podział, Norbert zapytał: „No dobra, to co: zamieniamy się? Ja zostaję w domu, a ty nas utrzymujesz – na tym samym poziomie”.

Oczywiście, że to nie wchodziło w rachubę. Norbert by sobie nie poradził, to sprawa bezdyskusyjna; nawet by nie próbował dobić do standardów Renaty. Prawda była jednak taka, że i Renata nie byłaby w stanie go zastąpić. Jego jedna pensja to były cztery jej. Brakowało jej również przebojowości i obrotności męża. Poza tym nie wytrzymałaby z tęsknoty za dziećmi, spędzając z nimi kwadrans przy śniadaniu, a wieczorem całując ciepłe, śpiące główki na poduszkach. Może po prostu świat jest tak skonstruowany, że kobieta odpowiada za spokój w domu, a mężczyzna – staje do walki na zewnątrz? No bo przecież, jakby się zastanowić, to wszyscy byli zadowoleni z takiego układu: Norbert, Karina, Radek i nawet Roma. Kto marudził? Renata. Cztery do jednego. Trudno być rewolucjonistką w pojedynkę, przegłosowaną przez większość, zwłaszcza że w Renacie w ogóle nie było ducha buntu i walki. Uznała więc, że to może była kwestia zmęczenia, obniżenia nastroju, i już więcej nie wracała do

tematu.

– A wiesz, babciu, co ja dostanę dziś od Norberta? – Z zamyślenia wyrwał ją dziarski głosik Karinki.

– Zdradził ci, co dostaniesz na urodziny? – zdziwiła się Roma.

– Tak, bo długo to ustalaliśmy! Jak mają być ubrane i jakie mają mieć włosy...

– Kto taki? – Roma doskonale radziła sobie w tych rozmowach z małą, nie dając się zgubić w nadmiarze wątków. Jedno pytanie pomocnicze – i już dyskusja wracała na właściwy tor.

– Dwie Calineczki! – oznajmiła Karina z triumfem i powiodła wzrokiem po mamie i babci, sprawdzając, jakie to robi na nich wrażenie.

– Aha – przyjęła ze zrozumieniem Roma. – Takie jak Pocahontas?

– No co ty, babciu! – prychnęła wzgardliwie Karina. – Żywe, normalne, wielkości palca! Nie lalki!!! – Dla poparcia swych słów wystawiła przed oczy niedowiarków pulchny różowy paluszek.

Babcia z mamą dyskretnie wymieniły spojrzenia.

– E, no niemożliwe, że żywe. Musiałaś coś pochachmęcić – orzekła Roma. – Może jednak laleczki, tylko takie śliczne jak żywe?

Karina posłała jej pełen wyrzutów grymas.

– Na pewno możliwe. Przecież jak obiecał, to przyniesie, prawda?

Trzy godziny później Norbert zaskoczył je wszystkie, zjawiając się w domu o tak zwanej ludzkiej porze.

– Witam nieocenioną teściową! – powitał. – Cześć, Renulko! – Głośno cmoknął żonę w policzek.

– Wszelki duch... – mruknęła Roma pod nosem.

Norbert odsunął nieco talerz z obiadem, który właśnie jadła Renata, i położył na kuchennym stole duże brązowe pudełko ze złotym nadrukiem „Apart”.

Renata przelknęła kęs schabowego i otarła usta.

– Otworzyć? – spytała bez sensu.

– Niezwłocznie! – poradził Norbert w szampańskim nastroju.

Karina ze swego miejsca wyciągnęła szyję najdalej, jak mogła, pozerając pudełko wzrokiem.

Na obciążonym czerwonym atłasem wytłoczeniu leżała lśniąca kolia.

– Pozwolisz? – Norbert niecierpliwie ujął biżuterię i stanął za krzesłem Renaty.

– Czekaj no, chociaż odwiążę fartuch... – Renata nagle zawstydziła się, że jest tak lichy ubrana, bardziej przeczesana niż uczesana i wciąż ma na sobie fartuch, w którym smażyła kotlety.

Norbert zdawał się niczego nie zauważać.

– Dla matki mojego syna wszystko, co najlepsze – oznajmił, zapinając jej kolie na szyi.

– Rany... Gdzie ja będę chodzić w takiej biżuterii?... – stropiła się obdarowana. Cacko było zdecydowanie zbyt strojne do użytku codziennego, ale i na większe wyjścia niezbyt się nadawało. Biżuteria tej rangi kojarzyła jej się z koronkowymi sukniami, misternie upiętymi kokami i nienagannym makijażem. Tudzież salą balową lub koncertową. Tymczasem Renata nie miała koronkowych sukien, włosy z wszelkich upięć rozsypywały się jak siano, co zaś się tyczy makijażu...

Była skrępowana. Może gdyby Norbert kupił jej książkę, płytę, coś mniej zobowiązującego niż ten kosztowny drobiażg, nie poczułaby się tak jakoś... nie na miejscu. Z drugiej strony trudno go winić, że chce dla żony jak najlepiej. Zaraz, zaraz, jak on powiedział? Dla matki mojego syna? E, to chyba nic nie znaczy, tylko może Karince jest przykro, bo się nie załapuje na tak zdefiniowaną rodzinę?

Karina jednak nie słyszała niczego, ponieważ była skupiona wyłącznie na myśli o swoim prezencie. Czuła, że jeśli za chwilę nie zobaczy obiecanych Calineczek, to umrze z napięcia.

– A mój prezent??? – zapytała więc piskliwym z przejęcia głosem, chwilowo niezdolna do żadnych bardziej wyszukanych form grzecznościowych.

– A dla ciebie, proszę bardzo... – Norbert wyszedł z kuchni do przedpokoju, gdzie przez moment szeleścił jakąś foliówką. – Mam! Superczekoladowe, supertrójkątne Toblerone!

Przy stole w kuchni zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał drżący głos Kariny:

– To jakiś żart?

Renata z trudem panowała nad rozdrażnieniem.

– Niepotrzebnie dajesz jej słodycze. Najpierw dajesz, potem narzekasz, że jest gruba.

– Bo jest!

– Ale to z czegoś wynika!

Norbert, który zdążył już zmienić siedzenie w kuchni na kanapę w salonie, ostentacyjnie gapił się na jakiś muzyczny program stacji Viva Polska, która zaczęła nadawać zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

– Spędza tyle czasu z babcią. Starsze panie rzadko bywają sportsmenkami.

– Mama ją zabiera, żeby nam pomóc. Gdybyś ty się nią trochę zajął – poszedł na plac zabaw, nauczył jeździć na rowerze, toby może schudła. A i wam by to dobrze zrobiło, dla zadzierzgnięcia relacji...

– Ja?!? Ja nie jestem jej ojcem, kobieto!

Renatę okrutnie zakłuło w brzuchu. Niby nie powiedział nic odkrywczego – a jednak zabrzmiało brutalnie i co jeszcze gorsze – odbierało nadzieję na to, że „się poukłada”. Nagle z całą wyrazistością to do niej dotarło: otóż nic się nie poukłada. Przez sam środek jej rodziny zawsze będzie przechodziło grube pęknięcie, rozłam, rysa. Karina zawsze będzie marzyła o akceptacji Norberta, a Norbert zawsze będzie ją odrzucał.

Początki były przecież obiecujące – Karinka z całą dziecięcą ufnością Ignęła do Norberta. Pozbawiona ojca, otoczona dwiema kobietami, zaspokajała pewnie w jego towarzystwie deficyt męskiego wzorca. On wydawał się zainteresowany, a nawet mile łechtany tą dziewczęcą adoracją. Przynosił prezenciki, nosił na barana, wygłupiał się. Ojca nie był w stanie zastąpić, ale odnalazł się w roli fajnego wujka. No i był wpatrzony w Renatę, więc część tego zachwyty sływała i na dziecko narzeczonej. A potem... potem to się jakoś rozmyło. Bo praca, bo ciąża, bo poród. A później to już tylko Raduś i Raduś. „Dla matki mojego syna”, ponownie zadzwieczało jej w uszach. Nie dla ukochanej czy nawet kochanej żony, tylko dla matki. A matka i żona to dwie zupełnie różne kategorie, nawet jeśli dotyczą tej samej kobiety. Nagle pomyślała, że i na tym polu coś się zmieniło. Kiedy oni się ostatni raz kochali?... Miesiąc temu? Nie, to było przed majówką. Ona jest wiecznie zmęczona, zasypia w drodze do łóżka, dwoje dzieci okrutnie wysysa z niej energię. Zresztą kobiety chyba rzeczywiście przenoszą uczucia i zainteresowanie na potomstwo. Ale Norbert? Ten Norbert, który jednej nocy potrafił się kochać nawet cztery razy? Który nastawiał budzik kwadrans wcześniej, by rozpocząć dzień od szybkiego numerka? Oni też się tak zmieniają?

Renata ostrożnie zajrzała do różowego pokoju. Spod skołtunionej poduszki dobiegał szloch.

Usiadła na łóżku i dotknęła spoconych włosów Kariny. Dziewczynka odchyliła poduszkę i popatrzyła na nią oskarżycielsko.

– Czekolada to nie jest prezent na urodziny. Ciągle dostaję czekoladę, a dziś miałam dostać dwie żywe Calineczki... – Jej głos zachybotał się niebezpiecznie na bardzo cienkiej linie nad morzem łez wylanych w poduszkę. – A ja dla niego zrobiłam taki piękny prezent na Dzień Ojca!...

Dwudzieste siódme urodziny Renata zakończyła na różowym łóżku z tiulowym baldachimem. Nie było w tym jednak nic z klimatu *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Obok niej leżał nie potężny władca, ale mała córeczka, z policzkami wciąż mokrymi od płaczu.

21 czerwca 2001 roku

Żaden kwiat nie ma motyla na wyłączność.

„Kto grał na flecie?”

„Chopin?”

Renata usłyszawszy to, zakrztusiła się kawą.

Radek właśnie zapadł w przedpołudniową drzemkę, a ona, korzystając z chwili dla siebie, postawiła na relaks przed telewizorem. Oglądała *Big Brothera* – najpopularniejszy program tego roku, w dodatku emitowany przez TVN, stację Norberta. „Czad. Po tym show telewizja nie będzie już taka sama!”, ekscytował się jej mąż. „Musiałam te dwa lata przehibernować”, pomyślała Renata, obserwując kruczowłosą bohaterkę „życia na żywo”, która wykazywała ewidentne braki w wykształceniu, co chyba uważała za swój atut. Zresztą cała koncepcja *Big Brothera* była dla Renaty absurdalna. Dać się zamknąć i podglądać, wykonywać głupie polecenia wydawane przez jakiś głos? A nawet uprawiać seks przed milionami widzów, bo kamery zamontowano wszędzie? A to wszystko w programie, który nazywał się tak jak jeden z bohaterów Orwella. Czy ci, co dla 500 tysięcy złotych zrobiliby przed milionami rodaków wszystko, słyszeli w ogóle o Orwellu? A co, jeśli każdy zamknięty przed dłuższy czas, na przykład matka z małymi dziećmi, tak głupiej?

Dobrze, że po wakacjach wraca do pracy. Wcześniej nigdy by nie przypuściła, że „Sekrety Serca” mogą wywołać w niej takie ciepłe uczucia. Teraz, po ponad dwóch latach na dwudziestoczęsto-godzinnej etacie matki, wzięłaby każdą posadę.

Oczywiście Norbert powtarzał, że nie musi pracować, bo on ich przecież wyśmienicie utrzymuje, no ale skoro jednak chce, to on to rozumie i nawet fundnie Radusiowi prywatne ekologiczne przedszkole.

Stać ich było na wiele. Norbert nieustająco świetnie zarabiał, do pensji dochodziły premie, bonusy, prywatna opieka medyczna.

Renata czasem myślała, że to finansowe rozbuchanie jakoś ich zepsuło. Nie musieli się niczym martwić, o nic zabiegać. Nie łączyła ich wspólna troska o los rodziny, nie cieszyli się dodatkowymi pieniędzmi za jakąś fuchę, którymi opłacą kolonie dziecka lub kupią nowy dywan. Wszystko przychodziło im, ot tak. Wszelkie dobra były stałym, a więc niedocenianym elementem krajobrazu.

Czyżby taki był sens przepowiedni sprzed dwóch lat?

A ta z poprzednich urodzin?

Szlag by trafił te koronkowe zdania. Niby brednie, a dręcą.

Renata nie mogła sobie znaleźć miejsca. Była sama, bo Roma, korzystając z łaskawości pogody i zaproszenia leciwej ciotki, już zabrała Karinę na wakacje nad Bug.

Renata, czasem podśmiewającą się z Romy i jej dziwactw, teraz czuła się samotna. Brakowało jej też Kariny. I może była trochę zazdrosna o tę komitywę córki z babcią. Ona sama przez ostatnie dwa lata była bardziej dla Radka, no ale to przecież oczywiste, bo to małe dziecko. Gdzieś jednak czasami ugniatała ją myśl, że ich rodzina rozpada się na dwie części: Roma i Karina, Radek i Norbert, a ona pośrodku, w rozkroku.

Dobra, dość tych ponurych myśli. W końcu to jej urodziny.

Jedyny plus – matki nie było, wypieku z niespodzianką w środku nie będzie. Brak prezentu też czasem może cieszyć.

No i dziś mieli z Norbertem wyjście do teatru.

Korzystając z tego, że Raduś śpi, postanowiła przygotować sobie ciuchy, żeby się potem spokojnie i bez nerwów wyszykować.

Z namysłem przeglądała zawartość garderoby, rozsuwając cicho i płynnie przesuwające się skrzydło wielkiej szafy.

Ta ciemnoniebieska była okej. Podkreślała kolor oczu, miała sprytny fason z zaszewkami, była elegancka, ale bez ostentacji, i pasowała do niej biżuteria, którą rok temu dostała od Norberta w prezencie i która do tej pory czekała na debiut.

To może od razu zadba o męża? Garnitur pewnie wybierze sobie sam, ale koszulę mogłaby mu przeprasować, używając tej zapachowej wody do żelazka. Taki miły gest dobrej żony.

Przesunęła drugie skrzydło drzwi, przejrzała zawieszane na wieszakach koszule. O, tej błękitnej przyda się odświeżenie, i tej jasnoszarej też. Białej nie włoży, ale tę pudroworóżową?... Dobrze, weźmie trzy. A tu jedna spadła. Ale jakaś pomięta... Chyba do prania.

Renata podniosła ją z dolnej półki szafy i w świetle dnia dostrzegła na kołnierzyku czerwoną plamę. Jakby kredka świecowa. Ale skąd ona tam?...

Ciszę przerwał dzwonek do drzwi.

– Poczta – usłyszała.

Otworzyła. Pan Szymon, ich listonosz.

– Niespodzianka – powiedział. – Oby dobra. Telegram. Nadawca: Roma Rębacz. Teraz to już mało kto tak wysyła informacje.

– Chyba tak – przytaknęła Renata. Czowała narastający niepokój. Chciała jak najszybciej zamknąć drzwi i przeczytać to, co w środku.

Pokwitowała odbiór, pożegnała się i przekręciła zamek.

Szybkim ruchem rozerwała papier.

Żaden kwiat nie ma motyla na wyłączość.

„Co za absurd”, pomyślała. Przecież to już było. Czy matka dobrze się czuje? To chyba nie są początki demencji? Może powinna zadzwonić do ciotki i się upewnić?

Dostrzegła dopisek:

PS Wiem, że to było, ale gwiazdy tak chcą.

I wtedy dopadła ją ta myśl: to nie kredka, to szminka.

Renata czuła, że robi się jej duszno. Oparła się plecami o ścianę w przedpokoju. Ach, więc tak to jest, kiedy żona się dowiaduje o zdradzie męża. Przykucnęła na piętach, pocierając dłońmi skronie. „Nie dam rady, nie dam rady, nie dam”, pomyślała, połykając pierwsze łzy. „Zaraz!”, gwałtownie się wyprostowała, „przecież to jeszcze żaden dowód”. To – najwyżej – poszlaka. A nikogo nie można skazać na podstawie poszlaki! Ta myśl przywróciła jej chwilowy spokój. Na pewno da się to jakoś wyjaśnić, na pewno. Po prostu zapyta Norberta... Tylko jak? Co mu powie, kiedy wejdzie do ich domu z bukietem urodzinowych róż, by później zabrać ją do teatru, a jeszcze później do restauracji? „Och, dziękuję, kochanie, cudownie, a przy okazji: czy ty mnie zdradzasz?” „Ależ skąd taka myśl? Oczywiście, że nie!”, odpowie on. Jednak wieczór i tak już będzie zepsuty. No ale jeśli nie zapyta, to będzie ją to dręczyło. „Informacja to podstawa. To informacja daje nam władzę nad światem”, powtarzał profesor Matyszczyk.

Renata spojrzała na zegarek. Do przyścia Norberta zostało jeszcze pięćdziesiąt minut. Musiała jakoś zappełnić ten czas, bo inaczej zwariuje. Może zadzwoni do mamy? Podziękuję za telegram, zapyta, co u Kariny. No i przy okazji jakoś może...

– Halo?

– Mamo, to ty?

– Renia? No ja, ciocia wyszła do sklepu. Coś się stało?

– Nie, tak dzwonię. Żeby powiedzieć, że telegram doszedł, no i co tam u was, chciałam zapytać.

– U nas dobrze, jak ma być na wakacjach? A u ciebie?

– Też. Mamo... mamo, a czy ty i tata byliście dobraną parą?

– Co, Reniu? Zatrzeszczało mi w telefonie, nie dosłyszałam.

– No pytałam, czy ty i tata byliście dobrym małżeństwem.

– Do-sko-na-łym. A co, nie było widać?

– Wiesz, z zewnątrz to zawsze inaczej wygląda.

– Przecież byliśmy rodziną, to jak z zewnątrz?

– Ale ja byłam wtedy jeszcze w sumie dzieckiem, więc pewne rzeczy mogły mi umykać, mogłam

czegoś nie rozumieć...

– A teraz nic ci nie umyka?

„Cholera, matka jednak jest wiedźmą”, pomyślała Renata. Nic się przed nią nie ukryje.

– No bo byliście tacy różni. Tata skupiony, nauczyciel muzyki, zawsze pod krawatem, często wyjeżdżał z zespołem koncertować, ty niby urzędniczka...

– No jak niby? Przez dwadzieścia lat zdążyłam przetrzeć welur obicia w swoim krześle przy biurku w ratuszu.

– No wiem. Tylko interesowało cię wszystko inne niż te papiery, wyciągi, sprawozdania.

– Ba! Historie ludzkie mnie interesowały! Człowiek ciekawszy od cyferek.

– Mamo, daj skończyć. Po prostu chcę powiedzieć, że byliście z ojcem różni. Dwa żywioły, dwa różne temperamenty. On taki uładowany, ty jak kolorowy ptak.

– Widzisz, to tak jest. Z przeciwności może się narodzić ciężki dramat albo idealne dopełnienie.

– A czy tata... czy tata cię kiedyś zdradził?

– Nie.

– Nie? Tak po prostu nie? Skąd wiesz?

– Widziałabym, gdyby Gienio to zrobił. Nie wiem, znaczy nie zdradził. Takie rzeczy się czuje.

Poza tym po co miałby to robić?

Renatę zatkało.

– No jak po co? A dlaczego faceci zdradzają?

– Przypadek pierwszy. Są zaburzeni, mają problemy z bliskimi relacjami. Poszukują seksu bez angażowania się emocjonalnego. Przypadek drugi. Potrzebują tak naprawę bliskości, bo z żoną stracili wspólnotę ducha. Seks jest niejako przy okazji, nie jest wtedy najważniejszy. Przypadek trzeci. Wieczne narcyzy. Choćby mieli w domu anioła, to i tak pójdą na bok, by się potwierdzać, potwierdzać, potwierdzać. Ojciec był absolutnie normalnym, fajnym facetem. Kochaliśmy się. *Á propos* seksu, to muszę ci zdradzić, że myśmy nawet...

– Nie, nie, mamo. Naprawdę niczego nie musisz.

– No dobrze. To co się wam źle układa?

– Od razu źle... No dobrze, mam wrażenie, że coś się u nas rozpruwa. Oddaliliśmy się od siebie.

Norbert wciąż w pracy, wcześniej też tyle pracował, ale mimo to byliśmy sobie bliżsi.

– Miesiąc miodowy nie rozciąga się na lata.

– Przecież nie jestem głupia, nie o tym mówię.

– Dobra. Wyduś, bo przecież słyszę, że coś cię gryzie.

– Mnie się wydaje, że on kogoś ma.

– Wiesz czy podejrzewasz?

– Dowodów nie mam, ale znalazłam na jego koszuli ślad szminki. Chyba szminki.

– Chyba szminka na koszuli jeszcze sprawy nie przesądza.

– Dlatego nie histeryzuję, tylko myślę głośno.

– A pytałaś?

– Nie, bo jeszcze nie wrócił.

– A zapytasz?

– Tak, no tak. Dobrze, mamuś, to już ci głowy nie zawracam, bo muszę się szykować do tego teatru i w ogóle.

– Całuję, córeczko.

Roma odłożyła słuchawkę i podeszła do kredensu. Ściągnęła leżącą na nim torebkę i wyjęła z niej talię kart. Przetasaowała je sprawnym ruchem i rozsypała na stole, a potem zaczęła medytację połączoną z wybieraniem poszczególnych kartoników. Ostatnie tygodnie poświęcała na czytanie o retrogradacji w horoskopach horarnych. Retrogradacja ma duże znaczenie podczas oceny siły planet. Planeta w retro symbolizuje opóźnienia, komplikacje, wahanie. Może też oznaczać, że do czegoś nie dojdzie lub że coś się powtórzy. Roma lekko przyknęła oczy i wyciągnęła pierwszą kartę.

– Osiem kier – szepnęła. – Dziewięć pik – dodała, wyciągając kolejną kartę.

Odchyliła się na krzesło, pokiwała głową.

– Osiem kier, dziewięć pik. Szlag i dupa. Inaczej nie chce być. Kłopoty, zdrada. Biedna mała.

Tymczasem Renata, w doskonałym humorze, jechała z Norbertem na *Czego nie widać*. „Świetna komedia”, obiecywały recenzje.

Sprawa z czerwienią na kołnierzyku okazała się zwyczajną pomyłką. „Szminka? Na mojej koszuli?”, spokojnie zdziwił się Norbert. „A, to!”, roześmiał się, gdy Renata, zawstydzona własną podejrzliwością, otworzyła kosz z brudną bielizną. „To po tym raucie producenckim. Wiesz, jak to jest. Napięcie, bo presja była, w końcu chodzi o miliony. No ale wszystko świetnie poszło. Na imprezie już na luzie. Dużo alkoholu, taki styl. Wszyscy piliśmy, dziewczyny z sekretariatu też, a mają takie słabe głowy. I jedna z nich, chyba Ala, a może Kaśka, już nie pamiętam, potknęła się na tej śliskiej podłodze, tam gdzie ten gres, bez sensu, bo gładki jak lustro, no więc się poślizgnęła i w ostatniej chwili ją złapałem. Musiała się wtedy o mnie otrzeć i wybrudzić mi koszulę. Ale to się spierze, prawda?”.

21 czerwca 2002 roku

Kto szuka, ten znajdzie. Co nie znaczy, że go to uszczęśliwi.

Renata prychnęła. Wróżba od mamy znów uderzała w tony na poły biblijne, na poły ezoteryczne. Natomiast forma dostarczania ciasteczek stawała się coraz bardziej zdumiewająca. Tym razem Roma wzięła ją przez zaskoczenie, z samego rana. Renata ledwie zdołała dotrzeć do pracy i przeczytać pierwszy artykuł, gdy odebrała telefon z portierni.

– Pani Nowacka? Kurier do pani.

– Dziękuję, już schodzę.

W hallu sympatyczny, choć zapocony facet w bluzie z logo SuperSiódemki trzymał w ręku małe zawiniątko z absurdalnie wielką kokardą. Właściwie już po samym sposobie nieforemnego zapakowania domyśliła się nadawcy i zawartości. Jeśli jeszcze dodać do tego fakt, że Roma wyjeżdżała dziś na plan filmowy poza Warszawę, przecucie zmieniało się w pewność.

Wróżbę przeczytała od razu, jeszcze w hallu – lecz pokruszone ciasteczko zawinęła w kokardę i papier i wrzuciła do mijanego kosza. Zamaszystym krokiem skręciła w stronę korytarza z windami.

Niestety zza rogu równie zamaszyście także ktoś szedł.

– Aaa!... – rozległy się dwa zdeorientowane damskie głosy.

– Przepraszam... – zaczęła Renata, lecz tamta nie dała jej dokończyć.

– Renata!?!?

Renata cofnęła się o pół kroku i przyjrzała się swojej ofierze.

– Gośka?... A niech mnie! Kopę lat!...

– Ledwie cię poznałam! No, tak długo się nie widziałyśmy, lata lecą, ludzie się zmieniają...

Renata oblała się rumieńcem. Reakcja Gośki była spontaniczna i naturalna. Przecież to nie jej wina, że Renata nie jest podobna do siebie sprzed lat. Tylko dlaczego te wszystkie nefajne rzeczy przytrafiają się jej właśnie dziś, w urodziny? Zaczęło się już rano. Renata obudziła się wyspana, bo po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Radek nie wołał jej w nocy. Za oknem świeciło słońce, niebo było bezchmurne. Wstała przed budzikiem, była dopiero szósta. Do porannego rozcierania zostawało jeszcze pół godziny. Spojrzała na leżącego obok Norberta i pomyślała, że byłoby fajnie zacząć te specjalne urodziny – trzydziestka! – w jakiś szczególny sposób. Taki, jak na początku związku. Delikatnie potrząsnęła ramieniem męża, a potem nachyliła się do niego i wyszeptowała mu do ucha: „Mam ochotę na ciebie”. Norbert otworzył oczy, popatrzył na nią przez chwilę, potem ją pocałował w czoło (czoło!) i powiedział: „Tyle do kochania, ale ja jakiś nie w formie. Zmęczony jestem, mam dużo pracy ostatnio. Wiesz, czasem o n – tu wymownie przyjrzał się kroczu – odmawia współpracy”. Zatkęła ją. Jej *sex machine*? Czy chodzi o to, że ona go już nie podnieca? Opatrzyła mu się? A może to „tyle do kochania” znaczyło, że jest gruba?

Uśmiechnęła się słabo, nie pokazując, że ta odmowa ją zabolowała i jakoś upokorzyła. Facet wymigujący się od seksu! Wstała, delikatnie zamknęła za sobą drzwi sypialni i stanęła przed lustrem w przedpokoju. Patrzyła na nią sympatyczna kobieta. O, właśnie! Pomyślała: sympatyczna. Zawsze gdy o kobiecie nie można powiedzieć ładna, mówi się sympatyczna.

Renata włączyła więc wewnętrzny krytyka. Lecąc od góry: włosy w kolorze neutralnym – ciemny blond. Trochę się kręca, ale niezdecydowanie. Twarz się jakoś w ich otoczeniu gubi, pewnie dlatego, że Renata nie ma żadnej konkretnej fryzury, tylko szopę włosów przyciętych bez finezji. Skóra raczej w porządku, zmarszczek nawet niedużo, ale to oczywiste, bo krągłości wygładzają. Dalej: biust – tu się nie ma do czego przyczepić. A nawet odwrotnie – jest się do czego przyczepić. Brzuch – zdecydowanie słaby punkt. Mniej wystający niż piersi, ale to marna pociecha. Trzeba coś z nim zrobić. Pupa i biodra rozłożyste. Nogi, jak to nogi, nie są szczególnie złe.

Renata westchnęła. „Nie będę się nad sobą użalać”, pomyślała. „Trzeba trochę popracować nad formą, ale przecież wszystkiego naraz się nie zrobi”.

Ostatnio zmieniła pracę. Pracowała teraz w wydawanym przez Gruner+Jahr ekskluzywnym miesięczniku „Gala”. Nareszcie przestała się babrać w odrażających ludzkich historiach, zamieniwszy je na inspirujące doniesienia z wielkiego świata. To był duży krok na drodze kariery zawodowej, ale jednocześnie spore obciążenie: nowe obowiązki, nowe kontakty. Radek jeszcze chodził do żłobka, Karina za rok miała zdawać do gimnazjum. Wobec tylu powinności potrzeby Reni spadały na dalekie miejsca.

Pokręciła głową, odganiając złe myśli, i wymuszenie uśmiechnęła się do Goški.

– Cóż, trochę się zmieniłam od czasu studiów. A co u ciebie?

– Masz chwilę? – odpowiedziała pytaniem Goška.

Renata z lekkim ociąganiem kiwnęła głową.

– Świetnie, skoczmy do barku na kawę – ucieszyła się dawno niewidziana przyjaciółka.

– A więc co tu robisz? – zagadnęła Renata, gdy już przycupnęły w firmowej kawiarni Gruner+Jahr przy małym stoliku z nieproporcjonalnie wielkimi szklankami café latte.

– Pracuję w „Fokusie”. A ty?

– No popatrz! Góra z górą się nie zejdzie... A ja w „Gali”!

– Naprawdę? – Na popolitej twarzy Goški odmalowało się czujne niedowierzanie, jakby Renata robiła ją w konia, a ona nie chciała dać się wkręcić.

– A co w tym dziwnego?

– Och, nic takiego... Po prostu... na studiach wydawałaś się taka ambitna, że dałabym sobie rękę uciąć, że wylądujesz w czymś opiniotwórczym... Jakaś „Polityka” czy *Fakty*, wywiady z premierem, delegacje do Białego Domu... – rozpędzała się. – No i teraz nie miałabym ręki – zakończyła jakby z rozczarowaniem i smętnie siorbnęła piankę z kawy.

Renata także upiła łyk. Najwyraźniej te urodziny będą upływały pod znakiem rozczarowań.

– W TVN-ie pracuje Norbert, przy *Faktach*. Ja też bywałam to tu, to tam, przeniosłam się tutaj dopiero w lutym; ot, dla zmiany optyki, przewietrzenia umysłu... – Jakoś drażniło ją, że musi się tłumaczyć tej mdłej myszy ze swojej zaprzepaszczonej kariery. Wciągnęła rurką cały cynamon z powierzchni kawy. – Zresztą wiesz, jak to bywa z kobietami. Urodziłam i odchowalam dwoje dzieci, na jakiś czas całkowicie się im poświęciłam, no i na dobre to wyszło. Karina za rok pójdzie do gimnazjum, Raduś po wakacjach będzie przedszkolakiem. Na szczęście mąż utrzymuje nas na niezłym poziomie, więc też nie musiałam się za wszelką cenę spinać, żeby coś robić.

No, brzydka to była zagrywka. Goška nie wyglądała ani na matkę, ani na żonę, ani nic nie wskazywało na to, że ktoś „utrzymuje ją na niezłym poziomie”. Jej jedynym atutem była praca w „Fokusie”, wielkie mi halo: jakieś pierdoły o funkcjonowaniu świata, jakby to miało jakieś znaczenie. W świecie liczyło się to, żeby nie dać się zepchnąć pod powierzchnię; żeby ogarniać związek, rodzinę, pracę, mieć trochę czasu dla siebie, lubić swoje życie. I ona to wszystko miała, podczas gdy Goška spalała się przy pisaniu tych sensacyjnych artykułików o tym, że zwierzęta w szczególnych okolicznościach są w stanie popełniać samobójstwa.

– Ale nikt nie mówi o spinaniu... Po prostu myślałam, że wielkie dziennikarstwo – reportaże, wywiady, polityka, tropienie afer – to była twoja pasja. – Nie dawała za wygraną Goška.

– Była – przyznała niechętnie Renata, obracając w palcach niewykorzystaną saszetkę cukru. – Ale kobieta zmienną jest. Teraz mam inne.

Goška z jakimś żalem pokiwała w zamyśleniu głową.

– Popatrz, że od lutego aż dotąd na siebie nie trafiłyśmy... – próbowała niezręcznie zmienić temat.

– To duży biurowiec – zauważyła rzeczowo Re-nata.

– Racja. A ja w sumie rzadko wychylam nos z naszego działu. Pracy przy każdym numerze jest fura. Zwłaszcza jak się człowiek wkręci w te tematy. Świat to jest jednak fascynujący – rzekła Goška afirma-tywnie.

– Zapewne – odparła ugodowo Renata i zerknęła na zegarek. – No to co, chyba musimy wracać do swoich działów, nie? To do następnego razu.

– Powodzenia.

Niespodziane spotkanie z Goską ciągle siedziało jej w głowie. Ile to rzeczy się w życiu zmienia... Ona sama zapytana kilkanaście lat temu o priorytety i o to, co chciałaby w życiu robić, odpowiedziałaby zgoła inaczej niż dziś. Nie, nie miała poczucia zdradzonych ideałów ani nadmiernego oportunistycznego, bez przesady. To była normalna weryfikacja, przewartościowanie i rozsądne szacowanie, na co warto się porywać, a na co nie.

Uważała, że rozgrywa mądrze.

A Goska? No cóż, osiadła na mieliźnie życia. Ciekawe, czy chociaż przeżyła jakiś ciekawszy epizod, na ten przykład miłosny? Renatą trochę targały wyrzuty sumienia za to epatowanie własnym szczęściem, zwłaszcza że dziś było trochę naciągane. Chyba za jakiś czas umówi się z nią znowu i spróbuje być miłsza. Tak. To dobre postano-wienie.

Na fali dobrych postanowień zdecydowała się zadzwonić jeszcze do Norberta. Jemu też powie coś miłego. Rano raczej unikała z mężem bliższego kontaktu, bo czuła się głupio z powodu odtrąconej przez niego oferty erotycznej.

– Halo?

– Cześć. Cześć, kochanie. Dzwonię, bo nie wiem, czy pamiętasz, że dzisiaj mamy ten Dzień Ojca u Radka? Na pewno bardzo by się cieszył, gdyby udało ci się dotrzeć na występ...

– Oczywiście, że pamiętam! – Norbert był w dobrym nastroju. – Jak się umówimy? Może urwę się wcześniej, przyjadę po ciebie i razem pojedziemy do szkoły?

– Byłoby super.

– Będę o piętnastej!

Zapomniała o małych kuksańcach, którymi los ją poczęstował dziś rano. Teraz nastawiała się na miłe urodzinowe popołudnie z mężem i dziećmi.

Punkt piętnasta była gotowa do wyjścia. Wszystko szło jak po maśle: zaproponowała szefowej, że odpracuje te urywane właśnie dwie godziny w kolejne dni, szefowa odpowiedziała, że „raz, nie zawsze” i że nie ma takiej potrzeby, zwłaszcza jeśli ktoś pracuje tak sprawnie jak Renata.

O piętnastej trzydzieści ich wielki, wysoki i luksusowy czarny SUV zaparkował przez żłobkiem Radka. Renata ani razu jeszcze nie odważyła się prowadzić nowego auta. Wpasowanie takiej bestii w wąskie miejsce parkingowe wydawało się wyczynem. Gdy wysiadła, Norbert nawet otworzył jej drzwi. Co za mąż!

W żłobku było wzruszająco, zwłaszcza gdy Radek wręczył Norbertowi krawat wycięty z kolorowego papieru, wcześniej, z pomocą równie wzruszonych opiekunek, zadeklamowawszy: „Dwa serca mam, jedno ci dam”.

Radek był tak podekscytowany, że gdy tylko wsiedli do auta, od razu zasnął. Norbert postanowił, że skoro syn śpi, to pojedzie jeszcze na stację benzynową, żeby jutro rano nie tracić czasu na tankowanie.

Jakiś kwadrans później zatrzymał się przy dystrybutorze. Wysiadł, otworzył wlew paliwa i wsunął doń końcówkę z dystrybutora. W samochodzie zapachniało benzyną, a on tankował i tankował. SUV palił jak smok.

Wreszcie skończył i wytarł ręce w papierowy ręcznik.

– Idę zapłacić. Chcesz coś?

– Nie. Albo wiesz, co? Kup mi wodę.

– Wodę masz z tyłu, zobacz, stoi cała zgrzewka. Chyba że wolisz z lodówki?

– Nie, nie. – Miała zbyt wrażliwe gardło na picie zimnych napojów.

– Wyjąć ci czy sobie sięgniesz?

– Sięgnę, dzięki.

Norbert zniknął w szklanych rozsuwanych drzwiach stacji, a Renata spróbowała wymacać butelkę wody za swoim siedzeniem. Nie szło jej, więc odpięła pas i zanurkowała jeszcze raz, głębiej.

Wtem zastygła. Na podłodze przy tylnej kanapie, tuż przy sześciopakowi wody mineralnej leżała zużyta prezerwatywa.

Wraz z zawartością.

Do gardła podeszło jej coś dużego, obłego, dławiącego. Zaraz jednak przywołała się do porządku. Norbert nie lubi gumek, nigdy nie lubił. Więc... może użyczył komuś samochodu i... i... no i ten ktoś wykorzystał jego przestronne wnętrze na numerki. A potem po sobie nie posprzątał.

Bezmyślnie otworzyła schowek – najpierw ten przed sobą, potem mniejszy, pod podłokietnikiem.

O ile w pierwszym były same papiery – chyba atlasy, książka serwisowa, nie miała czasu dociekać – o tyle w drugim leżała napoczęta paczka dureksów i paczka mokrych chusteczek – która w kontekście tej pierwszej nabierała nowego znaczenia.

Renata miała w głowie totalną pustkę. Nie znosiła, gdy ktoś tak mówił – w tej jednak sytuacji pustka faktycznie była totalna – aż otepiała.

Zamknęła podłokietnik i zastygła bez ruchu. Wzdrygnęła się dopiero na dźwięk otwieranych drzwi kierowcy.

– Jestem. Przepraszam, że tak długo, ale była czynna tylko jedna kasa.

Patrzyła na niego tępo, nierozumiejąco.

Do domu ze stacji mieli mniej niż dziesięć minut. Renata nic nie pamiętała z tej drogi.

Norbert wziął na ręce wciąż śpiącego syna i zaniósł go do mieszkania. Położył go w łóżeczku i cicho przytknął drzwi do pokoju.

Renata weszła prosto do salonu i usiadła w fotelu, nie zdejmując butów i nie odkładając torebki.

Norbert stanął w progu.

– No, to co tam? O której wraca Karina?

– O dziewiętnastej – odpowiedziała głucho. – Mają dziś wycieczkę do Torunia.

– Aha. A stało się coś? Bo jesteś jakaś skwaszona, a przecież dziś twoje urodziny.

Renata siedziała bez ruchu. Czuła się tak, jakby ktoś odebrał jej wszystkie siły. Przez chwilę tam, w aucie, miała ochotę od razu zapomnieć, wykasować z pamięci tę scenę. Nie chciała już tej cholerniej wody i nie widzieć bladej gumki z mleczną zawartością, zawiązanej na supeł. Nic nie było, nic się nie stało. Nie ma tematu, życie dalej sobie płynie. Pokusa, by odepchnąć od siebie te straszne myśli, była ogromna, ale Renata poczuła, że nie jest w stanie tego zrobić. Jeśli nie wypłuje z siebie tych myśli, to się nimi udławi. Po raz pierwszy w życiu poczuła, jak emocje w niej pulsują: tuż pod powierzchnią, namacalnie. Bulgoczą, nie można ich przykrywać, bo eksplozja zniszczy wszystko dokoła. Trzeba dać im ujść.

– Co się stało, pytasz? – Renata drżącymi palcami odpięła zamek torebki. – To się stało – powiedziała, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym prezerwatywę znaną w ich aucie.

– Co to? – Norbert miał opanowany głos, ale uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Pasażerowie z twojego auta. – Renata podeszła do Norberta. Stanęła przed nim i przesunęła palcami wzdłuż śliskiej gumy, uwypuklając jej płynną zawartość. – Chłopaki się pewnie dobrze bawili, ale padli.

Norbert oniemiał. Patrzył na Renatę, jakiej nie znał. Jego żona stała w lekkim rozkroku, na sztywnych nogach. Cała była napięta jak struna. Twarz jej stężała, usta miała zaciśnięte w linijkę, a w oczach coś, czego nigdy wcześniej u niej nie widział.

– No, powiesz coś? – zapytała chrapliwym głosem.

Norbert milczał. Milczał zbyt długo, żeby można było pomyśleć, że to wszystko to jakaś cholerna pomyłka. Zresztą tym razem Renata nie miała wątpliwości. Po prostu wiedziała, że to on, że to jego, że ją zdradził. Jakby nagle odzyskała kontakt ze swoją intuicją.

– Renata, posłuchaj...

– Słucham, no właśnie słucham. Cała jestem nastawiona na słuchanie. Opowiadaj.

Norbert pomyślał, że zaraz zacznie się jej bać. W jej głosie było coś dziwnego, obcego, trochę przerażającego.

– No, co tak milczysz? To której to sekretarki? Ewy czy Kaśki? Wiesz, tych, co się spijają

i wpadają prosto w twoje ramiona, przy okazji obcałowując ci kołnierzyk.

– Renata, to stara historia. Daj spokój.

– A, no to opowiedz o tej świeższej. – Renata znowu machnęła mu przed nosem prezerwatywą.

– Kogo tym razem ratowałeś?

– Renata...

– No proszę, dziennikarz, a ma taki mały zasób słów.

– Słuchaj, nie rób tragedii. Takie rzeczy się zdarzają.

– Się zdarzają? Bez twojego udziału?

– Nie łap mnie za słowa.

– No jasne. Wolisz, żeby jakaś panna łąpała cię za coś zupełnie innego, prawda?

– Nie musisz być dosadna. Nie znałem cię takiej.

– No popatrz, ja też cię takiego nie znałam. Ale wiesz co? Już mnie nie interesuje, jaki jesteś naprawdę. Wynoś się.

– Daj spokój, nie wygłupiaj się.

– Powiedziałam: wynoś się.

– Renata... – Norbert zrobił krok w jej stronę, ale Renata natychmiast się odsunęła.

– Wypierdalaj. Słyszysz? Wy-pier-da-laj! Wypierdalaj! Wypierdalaj!!! – krzyczała tak, że aż ją zaczęło drapać w gardle. Norbert przez moment się wahał, co robić, ale ostatecznie dał za wygraną. Już przy drzwiach wyjściowych odwrócił się i powiedział:

– Wróć, jak ochłoniesz. Porozmawiamy jak ludzie.

– Nie mamy o czym. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Zobaczymy – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Renata zachwiała się. Przytrzymała się stołu, żeby nie upaść. Wtedy zobaczyła nowy szklany wazon z białymi różami, do których przyczepiono karteczkę: „Za jeden rok jedna róża. Całuję, mąż”. Renata wyjęła kwiaty z wazonu i delikatnie odłożyła je na stół. Potem wylała wodę – prosto na kremowy dywan z drogiej pakistańskiej wełny. Wzięła zamach i szkło poszybowało w kierunku ściany, trafiając w drewniane ramki z ich zdjęciami, które spadły, łamiąc się i tłukąc. Renata stanęła nad tą kupką. Sięgnęła po pierwszą różę. Płatki zaczęły sfruwać na kopczyk.

Po kilkunastu minutach biały puch przykrył cały ten bałagan.

Renata osunęła się na ziemię i zaczęła przeraźliwie płakać.

21 czerwca 2003 roku

– Babciu, a mama nie może pójść z nami do cukierni? Przecież lubi ciastka.

– Lubi. Ale dziś nie ma ochoty.

– Nie ma ochoty na ciastka? Na te swoje czekoladowe, których nie mogę, bo są z tym... no... alhokolem?

– Nie.

– Ani na ciastko z dziurką, ani na babeczkę?

– Na żadne.

– To dziwne. – Radek pokręcił głową w prawo i w lewo, szukając w myślach, czy kiedykolwiek słyszał coś podobnego. I owszem, przypomniało mu się: zimą, gdy chorował i tak mocno piekło go w gardle, mama i babcia kolejno namawiały go na zjedzenie śniadania, obiadu, kolacji, a ostatecznie choćby i jego najulubieńszych frykasów – a on nic: wcale nie miał chęci ani na parówkę, ani na placki kartoflane, ani nawet na lody.

– Mama jest chora? – domyślił się.

Ale babcia pokręciła głową przecząco.

– Nie, jest po prostu smutna.

Szkoda. Gdyby była chora, toby się jej parę razy dało ten okropny syropek i zaraz znów mogłaby chodzić do przedszkola. To znaczy, tfu, do pracy.

Radek jeździł palcem po wzorku na serwecie, próbując zgłębić, w czym rzecz. Najchętniej poszedłby już na te ciastka. Niestety musieli czekać na Karinę. A co, jeśli i ona wróci ze szkoły smutna? I tyle czekania pójdzie na marne?

Chociaż nie. Karina w ogóle nie bywała ostatnio smutna. Radek sięgnął pamięcią jak najdalej, by sprawdzić, kiedy ostatnio była smutna – ale nic sobie nie przypominał. W dodatku ona dla odmiany nigdy nie odmawia ciastek. Czyli czekanie na nią ma jednak sens.

Westchnął.

– To przez tatę?

Babcia wreszcie wyjrzała zza gazety, którą trzymała w rękach tak, że całkowicie zasłaniała jej twarz. Ponoć za dwa miesiące oddadzą w końcu tunel pod Wisłostradą – przeczytała właśnie, choć obecność czy też nieobecność tunelu w Warszawie w gruncie rzeczy nijak jej nie obchodziła – ona sama nigdy nie zrobiła prawa jazdy, Renata od rozstania z Norbertem też nie miała samochodu.

– Tak – odpowiedziała krótko.

Radek poślinił palec, żeby łatwiej było się przesuwac po serwecie.

– Ja też jestem przez niego smutny – przyznał. – A Karina wcale. Nic a nic.

Był wręcz zdziwiony własnym odkryciem. Właśnie: dlaczego mamie i jemu jest smutno, że nie ma taty, a Karinie nie?

Wreszcie z przedpokoju dobiegł odgłos dzwonka – znak, że Karina wróciła ze szkoły.

Roma odłożyła gazetę.

– Dzieńdoberek! – usłyszeli i po chwili także zobaczyli dziarską jedenastolatkę. – Co tak siedzicie?

– Czekamy na ciebie – rzekł Radek, nie potrafiąc ukryć nutki wyrzutu. – Idziemy do cukierni.

Bez mamy.

Babcia potwierdziła jego słowa.

– Damy mamie trochę odpocząć, to może później będzie w lepszym nastroju do świętowania.

„Każdy, nawet najdłuższy tunel mija” – pomyślała przy tym refleksyjnie.

– Nie sądzę. – Karina sięgnęła do fantazyjnego plecaka, który stworzyły z Romą, zszywając łątki z kawałków spranych dżinsów. Dziewczyny z klasy bezskutecznie próbowały naśladować ten styl – cóż, kiedy nie miały do pomocy tak pomysłowej babci. – Znalazłam tę kartkę rano na blacie w kuchni.

Nie obchodzę dziś urodzin. Nie mam nastroju, nie mam ochoty. Może za rok. Kocham Was.
– Moja biedna mała – westchnęła Roma.
Na tej samej kartce napisała:
My też Cię kochamy. Przejdziemy razem ten rok.
I wsunęła kartkę pod drzwi sypialni.

21 czerwca 2004 roku

Gdy jeden tor się psuje, trzeba poszukać węzła i przeskoczyć na inny.

Hasło „przyjaźń z szefową” brzmi podejrzanie i niewiarygodnie. Układ jest bowiem skomplikowany. Raz – że relacje między babami z natury rzeczy zawsze są trochę skomplikowane. Dwa – dochodzi do nich kwestia nierównych praw, czyli niekomfortowej podległości i zależności wobec przełożonej. A jednak wbrew tej wpisanej nierówności przewodząca redakcji „Gali” Aldona Horodziej była równą babką. Od samego początku zyskała u Renaty punkty za klasę. Potem w różnych nerwowych biurowych sytuacjach Renata odkrywała z ulgą, że szefowa nie jest małostkowa i nie czepia się zbędnych detali, jeśli tylko ważne sprawy są zrobione. A gdzieś tak od roku zaczęła zauważać, że łączy je podobnie trzeźwy ogląd świata, zainteresowanie bieżącymi wydarzeniami, dystans do siebie samej... Krótko mówiąc, pod niezbędnym w tej branży pozorem wymuskanej paniusi kryła się konkretna, sensowna i, co chyba przynosiło Renacie najwięcej wytechnienia, normalna, niedoskonała babka.

Nie wiadomo kiedy zaczęły się sobie zwierzać. Donia pierwsza wyczuła w Renacie bratnią duszę; Renacie, która przeżywała wtedy dość głębokie załamanie, wyznania ulewały się zrazu ostrożnie. Potem naraz tama wstrzymywanej frustracji pękła i Donia zyskała wgląd w cały jej życiowy galimatias.

Niby wszyscy wiedzą, że rozmawianie o problemach pomaga. Renata jednak jakby o tym na wiele lat zapomniała. Dopiero pod wpływem relaksujących wyjść z Donią, licznych wymian spostrzeżeń, plotek i dzielenia się tym, co im wyszło, a co zupełnie nie, skonstatowała, że stanowisko „przyjaciółka” ma u niej długoletni wakat. Ula i Wiolka od wieków żyły swymi spokojnymi życiami w Wałbrzychu; Gośka, wyraźnie rozczarowana, dyskretnie zwolniła się z fanklubu Renaty; zresztą trudno powiedzieć, czy to była przyjaźń, bo w tej relacji Renata chyba zawsze więcej dostawała, niż oferowała. Na utrzymanie innych bliskich kontaktów pozarodzinnych nie miała czasu... aż Norbert także się zwolnił, w tym przypadku z roli jej męża. Karina była w wieku, w którym najważniejsze wydają się koleżanki i poszu-kiwanie (oraz katagoryczne wyrażanie!) własnego stylu.

Wokół Renaty zaczęło się robić pusto.

Ta pustka niestety sprzyjała roztrząsaniom i rozpamiętywaniom wszystkiego, co ją spotkało. Wobec Norberta czuła już tylko wielką niechęć. Jakże się co do niego pomyliła... Najbardziej chyba w sferze tak zwanej klasy. Od pierwszego spotkania wydawał jej się taki „gładki”: obyty, kulturalny, zawsze umiejący się zachować. I co się okazało? To, co zawsze: że faceta się poznaje po tym, jak kończy. Norbert nie dość, że jej fundował żenujące zdrady, to jeszcze rozczarowująco wymiksował się z życia syna. Najpierw obiecywał zabieranie Radka do siebie (czymkolwiek owo „siebie” miało być), wspólne wakacje. Zapał do ojcostwa jednak szybko się skończył, co Radek odchorowywał u psychologa, którego głównym zadaniem było przywrócenie chłopcu wiary we własną wartość i pomoc w zaprzestaniu obwiniania się o zniknięcie ojca.

– Źle go sklasyfikowałaś – orzekła Donia. – Nie był „gładki”, tylko „śliski”. Śliski typ. Oślizgły.

– Zmylił mnie – przyznała niechętnie Renata.

– Nie patrz na to tak dramatycznie. To lekcja od życia. Możesz ją jeszcze dobrze spożytkować.

– Na przykład jak? – zapytała zaczepnie Renata.

– Nie wybieraj tych gładko ogolonych. Zwykle skrywają mroczne sekrety.

– Słucham?!...

– Żarcik! Choć może z ziarenkiem prawdy. Osobiście wolę takich nieidealnych. Ale, wracając do ciebie, przede wszystkim idź do przodu. Tamto to już przeszłość. Skup się na tym, co dalej.

– Nie ma żadnego ciekawego dalej – westchnęła Renata. – Mały bardzo za nim tęskni. Udaje hardego, ale oddałby wiele, żeby tata do niego przyjeżdżał, zabierał go, traktował serio. Bez tego bardzo łatwo zaczyna się myśleć o sobie, że jest się tylko nic niewartym gówniarzem.

– Co ci się udało przez ostatni rok? – zmieniła kurs Aldona.

– Mnie? To chyba nic.

– No dobrze, to szeroko pojętej tobie.

Renata przeczesała w myślach inne obszary.

– Mama wciąż świruje, ale jest niezmiennie ra-dosna.

– Masz taki przykład i z niego nie korzystasz, wstydz się. Co jeszcze?

Renata chwilę pomyślała.

– Karina świetnie się uczy. I... na tym koniec podobieństw do mnie. To dusza artystyczna, wyznacza w swojej klasie trendy w zakresie tego, co się słucha; tego, co się nosi; tego, co się robi w czasie wolnym... Można wręcz powiedzieć, że ma taki wianuszek fanów i wiernych naśladowców. Ciekawa jestem, co z tym dalej zrobi.

– Brawo. Co jeszcze?

– Od odejścia Norberta trochę się zbliżyłyśmy. Jakoś tak się... uspokoiła, rozluźniła. Wypogodniała. Kipi od pomysłów, jest bardziej twórcza, mniej skrępowana.

– Aha. A więc jednak są plusy.

– Cóż... No są. Wiesz, między nimi naprawdę nieciekawie się układało. Karina liczyła na to, że Norbert wypełni jej wakat ojca, a Norbert miał gdzieś wypełnianie jej czegokolwiek. Także obietnic. Wraz z pozbyciem się męża pozbyłam się też części wyrzutów sumienia wobec córki.

– Wyrzuty sumienia dobrze mieć – bo to świadczy o naszej przyzwoitości. Ale dawać im trwać za długo – bardzo niedobrze. Zadręczasz się – przez co niszczysz siebie. A pomyślałaś, co ty sama faktycznie przez to rozstanie straciłaś?

– No jak to co? – zachnęła się Renata.

– No co, co? Konkrety, proszę.

Renata na chwilę umilkła, toteż głosu udzieliła sobie z powrotem Aldona.

– Był we wszystkim przy tobie i nagle go zabrakło, a ty czujesz się jak bez ręki? Nie, to nie ten przypadek. Czulaś się kochana i potrzebna? Nie, też nie. Kochający, obecny tatuś? Bez żartów. Reńka, najwyższy czas spojrzeć trzeźwo na fakty i powiedzieć sobie: dobrze się stało. Nie byliście dobrani. To nie był zgrany tandem, tylko twoja wieczna samotność w związku.

– Jak *Samotność w sieci* – skojarzyło się Renacie. – Ta dziwaczna książka, która wszystkim się podoba.

– Mnie nie – zastrzegła Aldona.

– Ja nie czytałam. Nie jestem na bieżąco.

– No właśnie! Nie jesteś. Ale wymówki pomału się kończą. Dzieci coraz starsze. Pora poświęcić uwagę samej sobie. Kiedy ostatnio uprawiałaś jakiś sport? – zmieniła znów kurs Donia. – Albo byłaś na wydarzeniu kulturalnym ze względu na siebie, nie na dzieci i nie zawodowo? He?

Renata się trochę zawstydzila, a trochę zdenerwowała.

– Chcesz powiedzieć, że się zapuściłam?

– A ty tak nie uważasz? Możesz z ręką na sercu powiedzieć, że to jest najlepsza wersja ciebie, na jaką cię stać?...

– Najlepsza wersja mnie?... – Nie bardzo podobało jej się to, że wciąż ona jest tematem tej niespecjalnie miłej rozmowy. Uznała jednak, że boczenie się lub uciekanie z odpowiedzią byłoby dziecinne. Zastanowiła się więc posłusznie.

– Nie, na pewno nie.

– Czyli stać cię na więcej i lepiej?

– Tak. Jestem przekonana...

– W jakiej sferze? – przerwała szefowa.

Znów chwila namysłu.

– Praktycznie w każdej.

– Konkrety, rybko! – zażądała ta dyktatorka.

– Począwszy od wyglądu. Mogłabym schudnąć... zrobić coś z włosami... Odświeżyć trochę

szafę...

– Słusznie – przytaknęła irytująco Donia. – Zrób to. A zawodowo?

Renata zmarszczyła brwi.

– Zawodowo to chyba ty możesz mnie oceniać, a nie ja siebie przed tobą?

– No dobrze. To ja ci powiem, co myślę. Otóż marnujesz się u nas.

– Czy to jest wstęp do eleganckiego w formie zwolnienia? – spytała przezornie Renata.

– Nie. Do prostego w formie komunikatu, że odchodzę z „Gali” do „Charakterów”. I chciałabym, żebyś tam poszła ze mną.

Rozmowa z Donią wiodła tym razem po bardzo krętych torach, bez przerwy wyskakiwało w niej coś nowego. Renata bardzo lubiła ten dynamizm szefowej, teraz jednak miała wrażenie, że za nią nie nadąża.

– Mówisz serio?

– Absolutnie – przytaknęła Aldona.

– Ale ja nie jestem psychologiem. Moje rozeznanie w temacie jest żadne.

– Ale jesteś bardzo dobrą dziennikarką. W sam raz na prawą rękę szefowej. Stawiam jednak warunek. Musisz być najlepszą możliwą wersją siebie. W każdej dziedzinie, o której przed chwilą pomyślałaś. Czy to jasne?

Chwilę patrzyły na siebie bez słów.

– Jesteś leworęczna – odezwała się w końcu Renata.

Aldona teatralnie wzniosła oczy do nieba, przywołując na twarz wyraz niepokalanej anielskiej cierpliwości.

– No to lewą ręką szefowej, niech ci będzie. Choć może powinnaś raczej zaczepić się gdzieś jako dziennikarka śledcza. To jak, wchodzisz w to?

Do domu wracała niby jak zawsze. Było po piątej, cały Mokotów stał w korkach, spalinach i hałasie. Na twarzy Renaty błąkał się jednak ciągle lekki uśmiech. A więc zwroty akcji się jednak zdarzają. Plan, który ustaliły przed godziną z szefową, nie zakładał wprowadzenia rozwiązania wszystkich jej życiowych problemów, z głównym na czele. Dawał natomiast ciekawą perspektywę bycia dobrze opłacaną dziennikarką poważnego pisma. „I żaden dupek nie będzie mi więcej mówił, co jest na miarę ambicji kobiet, a co nie!”, pomyślała z satysfakcją.

W kieszeni torebki nagle zaterkotał jej telefon. No tak, esemes od Romy. Roma stała się ostatnio żywiołową fanką telefonów komórkowych i wysyłania esemesów. Czym jeszcze zadziwi ją ten niespokojny duch w osobie matki?...

Renata zatrzymała się na chwilę pod ogródkami działkowymi na Odyńca, kliknęła ikonkę z zamkniętą kopertą i odczytała swą urodzinową wróżbę:

Gdy jeden tor się psuje, trzeba poszukać węzła i przeskoczyć na inne.

NOWE TORY. TO BY SIĘ ZGADZAŁO – odpisała Romie, wciąż z błąkającym się uśmiechem.

– OD SIERPNIĄ ZACZYNAM NOWĄ PRACĘ. WPADNIJ WIECZOREM, TO JĄ UCZCIMY!

21 czerwca 2005 roku

Przez otwarte okno wpada świeże powietrze. Zamknięte pomieszczenie utrwała zaduch.

Pociąg miarowo stukał po szynach, w przedziale siedziały trzy osoby, na szczęście ciche w obejściu. Renata z ołówkiem w ręku zaznaczała te fragmenty folderów z sympozjum, które będzie chciała wykorzystać w artykule. W koncentracji trochę jej przeszkadzała silna woń wędzonych ryb, których sporą torbę upchnęła na półce nad sobą. Obawiała się, że współpasażerowie także je czują – z drugiej strony: czyż w pociągu relacji Gdynia–Warszawa nie była to woń całkiem na miejscu?

Praca w „Charakterach” bardzo się jej podobała. Atmosfera, dzięki Doni, była w sam raz: motywująca, ale bez paralizującego stresu. Tematyka była dla Renaty na tyle nowa, że musiała sporo doczytywać, sprawdzać, zgłębiać – co z kolei sprawiało, że czuła się intelektualnie spełniona. No i zarobki. Nareszcie zarabiała godziwie: tak jak powinna, ze swoim wykształceniem, doświadczeniem i ze swoimi zdolnościami.

Co więcej – jedna zmiana pociągnęła za sobą inne. Część nowej wyższej pensji Renata przeznaczyła na dietetyczkę, pod okiem której w ciągu dziewięciu miesięcy zgubiła dziewięć kilo. „Cięża wsteczna” – śmiała się. Satysfakcja była jednak ogromna.

Jak to było? „Najlepsza wersja samej siebie”? Tym razem odpowiedziałyby, że tak.

Sympozjum Psychologii Sportu odbywało się w Gdyni. Kiedy Donia zaproponowała jej tę delegację, Renata poczuła się niepewnie. Nie była żadnym specem od psychologii – co dopiero od psychologii sportu? Donia twierdziła jednak, że do przeprowadzenia wywiadów i napisania reportażu potrzeba raczej sprawnego dziennikarza aniżeli psychologa.

– Naucz się czerpać z życia przyjemność! Delegacja to nie tylko praca! Ile lat temu byłeś ostatnio nad morzem?...

Trzy trafne zdania łebskiej szefowej ostatecznie przekonały Renatę do wyjazdu. Ba – roznieciły jej apetyt na więcej! Na pójście do portu, popatrzenie na imponujące sylwety statków, spacer plażą, gdzie oczy poniosą... Tak. Naładuje akumulatory, poukłada myśli, zaczerpnie jodu. Spędzi trochę czasu sama ze sobą.

– A gdybym wysłała ci cały materiał e-mailem, a sama wzięła dzień urlopu i została tam jeszcze prywatnie? – zagadnęła szefową.

– Nareszcie dobrze kombinujesz – pochwaliła Donia. – Tylko dlaczego nie zaszaleć i nie zostać tam jeszcze na weekend?

– Nie, nie. – Pokręciła głową Renata. – W sobotę są urodziny. Kariny i moje. Moje pal sześć, ale dla niej chciałabym być wtedy w domu.

– Jasna sprawa – przyznała Donia. – No, to spaceruj żwawo, żeby ci dnia starczyło!

W pierwszej klasie pociągu do Gdyni było cicho, wygodnie i przestronnie. Renata umościła się w fotelu, z oferowanych przez przewoźnika atrakcji kulinarnych wybrała kawę i sałatkę, wyjęła książkę – większość podróży jednak zeszło jej na patrzeniu przez okno. Polska się zmieniała. Pociąg jechał szybciej i ciszej, dworce, na których się zatrzymywali, były czystsze niż kiedyś. Tylko krajobrazy za oknem wydawały się niezmiennie polskie. Takie same jak zawsze puste pola, melancholijne pojedyncze drzewa, czasem zagajnik lub las.

„Taka podróż to odpoczynek”, pomyślała. I dobrze, bo na miejscu czekało ją sporo pracy: słuchanie z uwagą paneli dyskusyjnych, dotarcie do wytypowanych do wywiadów osób, przeprowadzenie ich – z ikrą i polotem, a potem, wieczorami, w hotelu spisanie tego wszystkiego w laptopie i wysłanie Doni.

Lubiła swoją pracę. Czuła to i na miejscu, w Warszawie, i w drodze do Gdyni, i na samym sympozjum. W takich masowych imprezach było coś intrygującego: rozmach przedsięwzięcia, energia

setek zainteresowanych tematem pasjonatów, urok przerw z napojami i przekąskami umiejętnie rozłożonymi w hallu przez jakąś firmę cateringową.

Na pierwszej przerwie, wzorem innych, nałożyła sobie na papierowy talerzyk kilka apetycznych tartinek, do tego wzięła szklankę soku pomarańczowego... po czym zastanowiła się, jak to właściwie jeść, mając obie ręce zajęte. O – może przy jednym z tych okrągłych stolików, przy których je się na stojąco, gawędząc z innymi spożywającymi?

Przecisnęła się przez tłum do wypatrzonego, najmniej obleganego stolika i z ulgą postawiła na nim talerzyk i szklankę.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się do już tam stojących – i smacznego!

– Renata?...

Na poły pytanie, na poły niedowierzenie padło z ust drobnego mężczyzny w sportowym garniturze. Przez parę sekund trybiki w jej głowie przerzucały setki twarzy i nazwisk, by przyporządkować do siebie te właściwe. W końcu wygenerowały odpowiedź. Kolega z roku. Pragnął zostać dziennikarzem sportowym.

– Adam. Adam Rowicki! – oznajmiła bez cienia wahania w głosie.

Adamowi w wyraźny sposób sprawiło to przyjemność.

– Zgadza się. Ledwie cię poznałem! Fantastycznie wyglądasz! Prawdę mówią, że kobieta jest jak wino – im starsza... – Adam z uznaniem mierzył Renatę od stóp do głów. – Masz chyba nawet lepszą figurę niż na studiach! No i ten styl!

Oczy pozostałych jedzących skierowały się ku niej i zlustrowały ją z zaciekawieniem.

Renata parsknęła lekceważąco, lecz oczywiście było jej bardzo miło. Zawsze, gdy ktoś dostrzegł przemianę, na którą ciężko sobie zapracowała przez ostatni rok, czuła triumf i sens wszystkich masakrycznie ciężkich godzin w klubie fitness, zakwasów, czerwonej od potu twarzy, bolesnego odmawiania sobie pieczywa i deserów. Długo niewidziany kolega miał dodatkowo tę zaletę, że może myśleć, że tak jest już od wielu lat. Że od dawna Renata jest dobrze ostrzyżona, twarzowo ufarbowana, fachowo umalowana i swobodnie, wręcz z lekkim luzem, mieści się w rozmiarze 40. Oraz pracuje w zawodzie! Nareszcie, może nawet pierwszy raz w życiu, czuła się kobietą sukcesu. Schudła i zainwestowała w siebie – to jej dodało pewności i apetytu na więcej. Zmieniła pracę – nowe środowisko działało na nią motywująco, tak że obronną ręką przeszła przez wychodzenie z diety, unikając wszelkich raf, jak efekt jojo. Poczwała się dobrze w swoim nowym ciele i image'u.

Wszystko wskazywało na to, że i Adam podziela tę pozytywną opinię na jej temat.

– Do kiedy tu jesteś?

– Na sympozjum do jutra. Ale zostaję w Gdyni dzień dłużej, żeby się zresetować.

– To się fantastycznie składa! Ja też jestem do piątku! Można spytać, jak się będziesz resetować?

– Całkiem zwyczajnie. Pójdę na plażę, przejdę się kawałek brzegiem morza, zjem smażoną rybkę...

– Przypadkiem wiem, gdzie jest najlepsza smażalnia, w dodatku świetnie położona: przy samej plaży, na wysokości Sopotu. Czynna cały rok, zawsze świeże ryby. Jeśli dasz mi się włączyć do twojego programu, to cię tam zabiorę. To jak?

– Zgoda! – Roześmiała się. – Wprawdzie to miał być samotny spacer, ale jeśli obiecasz, że nie zagłuszysz zupełnie szumu fal gadaniem, to możesz mi towarzyszyć!

Adam był fajnym kompanem. Wesoły, zycliwy, miał przyjemny głos. Gadało się z nim lekko i niewymuszenie – tak że Renata szybko uznała, że szum fal wystarczy jej w formie tła do tej rozmowy. Adam znał milion zabawnych historii i szczerze się nimi dzielił.

– Skąd znasz tyle anegdot? Kolekcjonujesz je?

– Oczywiście! – przyznał otwarcie. – Są mi niezbędne do pracy! Co mówi komentator sportowy, kiedy nie ma czego komentować na bieżąco? Czasami – nawet często! – w sporcie tak jest. Rozgrywka utknęła w martwym punkcie, nic ciekawego się nie dzieje – wtedy trzeba haftować. No wiesz, czymś zająć ucho widza. Albo słuchacza, jeszcze bardziej. Przecież nie za milczenie nam płacą!

Ryba w smażalni rzeczywiście była doskonała. Zjedli ogromne porcje dorsza i układali właśnie

plan, co jeszcze warto zobaczyć w Sopocie – gdy zadzwonił telefon Adama.

– Żona – poinformował Renatę, spoglądając na wyświetlacz. – Przepraszam cię na chwilę.

Wstał i wyszedł przed knajpkę porozmawiać.

„Żona”.

Przypomniała sobie, że zawsze lubiła tego chłopaka za uroczą bezpośredniość. Z czasów studiów nie pamiętała ani jednego przypadku, żeby przypisywał sobie na wyrost jakieś zasługi; próbował coś ugrać, chachmęcąc, przemilczając fakty czy naciągając prawdę. Najwyraźniej nadal taki pozostał. Tylko po co w takim razie się do niej przyczepił? Po co był ten spacer, smaźalnia, komplementy?...

– Reńka, ty idiotko! – przemówiła sama do siebie tonem Doni. – Bo tak właśnie żyją ludzie! Zwykła sprawa – spotkał koleżankę po latach, poszedł z nią na spacer i na obiad. Nie próbował cię przelecieć, nie proponował spotkania w hotelu, nie oblaśniał, nie wysyłał żadnych dwuznacznych sygnałów! Zwyczajnie ucieszył się z zobaczenia starej znajomej, pochwalił twój wygląd i postanowił spędzić z tobą trochę czasu. Bo może po prostu lubi ludzi. I nic więcej się za tym nie kryje!

Adam wrócił po chwili z nietypową dla siebie bardzo poważną miną. Faktycznie w tym mężczyźnie można było czytać jak w otwartej książce.

– Nasz mały paskudnie złamał nogę. Przepraszam cię, ale polecę szybko do miasta i spróbuję złapać jakiś transport do Warszawy. Mały musi zostać w szpitalu. Żona jest w ciąży, nie chcę jej zostawiać z tym samą.

– Jasne – odpowiedziała. – Mogę jakoś pomóc? Masz jeszcze jakieś rzeczy w hotelu?

– Nie, mam wszystko tutaj. – Poklepał plecak. – Trzymaj się, Renatka. Fajnie cię było zobaczyć po tylu latach.

– Ciebie też – powiedziała szczerze. – Oby z synkiem wszystko się dobrze skończyło.

– Właśnie. To najważniejsze – rzekł zatroskany. I pospiesznym krokiem wyszedł z knajpki.

Renata w części „na wynos” kupiła cztery gatunki wędzonych ryb dla domowników, a potem ruszyła plażą w powrotną drogę do Gdyni. Jak to niektóre życzenia szybko się spełniają: chciała samotnego spaceru brzegiem morza? I ma.

„Szkoda”, pomyślała parę razy, ale nie było jej bardzo smutno. To, że istnieli mężczyźni nieukrywający żon i spieszący rodzinie z troską i z pomocą, było w jakiś sposób krzepiące. A skoro Adam był taki szczerzy, to jego komplementy pewnie także były prawdziwe.

Czyli – Renata może się podobać mężczyznom. I to jest właściwy wniosek, jaki powinna przywieźć z tej delegacji.

Godzinę później odebrała z hotelowej przechowalni bagażu walizkę i poszła na dworzec.

– Mama, mama wróciła! – W przedpokoju przywitał ją wyraźnie stęskniony Radek. Przytuliła go mocno. Dobrze, że był cały i zdrowy.

– Nie śpisz?...

– Nie. Czekałem na ciebie.

– Hej, mam! – Z pokoju wyłoniła się Karina. – Co tak dziwnie pachnie?

– Ryby! – przypomniała sobie Renata. – Jedliście już kolację?

– Jedliśmy, ale zjemy jeszcze jedną! – zdecydowała szybko Roma. – Pachną wspaniale!

Po rybach, herbacie i zdaniu sobie wzajemnych relacji z trzech ostatnich dni nastąpiła część nieodzowna.

– A teraz prezent! – objawiła radośnie Roma, jako że było już po północy. – Proszę. – W rękę trzymała kopertę z odręcznym tekstem na wierzchu.

Przez otwarte okno wpada świeże powietrze. Zamknięte pomieszczenie utrwala zaduch.

– Wykupiłaś usługi firmy sprzątającej, żeby mnie odciążać?

– Ha, figlara z ciebie. Nareszcie uczysz się ode mnie. Nie, zajrzyj.

Renata zajrzała. „Mindfulness. Odzyskaj wewnętrzny spokój. Weekendowe wyciszenie i nowe spojrzenie na życie. Warsztaty w Oazie ciszy na Warmii. Termin 22–24 czerwca 2005 roku”.

– To od jutra!

– Oj... – stropiła się Renata i spojrzała niepewnie na Karinę. – Miałyśmy spędzić nasze urodziny

razem...

– Nie martw się, mamó – uspokoiła ją Karina. – Jeśli o mnie chodzi, to jedź, to ci się przyda. Podobnie jak mnie mój prezent od babci!

– Czyli?

– Bilet na koncert zespołu U2!!! Piątego lipca, w Katowicach. Aaaa! – Karina okręciła się na palcach i po kolei cmoknęła mamę, babcię i Radka.

– Babcia obrabowała bank? – Renata zmarszczyła brwi. – Do Katowic? A kto z tobą pojedzie w roli opiekuna?

– No jak to kto? Babcia! – zawołała Karina, a Roma skromnie spuściła wzrok, kryjąc chytry uśmieszek.

– Ach tak... No cóż, w takiej sytuacji chyba nie odmówię? – myślała głośno Renata.

– Sto osiemdziesiąt kilometrów stąd. Zdązysz – zapewniła Roma.

– Ale ten pensjonat! Wygląda tak... no robi wrażenie. Wszystko takie dopracowane na zdjęciach. To wszystko musiało cię słono kosztować.

– Nie martw się. Czytam teraz książkę *Łąka jak stołówka* – ile tam pomysłów na jedzenie za grosze...

– Och, mamó! – Renata poczuła nagły przyptyw miłości do Romy. Trochę jest szurnięta, mało typowa, ale przecież ją kocha. Tak bardzo ją kocha.

„Wszystko będzie, jak być powinno, tak już jest urządzony świat”, przypomniało jej się zdanie z *Mistrza i Małgorzaty*. Uczepiła się go w liceum, kiedy składała świat na nowo po śmierci taty.

Teraz też czuła, że jeszcze się zaprzyjaźni z życiem.

21 czerwca 2006 roku

Żeby dojrzeć, wcześniej trzeba być młodym.

– Aparat na zęby?! Ale po co?!...

Tym razem mama zaproponowała, żeby Renata po pracy wpadła na obchody swoich urodzin do niej na Sowią. Siedziały w mieszkanku tylko we dwie. Karina była na zielonej szkole, a Radek z ojcem na imprezie rodzinnej organizowanej przez TVN.

Renata rozejrzała się po maminej kawalerce. Wyglądała jak mieszkanie młodej dziewczyny, i to z epoki *flower power*. Na łóżku leżała bardzo kolorowa narzuta, obrus i zasłony w oknach były jaskrawopomarańczowe, doniczki z rozrośniętymi nad miarę roślinnymi pokrakami – jasnozielone. Ściany zdobiły rozmaite ozdoby etno, z których Renata rozpoznawała tylko łapacze snów. Musiała przyznać, że teraz było tu fajniej niż kiedyś, kiedy zajmowały je we trzy. No ale też i czasy były inne. Teraz łatwiej sobie urządzić mieszkanko w dowolnym stylu, nawet za grosze, dzięki okazjom w lumpeksach i na Allegro.

Nigdy nie przestała tak o nim myśleć: mieszkanko. Najwyraźniej jednak na potrzeby bytowe Romy dwadzieścia parę metrów wystarczało z nawiązką.

Na niskim stoliku kawowym, dla odmiany indyjskim, pyszniła się wielka misa truskawek.

– A po co się zakłada aparat na zęby?

– Dobra, źle postawione pytanie: aparat na zęby? Teraz?

– Uwaga o wieku nie była stosowna – odcięła się Roma. – Kiedy byłam młoda, świat nie oferował takich cudeniak. – Łypnęła na swoją rodzoną dziennikarkę śledczą. – Co złego w tym, że chciałabym wyglądać młodo?

– Równe białe zęby? – dociekała Renata, czując, że używa frazesów z reklam.

– Przecież lubisz, jak wszystko jest pod sznurek – mruknęła Roma, wyciągając z kredensu drewniane pudełko z chusteczkami ozdobione techniką decou-page'u, a głośniejsze dodała: – Cel zdrowotny i dekoracyjny. Aparat odmładza.

– A może w ogóle nie chodzi o prostowanie zębów, tylko o jakiś lans? – Renata najwyraźniej miała teorię, która domagała się twardych dowodów.

– A nawet gdyby? – Roma ujęła się pod boki i spojrzała na córkę hardo. – Poczekaj, aż ty będziesz miała pięćdziesiąt osiem lat.

– To duży wydatek. – Renata spróbowała metody Doni z pozorną zmianą tematu, wciąż jednak prowadzącą do tego samego celu w dyskusji.

– Mam przyzwoity dochód pasywny z wynajmu mieszkania w Wałbrzychu – wygłosiła z dumą Roma. To też brzmiało jak reklama, tym razem ze świata bankowości.

Matka nie przestawała zaskakiwać Renaty. Na pozór wydawała się kompletnie beztroską (by nie rzec: szurniętą) panią w dojrzałym wieku. Jeśli jednak dokładniej się nad tym zastanowić, to całkiem nieźle radziła sobie w życiu. Mogła się przecież osunąć w swoim wdowieństwie, czerpiąc cały sens życia ze sławienia męża nieboszczyka oraz z dreptania na cmentarz z wiaderkiem i zmiotką. Tymczasem była pogodna, niezależna finansowo, wiecznie czymś nakręcona. Zachowywała przy tym nader pożądane w coraz bardziej zwariowanych czasach atuty. Była zdrowa i pełna wigoru, zadowolona z siebie, życzliwa i gotowa służyć córce i wnukom wszelką pomocą. Od kilku lat praktykowała jogę, niedawno została też weganką. Wraz z nową postawą żywieniową dania jej produkcji poczęły przybierać coraz bardziej zdumiewające formy. W tym roku na talerzyku przed Renatą pyszniło się ciastko w odcieniu zielonkawym. I znikąd pomocy – ani w postaci córki, ani jej kulinarnego sprytu...

– Szpinakowe? – Renata lubiła wiedzieć, czego się spodziewać.

– No wiesz? – zachnęła się Roma, jakby szpinak był zbyt trywialnym zielskiem na urodzinowy

wypiek. – Zielona herbata – wyznała z godnością.

Renata spróbowała równie godnie się z nim rozprawić.

– Nie do wiary!... – sapnęła bezbrzeżnie zdumiona po pierwszym kęsie. – Nawet ładnie pachnie!

Roma milczała, taktownie nie zauważając *faux pas*, Renata tymczasem, po raz pierwszy w życiu bez przykrości jedząc urodzinowe ciastko, z tym większą ciekawością rozwijała rąbek papierka z wrózba.

Żeby dojrzeć, wcześniej trzeba być młodym.

– A to na pewno paperek dla mnie? Bo jak o dojrzewaniu, to chyba dla seniorki Rębacz – zapytała powątpiewająco.

Roma uśmiechnęła się wymijająco.

Renacie nagle zrobiło się głupio. Mama tak się dla niej stara! Niech tam ma swoje dziwactwa, niech nie dorasta, to nie powód, żeby sobie robić heheszki.

– Bardzo dobre ciastko – pochwaliła Romę, ucinając poprzedni wątek. – I truskawki też pycha! W ogóle dzięki, mamo, za wszystko! Jesteś kochana, wiesz? – Wyciągnęła rękę i przez stół złapała Romę za dłoń.

Roma odwzajemniła uścisk, a potem spojrzała na Renatę jakby nieśmiało.

– Słuchaj, Reniu... Bo w zasadzie to rzeczywistość nieco ubiegła te plany... no, nazwijmy to, rewitalizacji mnie. To zresztą częsty przypadek we wszechświecie, że kiedy zaczyna się nawet nie tyle coś robić, ile wykazywać gotowość, to przychodzi nowe. Wiesz, kiedy uczeń jest gotów, to trafia na mistrza itepe.

Renata pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Zęby same zaczęły ci się pro-stować?

– Ależ nie chodzi o zęby, mówiłam ci przecież! To znaczy, o zęby też, oczywiście, tyle lat miałam krzywe, dlaczegóż by teraz dla odmiany nie mieć prostych? Przede wszystkim jednak chodzi o wpisanie się w pewien trend, młodzienczość...

„A więc jednak!” – pomyślała Renata. Może mama w ogóle się pomyliła i stamtąd, skąd bierze te swoje przepowiednie, zabrała karteczkę dla siebie?

– To ten sam typ młodzienczości, który każe ludziom kupować sobie fajne psy modnych ras z nadzieją, że wyrwą w parku kogoś na pieska? – dopytała Renia z lekkuchną ironią.

Roma wcale jednak nie wyglądała na dotkniętą. Kiedy do tego jeszcze zaczęła kiwać głową z głupawym uśmiechem, Renata nagle się przeraziła.

„A może matka jednak fiksuje?” – przebiegło jej przez myśl i poczuła, jak wszystkie włoski na ciele stają jej dęba.

– Cóż... Karina to już panna, zaraz będzie wołała randki z chłopakami od nasiadówek z babcią. Nawet na tę nudną wycieczkę w Kieleckie pojechała, żeby być blisko tego swojego Kuby...

„Kuby? Tego Kuby, który ma włosy dłuższe niż Karina?”, zdumiała się Renata. Skąd matka to wszystko wie?

– ...Radek niby jeszcze mały, ale ani się obejrzymy, a wyfrunie z gniazda. No i ty pewnie wreszcie kogoś sobie przygruchasz. – W głosie Romy słychać było niczym niezmaconą wiarę. – Pora więc i na mnie, żeby coś zrobić ze swoim życiem.

Renacie zrobiło się słabo. O czym ona mówi? Będzie sobie kupować grób?! No tak, Renata tak się osunęła najpierw w depresję, potem w wychodzenie z niej, że zaniedbała matkę, i proszę, są efekty. Ale zaraz, zaraz – Roma nie wygląda na zdruzgotaną upływem czasu, wcale nie choruje, no i prostuje te zęby, nie dla prostowania wprawdzie, ale na pewno nie po to, by się z nimi na tamten świat wy-prawiać.

– Pogubiłam się – wyznała bezradnie Renata.

– Wiem, kochanie, wiem, ale już niedługo i tobie wszystko się ułoży – odparła Roma na temat zgoła innego pogubienia. – Tymczasem u mnie... Chciałam się zapisać na kurs prawa jazdy. No co się tak patrzysz? Ruch to zdrowie, ale auto to wygoda. Poza tym od maja na tablicach rejestracyjnych jest symbol Unii Europejskiej. Bardzo mnie to wzrusza, że my, Polska, jesteśmy w tej dużej rodzinie. Pamiętasz, jak jeździłam za granicę, kiedy ty byłaś mała? Tak? No i wtedy mi się wydawało, że to taki

wielki świat. Zastanawiałam się, czy my kiedyś do niego dołączymy. Dlatego tak się teraz wzruszam. Ale potem pomyślałam, że kasy na auto jednak nie mam, to pójdę na inny kurs, ten, o którym ci już mówiłam – język aniołów...

Pamiętała, a jakże. Otwarcie drażnili się z babcią o ten kurs. Renta sugerowała, że od anielskiego lepszy byłby angielski, a Karina dociekała, gdzie lektorzy sami posiadli arkana mowy aniołów. Roma, jak to Roma – pogodnie znosiła ich przytyki i robiła swoje.

– I co? – zagadnęła więc Renata, nadal nie wiedząc, ku czemu zmierzają.

– No i w tym centrum ezoteryki, gdzie miałam się zapisać na kurs, poznałam pana.

– Pana? Pana Boga?... – spytała Renata ostrożnie.

Roma zachichotała.

– No nie, aż takich dojść to tam nie mają. Pana Wincenta.

– Wincentego – poprawiła odruchowo dziennikarka.

– Stosuje skróconą wersję imienia, korzystniejszą numerologicznie.

– Wincenta – poddała się Renata i mocno podparła głowę rękami. – Pan Wincent także przyszedł na anioły?

– O, przeciwnie! To znaczy, niezupełnie przeciwnie, nic z tych rzeczy – zamotała się Roma. – Mają tam rozmaite kursy, on akurat na co innego...

Rzadko miała okazję widywać mamę tak zmieszaną. Co tu się wyrabia? Nie mogła się powstrzymać, by jej trochę nie docisnąć.

– A na co, z ciekawości? – zapuściła więc sondę.

– Na seks tantryczny – padła krótka odpowiedź. Dużo, dużo za krótka, by usatysfakcjonować dziennikarkę specjalizującą się ostatnio w dużych, opisowych artykułach dla „Charakterów” oraz we wnikliwych wywiadach rzekach.

Zapadła cisza. Renata ukryła twarz w dłoniach, niby ją pocierając ze zmęczenia. Wraz z nią schowała tam durny, nerwowy uśmiezek, nad którym nie mogła zapanować.

– I?... – zapytała w końcu, bez polotu.

– Zaczęliśmy rozmawiać. Ot, wiesz, zwykle ko-rytarzowe pogawędki... No, zwykle i niezwykle zarazem, bo coś nas jednak ku sobie magnetycznie przyciągało.

To akurat chyba potrafiła zrozumieć. Sześćdziesięcioletni jegomość przychodzący na kurs seksu tantrycznego w domyśle pewnie jest praktykiem – to znaczy interesuje się seksem, uprawia go i jeszcze chce dbać o jego jakość! W przedziale wiekowym Romy to musi robić na kobietach wrażenie, a w każdym razie z miejsca unika się niezręcznej niepewności, czy ewentualny związek nie będzie li tylko porozumieniem dusz...

„Rany!” – olśniło nagle Renatę. Dotąd nawet nie przyszło jej do głowy, że matka ma jakieś niezaspokojone potrzeby w tej materii i mimowolne odkrywanie ich teraz było jak przełamywanie jakiegoś tabu. Zwłaszcza że Renata od – raz, dwa, trzy – od trzech lat zupełnie zarzuciła uprawianie tego poletka. Ostatni seks uprawiała w kwietniu 2002 roku. Nawet jej – zorganizowanej, dokumentującej wszystko i docieklivej kobiecie – wydawało się, że jeśli się potrafi tak dokładnie podać datę ostatniego stosunku, to nie jest dobrze.

– Koniec końców i ja zmieniałam zdanie co do wyboru kursu – wyznała tymczasem Roma.

– Na rzecz...

– Mhm – przytaknęła skromnie Roma.

I znów zapadła cisza.

Roma płukała kolejną porcję truskawek, a Renata myślała o seksie. I musiała sama przed sobą uczciwie przyznać, że to dziwne ukłucie, którego doznała, gdy matka otworzyła przed nią drzwi do swojej sypialni, to było nie tyle zdziwienie – to znaczy zdziwienie też, ale przez momentik – ile... zazdrość. Renata spozjrzała na swoje krągłe, apetyczne uda, delikatnie muśnięte słońcem od licznych przejażdżek rowerowych. Omiotła wzrokiem swój ponętny biust w dobrze dobranym biustonoszu, zachęcająco ułożony w dekolcie letniej sukienki. Nawet fałdy z brzucha się pozbyła. Ciało miała zachęcające, a mimo to – niedotykane. Niepieszczone. Niepodziwiane i niedoznające. O ile w natłoku

zająć: prac redakcyjnych, lektur służbowych, odbieraniu Radka, robieniu zakupów, wywiadówek, wizyt u dentysty dzienny wakat na stanowisku męża jej zbyt mocno nie doskwierał, bo tak była zaganiana, to wieczorny... Tak, brakowało jej seksu. Aż się zaczerwieniła z powodu tego odkrycia.

Roma chyba nie zwróciła na to uwagi. Skupiła się na pieczołowitym pozbawianiu truskawki szypułki, jakby to ona była córką, która zaraz ma przedstawić matce absztyfikanta.

– Co zaś się tyczy samego Wincenta, to pomyślałam, że jak cię znam, czułabyś się spokojniejsza, mogąc od razu go poznać.

– Przyjdzie tutaj???

– Tak, kiedy tylko troszeczkę ochłoniesz.

„A jednak! Matce nic nie umknie”, pomyślała Renata.

– A skąd będzie wiedział, kiedy ochłonę? Szybciotko zapyta gwiazd?...

– Nie, nie. Po prostu dam mu znać esemesem.

Wzięła głęboki oddech. Właściwie czemu była tak zszokowana? Bo jej matka i córka kogoś mają, a ona nie?...

– A on gdzieś tu sobie w pobliżu czeka, aż dasz mu cynk?

– Tak.

Jeszcze trochę porozcieriała czoło.

– No dobra, nie przedłużajmy. Niech już przyjdzie.

– A czujesz się gotowa?

– A masz może wódkę? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie mam – odparła zgodnie z przewidywaniami joginka i weganka.

– No to już bardziej gotowa nie będę. Dzwon.

Roma wzięła w dłonie leżący na stole telefon i bardzo krótko coś pisała.

Renata nie powstrzymała się przed zapuszczeniem żurawia.

JUŻ – odcyfrowała.

Hm.

Po paru chwilach rozległo się pukanie do drzwi. Roma zdemontowała dzwonek wiele lat temu, twierdząc, że zbyt alarmująco wdziera się w jej przestrzeń. Krótko potem do mieszkania wszedł mężczyzna ubrany w lniane spodnie i lnianą ko-szulę bez kołnierzyka. Na stopach miał sandały Scholla, i były to stopy miłe dla oka oraz zadbane. Szczupły jak Roma, niezbyt wysoki, przyjemnie zbudowany, w dłoniach trzymał dwa małe bukietki. Najbardziej jednak Renatę uderzył jego wiek. Z całą pewnością nie miał sześćdziesięciu lat. Góra pięćdziesiąt. A najprawdopodobniej czterdzieści parę. Zgniotła w zarodku myśl, że bardziej należałby się... pasowałby...

Stop.

By nie być natrętną, przeniosła lustrujące spojrzenie na matkę – i dokonała piorunującego odkrycia.

Otóż Roma też była ładna. Joga, dieta i pogodne usposobienie najwyraźniej jej służyły. Zachowała filigranową sylwetkę, obecnie przyodzianą w bardzo kolorową, kwiecistą sukienkę. Tylko zęby miała Roma krzywe. No ale to, jak wiadomo, już do czasu.

– Dzień dobry – odezwał się Wincent z uśmiechem. – Miło cię poznać.

„Cię?... Tak od razu?”, zirytowała się Renata. W odzywce nie było jednak żadnej impertynencji, żadnego spoufalania się, najwyraźniej Wincent po prostu taki miał bezpośredni styl. Ona sama z kolegami z branży też zwykle z miejsca się „tykała” – no ale on nie był z branży. Swoją drogą, ciekawe, czym się parał. Poza seksem tantrycznym.

– Dzień dobry – odparła trochę sztywno. – Ciebie również.

– Herbaty? – zagadnęła Roma radośnie.

– Chętnie. Zielonej. Pomóc ci zrobić?

Pomóc robić herbatę?! Nie przesadza z tą uprzedzającą grzecznością...?

– A skąd! – Roma machnęła ręką. – Przecież nawet nie muszę się fatygować do odległej kuchni, wszystko tu jest razem!

– I to jest bardzo wygodne – pochwalił Wincent. A potem odwrócił się ku Renacie i chwilę popatrzył na nią bez najmniejszego zdeprymowania.

Renata poczuła się skrępowana – własnym wiekiem, roślnością, którą odziedziczyła po ojcu (jakby nie mogła tej jednej cechy, sylwetki właśnie, dostać po Romie...). Wręcz zawstydziła się, że postarza własną matkę.

Jednak w spojrzeniu Wincenta nic nie sugerowało niezadowolenia z oględzin. Wydawał się jakiś taki jasny, życzliwy i otwarty. Może przez te gołe stopy. Albo len.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! – odezwał się w końcu i podał jej pierwszy bukiet.

– A to dla ciebie, zamiast pomocy przy herbacie. – Wręczył drugi Romie ponad blatem bufetu.

– Ach! Groszek pachnący! Uwielbiam! – zadeklarowała płomiennie Roma.

Renata też uwielbiała. Groszek wydzieliał jeden z najcudowniejszych letnich zapachów. Szkoda tylko, że pewno nie postoi za długo...

Roma pobrzękiwała zastawą, jedną ręką wciąż trzymając swój bukiet przy nosie. Najwyraźniej, jeśli faktycznie miał krótko postać, postanowiła maksymalnie nacieszyć się jego wonią.

– Czego ci życzyć? – Lniany Wincent przyjaźnie zajął Renacie w oczy.

– Jeśli dobrze rozumiem, to tak jak mama zajmujesz się jakąś formą białej magii, więc pewnie wiesz – odparła wymijająco.

Wincent roześmiał się serdecznie.

– Zajmuję się raczej ciałem niż duszą. Jestem fizjoterapeutą.

– O! – wyrwało jej się z głębi zaskoczenia. A więc będzie Romę masował!... Ciekawe, co jeszcze będzie jej robił? Niby tacy dojrzały ludzie, a zachowują się jak dwudziestolatkowie.

I znowu to ukłucie zazdrości, jakby jakaś szufladka z niespełnieniami właśnie się otworzyła.

Naraz jej wzrok padł na talerzyk z okruchami po ciasteczku i leżący na nim zwitek.

„Żeby dojrzeć, wcześniej trzeba być młodym”. Cholera! Przecież tu nie chodzi o to, by zmądrzeć, spoważnieć, powściągnąć się i ostatecznie stetryczeć. To wcale nie była wróżba dla mamy! To była wskazówka dla Renaty: dojrzała już się starałaś być, od zawsze. Ale co z młodością? Co z uniesieniami, szaleństwami, spontanicznością?

I wreszcie – bo czas najwyższy, by zmierzyć się z tym pytaniem – co z facetem?

21 czerwca 2007 roku

Zarzućcie sieć!

– Z Biblii?! Będziesz mi wróżyć z Biblii? Czy to nie przegięcie?

– Szukanie odpowiedzi u Najwyższej Instancji to przegięcie? – prychnęła Roma. – Poza tym, czy ty wiesz, jaki my teraz mamy rok?

– 2007 – bąknęła zdezorientowana Renata.

– Rok świętego Józefa Kalasancjusza!

Renata już się pogodziła z tym, że wszelkie fascynacje matki będą ją zadziwiać do końca życia. Wahadelko, seks tantryczny, Kalasancjusz, Biblia. Kto to w ogóle był, ten Kalasancjusz?

Roma czytała w jej myślach:

– Zacny człowiek. Założyciel zakonu pijarów. Całkowicie zreformował system nauczania. Zamiast przymusu do edukacji włączył serce i cierpliwość. Pijarzy prócz ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa składali także czwarty ślub – nauczania. Wszystko dla edukacji. Absolutnie wszystko. Koniec dy-gresji, wracamy do ucznia, czyli do ciebie. Szukaj odpowiedzi.

– Ale jakiej rangi odpowiedzi! Czy to nie jest... Nie wiem, no? Za bardzo błahe? Za niska ranga? Zawracanie głowy Panu Bogu?

– Pytanie o twoje życie to za niska ranga? Reniu, nie grymaś, tylko rób, jak mówię. Pomyśl pytanie. Pomódl się chwilę w myślach. I otwórz Księgę na chybił trafił, od razu kładąc palec w konkretnym miejscu. Wers, na który trafisz, będzie odpowiedzią.

– Mamo... – jęknęła.

– No co?...

Renata westchnęła i przysunęła do siebie Biblię. Roma milczała nabożnie.

Jak sformułować to pytanie? Czy?... Kiedy?... A może: JAK? W dwóch pierwszych przypadkach zdawałaby się całkowicie biernie na rozwój wypadków. Tymczasem ona nie chciała być już bierna. Sterowanie własnym życiem sprawiało jej dużo satysfakcji. W dodatku może Pan Bóg doceni, że nie czeka bezczynnie na Jego ruch, tylko sama przejmując inicjatywę?

„Co zrobić, żeby...” – uważnie ułożyła w myślach pytanie. Następnie, zgodnie ze wskazówkami mamy, otworzyła Biblię i bez patrzenia na otwarte strony położyła palec gdzieś pośrodku.

Zaciekawiona Roma zajrzała jej przez ramię.

– „Zarzućcie sieć po prawej stronie łodzi” – odczytała uroczyście. – Piękna rada, córko! – pochwaliła, jakby to była Renaty zasługa. – Precz, niedowiarki; precz, przeciwności losu! Czekaj prawdziwa odmiana!!!

No dobrze. Utwierdzona na wszystkie możliwe sposoby – przez Biblię, przykład mamy, namowy Doni, a przede wszystkim własną wewnętrzną gotowość – Renata założyła sobie konto na portalu randkowym.

Portal randkowy!... Już sama nazwa brzmiała jakoś tak – dwuznacznie. Jakby się wystawiała na aukcję. Albo do lombardu. Zarazem jednak czuła – tak! – podniecenie. Oto proszę: naprawdę bierze ster w swoje ręce. Szuka! A nie tylko pragnie być odnaleziona. W dodatku w grę wchodzi randk! Jakże miła odmiana od rutyny ostatnich lat.

Żeby nieco złagodzić poczucie zażenowania, wybrała portal towarzyski na Gazecie.pl. Tam przynajmniej mogła zachować pozory: ot, czytelniczka poważnej prasy postanawia także skorzystać z jej oferty towarzyskiej. Nie: desperatka znikąd, tylko czytelniczka. O!

Początki były... jak u wszystkich. Najpierw przez kilka tygodni wymieniała krótsze i dłuższe e-maile z zupełnie nierokującymi panami, którzy chcieli sobie postukać, podmuchać, poudawać innych, niż byli naprawdę, pojeść dobrej kuchni albo zabić nudę. Nie zniechęcała się. Trudno oczekiwać, że od

razu złowi złotą rybkę, prawda?

Mirka wypatrzyła sama. Mieszkał w Legionowie – dostatecznie blisko Warszawy, by dało się z nim randkować w realu. Stan cywilny: rozwodnik (znakomita większość pozostałych użytkowników portalu „właśnie się rozwodziła”, „już prawie złożyła papiery rozwodowe”, „najdalej za tydzień miała to zrobić”). Ojciec dwóch dorosłych synów (osiemnaście i dziewiętnaście lat). Lubiący podróże, czytający, chodzący do kina i teatru. Wiek: czterdzieści pięć lat. Szpakowaty, lekko falujące włosy, trochę niezdarny uśmiech na ewidentnym selfie.

Trzymając się rybackiej metafory – Renata zarzuciła sieć – i go złowiła.

Cześć! – zaczęła niezobowiązująco. – Jestem Renata. Oboje napisaliśmy na swoich profilach, że lubimy spacerować i poznawanie nowych miejsc. Co powiesz na bezpłatny spacer z przewodnikiem (i ze mną!) po warszawskiej Pradze? Od jakiegoś czasu myślę o przyłączeniu się do tych spacerów, lecz ciągle sobie znajduję wymówki. Może z Tobą miałabym lepszą motywację?

Z pozdrowieniami

Renata

Odpowiedź przyszła w ciągu godziny.

Cześć, Renato, miło Cię poznać.

Co do spaceru – świetny pomysł! Przyślij, proszę, garść szczegółów – kiedy i gdzie dokładnie zbiórka i czy spotykamy się od razu na miejscu, czy chwilę wcześniej – żeby się łatwiej zidentyfikować.

Pozdrawiam serdecznie

Mirek

PS Wymówki – też jestem w tym dobry. Może nawzajem się z nich jakoś wyciągniemy?

Milego dnia!

M.

Przynęta chwyciła. Toteż Renata zaczęła delikatnie nawijać żyłkę...

Zbiórka w sobotę o 10.00 rano, pod cerkwią. Umówmy się od razu na miejscu, tak będzie chyba mniej stresująco, bo od razu zajmiemy się zwiedzaniem. Co Ty na to?

A, jeszcze jakiś znak rozpoznawczy.

Hm.

Zgodnie z tym, co od lat wkłada jej do głowy Roma, ubierze się na czerwono – o, na przykład w tę fajną nową czerwoną kurtkę. Tylko czy to wystarczy za znak rozpoznawczy?

To może plecaczek zamiast torebki?

Dziwnym trafem dawny prezent od Gośki przetrwał w kolejnych szafach Renaty tyle już lat – zaraz, ile to?... Jedenaście! To był prezent urodzinowy, jeszcze z panięskich czasów, przed Norbertem. Wciąż miał się świetnie. Niech będzie!

Będę miała na sobie czerwoną kurtkę i mały plecak – dopisała.

Ha, więc tak to się robi? Po raz pierwszy zaprosiła faceta na randkę. Właśnie tak! Wybrała go sobie, przejęła inicjatywę i już jutro się spotkają. To... wcale nie było trudne – odkryła ze zdumieniem. Jak w białym tangu!

Mirek na żywo okazał się zupełnie podobny do tego z opisu i ze zdjęcia. Czuć było od niego prostotę, szczerłość i solidność. Z wykształcenia i z zawodu był inżynierem – usiłował nawet wyjaśnić Renacie, czym dokładnie się zajmuje, lecz samo słowo „podzespoły” było już tak obce, że dała za wygraną.

Forma tego pierwszego spotkania była strzałem w dziesiątkę. Nie musieli patrzeć sobie w oczy ani na siłę szukać tematów do rozmowy – bo tych na bieżąco dostarczał przewodnik. Można się było zachwycić, zadziwić, skomentować – albo nie mówić nic, tylko iść ramię w ramię, dyskretnie popatrując na siebie nawzajem. Szli w grupie dwudziestu paru osób, słuchali przewodnika i oglądali mijane kamienice, murale, skwery, które skrywały kawał ciekawej historii.

Po dwóch godzinach wycieczka dobiegła końca.

Mirek się uśmiechnął.

– No! To Pragę znam już całkiem nieźle. Gorzej ze znajomością ciebie! Masz jeszcze trochę

czasu?

– Mam, jasne – odpowiedziała Renata.

– Mijaliśmy po drodze tyle fajnych knajpek. Może siądziemy w którejś z nich? Chyba że... – zawahał się – ...na żywo nie spełniłem twoich oczekiwań i nie masz już ochoty?... – zawiesił głos.

– Nic podobnego! – Roześmiała się Renata. – Ja też znam cię za mało. I chętnie poznam lepiej – zakończyła, niespodzianie dla samej siebie. – W dodatku marzę o dobrej herbacie – dodała, żeby nie wyjść na zbyt chętną.

Nie poprzestali jednak ani na herbacie, ani na jednym spacerze. Mirek był – z ręką na sercu! – miłym mężczyzną. Miłym dla oka, miłym w obejściu i całkiem obiecującym na przyszłość.

Mieszkał z synami. Żona – była żona (!) – kilka lat temu wyjechała do pracy do Anglii. Mirek został, bo ktoś musiał zostać, by chłopcy dokończyli szkołę. Mówiło się, że za parę lat do niej dojadą. Albo ona wróci. Tymczasem nie wydarzyło się ani jedno, ani drugie, bo ich małżeństwo, poddane próbie rozłąki, rozlazło się jak stare płótno. Rozwiedli się właściwie bezkonfliktowo, uznając, że stan cywilny rozwodnik/rozwódka lepiej odda faktyczny stan rzeczy. Chłopcy widywali się z matką w ferie, wakacje, święta oraz gdy im się udawało ustrzelić promocje w tanich liniach. Mirek przypuszczał, że wcześniej czy później zechcą przenieść się do niej na stałe. Nie oponował: wiedział, że wszelka dyskusja z młodością nie ma większego sensu. Upierał się jedynie przy tym, by spod jego skrzydeł wyfrunęli po zdaniu matury.

Szczerze polubiła Mirka. Niby najpierw powinna się szaleńczo zakochać, no dobrze – przynajmniej zakochać – ale ugruntowana sympatia, w ślad za którą może pójść większe uczucie, to chyba niezły patent. Swatki go wykorzystywały przez dziesiątki lat, więc nie była to nowatorska, niesprawdzona metoda. Gerard się jej „przydarzył”. Norbert ją uwiódł. Mirka wybrała sama – na podstawie garści cech, którymi opisał się na portalu. Może zwlekającemu tak długo szczęściu właśnie o to chodziło? Że to miał być jej wybór, a nie ślepy traf? Gdyby się na spokojnie zastanowić: dwoje ludzi dopasowanych pod względem wykształcenia, pochodzenia, zainteresowań, temperamentu, wieku, poczucia humoru – to tworzy solidną podstawę do codziennego wspólnego życia. Nie wypala się jak namiętność.

Co zaś do namiętności...

Cóż, za pierwszym razem łóżko nie płonęło – ale te pierwsze nowe razy nigdy nie są miarodajne. No dobrze, z Norbertem płonęło, ale... pożycie z nim dziś mogła podsumować znanym przysłowiem: „Miłe złego początki, a koniec żaloszny”.

Z Mirkiem... na początku oboje byli skrępowani, nieśmiali, jacyś niewprawni. Przeżyte lata, zaliczone związki, porodzone dzieci – kiedy zaczyna się nowa relacja intymna, okazuje się, że to wszystko nie ma aż takiego znaczenia. Za każdym razem trzeba budować bliskość na nowo. Renata zaczęła więc ją budować i wszystko naprawdę dobrze się układało: po pamiętnej pierwszej herbacie zostali jeszcze na obiad, po pierwszej randce umówili się na następną, a po zaliczeniu razem cyklu pięciu spacerów tematycznych po Warszawie z ulgą usunęli swoje profile z portalu randkowego i stali się PARĄ.

Mirek zyskiwał z każdym przeżytym razem tygodniem. Po pierwsze – lubił z Renatą być. Po prostu. Nie musieli robić niczego nadzwyczajnego, wymyślnego, arcyciekawego. Przyjeżdżał do niej albo spotykali się po pracy, gdzieś w mieście. Równie dobrze siedziało mu się z nią przy herbacie i wspólnie wertowanej gazecie, przed telewizorem, w kawiarni, w kinie; sam na sam i w większym gronie rodziny, z jej lub z jego znajomymi czy na przyjęciu firmowym „Charakterów”. W weekendy chodzili razem na spacer i na zakupy, razem gotowali – choć Renata musiała oduczyć go wrzucania do wszystkiego kostek rosółowych. Mirek pod jej przewodnictwem odkrył wiele zaskakujących przypraw, Renata zaś, dzięki jego inżynierskiemu umysłowi, uniknęła licznych błędów, które na pewno by popełniła, gdyby swój plan szeroko zakrojonego remontu mieszkania wdrożyła w życie sama.

Lubiła, jak na nią patrzył. W jego ciepłych oczach było tyle zachwyty nią, tyle otuchy, tyle wyrażanego bez słów oddania. Był lojalny i wesoły, zaradny i sprawiedliwy, wyrozumiały, gdy w grę wchodziły dzieci Renaty, domagające się jej uwagi i czasu. Wreszcie był też cierpliwy – co przydawało

się i w łóżku, i na zakupach, i w relacjach z nieobliczalną Romą, z dojrzewającą Kariną i ze zbuntowanym Radkiem.

To wszystko sprawiło, że Mirek szybko stał się nieodłączną częścią życia Renaty, cudownie poprawiając jego jakość i smak.

21 czerwca 2008 roku

Na wszystko przychodzi czas. On wie kiedy.

– Wszystko już spakowałam. Za piętnaście minut będę gotowa. Szykuj się! – krzyknęła Renata, domykając walizkę.

Odpowiedzią była cisza.

– Radek, słyszysz?

Nawet jeśli słyszał, nie reagował.

Renata zdjęła walizkę z łóżka i postawiła ją obok drzwi wejściowych, po czym skierowała się do pokoju syna.

– Radek?

Jej dziewięćolatek leżał na łóżku, ze słuchawkami na uszach. Dźwięki, które się z nich wydobywały, napawały ją troską – czy on w ogóle jeszcze potrzebuje słuchawek, skoro pewnie jest już głuchy? „A może każde kolejne pokolenie ma niżej umieszczony próg wrażliwości i to co dla rodziców jest łomotem, dla nich zaledwie szeptem?”, pomyślała z troską, patrząc na mroczny plakat zespołu Metallica. Kupiła go synowi, z bólem serca, bo raził jej poczucie estetyki, równocześnie kategorycznie odmawiając wyjazdu na koncert zespołu do Chorzowa. „Niczego nie mogę”, rozplakał się wtedy, zupełnie nie jak heavymetalowiec.

– Radek! – Stała przy łóżku, dotykając jego ramienia.

– Jeju, no. Ale mnie wystraszyłaś, mamo.

– Ta dzika muzyka powinna cię zaimpregnować przed wszelkim lękiem. – Renata przejechała po Radkowej grzywce przykrywającej oczy, próbując odgarnąć ją na bok.

– Mamo, nie rób mi tak. Nie jestem już dzieckiem. – Delikatnie, ale stanowczo odsunął się od rodzicielki.

Renata patrzyła na syna z czułością. Był do niej taki podobny. To samo niebieskie spojrzenie, ten sam kolor włosów. Łączył ich nie tylko wygląd. Karina miała w sobie rys szaleństwa, pęd ku nieznanemu, zupełnie jakby genetyka pominęła w łańcuchu rodzinnym Renatę, wyposażając Karinę w cechy babki. Nic dziwnego, że były ze sobą tak blisko. Różnica pokoleniowa – dwupokoleniowa właściwie – zupełnie im nie przeszkadzała. Renata przywykła już do tego, choć czasem ta komitywa trochę ją uwierała. Apoteozowane więzi między matką a córką, niezwykle połączenie, komunizm dusz i serc – cóż, Renata raczej z synem miała taką relację. Do czasu. A raczej – do Mirka.

Nikt nie jest samotną wyspą – kiedy Renata była młodsza, to powiedzenie odbierała jako otuchę: że nie trzeba się bać samotności, bo zawsze przecież znajdzie się ktoś, komu na nas zależy, kto poda dłoń, wyciągnie z kłopotów, rozwieje troski. Że zbawienia trzeba szukać w człowieku obok i że się je tam znajduje. Teraz – jako niedoszła wdowa, była żona i panna z odzysku – inaczej (trafniej) odczytywała sens tych słów: człowiek nigdy tak naprawdę nie jest wolny w swoich decyzjach, ponieważ nie żyje pojedynczo i niezależnie. Relacje, uwikłania i powiązania z innymi ludźmi wpływają na nasze wybory. Od mniej więcej roku, czyli od pojawienia się w jej życiu Mirka, Renata czuła, że w tej nowej układance podejmowanie decyzji zaczyna przypominać jakiś skomplikowany algorytm. Z Gerardem miała córkę, ale to przecież niczyja wina, że los odebrał im obu: ojca i męża. Norbert nie sprawdził się ani jako mąż, ani jako ojciec, ani jako ojczym. Tyle tylko, że wypisanie się z każdej z ról co innego znaczyło dla trojga zainteresowanych: Renata przerobiła ten związek i ten etap. Nie doszukiwała się winy w sobie. Może gdyby mąż miał pojedynczy romans, wtedy wciąż by się porównywała do wybranki i oceniała siebie jako tę gorszą. Ponieważ jednak Norbert skakał z kwiatka na kwiatek, uznała, że ten typ tak ma, i nie szukała już wad w sobie. Karina była zadowolona z takiego obrotu sprawy; zawsze czuła się obok, mniej ważna, czy nawet nieważna. Renata była żoną, Radek synem, Karina – cóż, Kariną.

Nigdy tego nie powiedziała wprost, ale w jakiś sposób czuła się zdradzona przez matkę, która związała się z Norbertem. Najbardziej poobijany z tej rozszady wyszedł Radek – początkowo silne spoiwo ich związku, wisienka na torcie miłości. Był mały, po chłopięcemu wpatrzony w ojca; Norbert nie był zwyczajnym tatą na co dzień, to był typ ojca odświętnego, z przytupem: spektakularne prezenty, ekscytujące wypadki, adrenalina. Od naleśników, herbaty z cytryną, roweru dookoła bloku i naklejania plastrów była mama. Po rozstaniu Norbert jeszcze przez chwilę utrzymał tempo i zainteresowanie, a potem zapał go opuścił. Radek cierpiał, i to podwójnie. Renata musiała starannie i de-likatnie układać nową mozaikę. Choć sporo już się nau-czyła o relacjach międzyludzkich, to lekcji pod tytułem: „Nowy mężczyzna w życiu twoim i twoich dzieci” nie przerabiała. Temat był trudny.

Karina była przychylnie nastawiona do Mirka. Powody takiej reakcji były dwa: Mirek nie był Norbertem i za to już na starcie dostawał sto dodatkowych punktów; Karina miała szesnaście lat i była szaleńczo zakochana w starszym o trzy lata Erneście, który właśnie zdał maturę i za chwilę będzie studentem. Tyle ekscytacji, że na inne brakowało już miejsca w życiu. Za to Radek...

Renata przeczuwała, że między dwoma najważniejszymi mężczyznami w jej życiu chemii nie będzie. Nowość tej trudnej sytuacji polegała na tym, że tym razem stroną nieakceptującą było dziecko. Obiektywnie rzecz biorąc, Radek nie miał żadnego powodu, by nie lubić chłopaka matki. Mirek był człowiekiem dobrze wychowanym, a do tego doświadczonym ojcem. Na pierwsze wspólne spotkanie przyniósł Radkowi bon do Empiku, żeby ten mógł sobie samodzielnie coś wybrać, na drugim wystąpił z propozycją wspólnego pójścia na mecz. Trzeciego i kolejnych już nie było. Radek, początkowo opłotkami, potem już wprost, wymigiwał się z widzeń.

Renata przenicowała zachowanie syna i wyciągnęła samonasuwające się wnioski: Radek jest zazdrosny o matkę. Musi się mierzyć z ambiwalentnymi uczuciami wobec ojca: z jednej strony jest na niego zły, bo ten go porzucił, z drugiej zaś – chroni jego miejsce i nie pozwala, by Mirek je zajął.

Wobec tej sytuacji była bezradna. Na razie więc lawirowała, nie poruszała tematu, zachowywała się delikatnie.

Czas kolejnej konfrontacji jednak niechybnie się zbliżał.

Roma i Wincent przygotowali jej urodziny w plenerze.

Znajomy Wincenta prowadził na Kurpiach coś w rodzaju pensjonatu dla wtajemniczonych. Odbywały się tam plenery artystyczne, zajęcia z arteterapii, kursy bębniarskie, weekendowa joga, no i seks tantryczny. Dla zaawansowanych.

Wincent wynajął dla nich cały dom na dwa dni.

Jeden pokój dla siebie i Romy, jeden dla Kariny i Radka, jeden dla Renaty i Mirka.

W planach było wróżenie z kart, integracja z Matką Ziemią, pokaz jogi w wykonaniu Wincenta i wiele innych, wciąż egzotycznych dla Renaty, atrakcji. Wszyscy, nawet tradycyjnie biorący życie Mirek, entuzjastycznie podchodzili do tego po-mysłu.

Wszyscy – z wyjątkiem Radka.

– Jesteś gotowy?

– A muszę tam jechać?

– Musisz. Nie zostaniesz przecież sam. A dlaczego tak się przed tym bronisz?

– Rany, mamu. Już ci mówiłem.

– Nie, nie mówiłeś. Powiedziałeś tylko, że nie chcesz, bez podawania powodu.

– Co ja tam będę robił? Jakaś wioska w dziczy, babcia z tym swoim wariatem, siostra i ty.

Nieszczęśliwe atrakcje.

– Będzie też Mirek. – Renata poczuła się w obowiązku przypomnieć.

Radek nie skomentował tej informacji.

– Wolałbym być z tatą.

– Wiem, ale... – Renata powinna była powiedzieć prawdę: że Norbert z kolejną studentką zgłębiał tajemnice polskich jezior i innych cudów natury, ale nie chciała ranić syna. – ...Ale to moje urodziny i bardzo mi zależy. No, to jak? – Delikatnie pogłaskała jego ramię. – Jedziemy?

Pół godziny później zmierzali w kierunku Puszczy Białej. Pogoda sprawiła się fantastycznie,

słońce grzało przez szyby, na drodze było przedwakacyjnie i pusto.

Prowadził Mirek. Renata wybrała rolę pilota. Od czasu do czasu zerkała na wyrysowaną przez Wincenta mapę. Zagłębiali się w coraz większą dzicz.

– Mamo, chyba się zgubiliśmy. – Radek sceptycznie oceniał umiejętność orientacji w terenie matki.

– Też tak myślałam, ale zobacz, tam, za brzozowym zagajnikiem, jest piaszczysta droga w prawo. Na drzewie drewniany drogowskaz: „Do Opalka”. Wszystko się zgadza.

– Twoja mama się nie gubi. – Mirek posłał Re-nacie ciepły uśmiech. Radek – co zauważyła w lusterku – przewrócił oczami na ten komplement i się skrzywił.

Po ponad kilometrze jazdy po złocistym piasku dojechali na miejsce.

Chałupa była piękna. Drewniana, ze zgrabnym gankiem z przodu i z dużym tarasem od tyłu. Ładnie odnowiona, z wymalowanymi na niebiesko okiennicami. Dokoła dużo kwiatów, potem szeroki pas trawnika przechodzący w łąkę i wreszcie las, okalający siedlisko z trzech stron, jak zielona podkova.

– Bardzo przyjemne miejsce – powiedziała Renata.

Radek milcząco się zgodził.

– No, jesteście wreszcie – powitał ich Wincent. Był w długiej rubaszce wyszywanej czerwonym haftem. Do tego miał szerokie lniane spodnie, jakby szarawary. Bose stopy z przyjemnością ugniatały zielony dywan.

Renata w swoich dżinsowych szortach, adidasach i koszulce polo poczuła się pozbawiona polotu.

Mirek też zauważył stylistyczną odmienność Wincenta, ale podszedł do sprawy zupełnie inaczej:

– Wins, wyglądasz świetnie! Chyba nigdy nie powiedziałem komplementu żadnemu facetowi, ale aż mnie zatkało. Jesteś taki... wyluzowany!

Teraz z kolei zatkało Renatę. Do tej pory wydawało jej się, że Wincent i Mirek to dwa różne światy. Nawet trochę zazdrościła mamie, że ma takiego spontanicznego chłopaka, który jest ujmująco szczerzy i naturalny. Było w tym także trochę żalu, że sama taka nie jest. Jasne, dużo napięcia i ścisłu udało jej się z siebie zrzucić, ale do pełnego luzu jeszcze trochę brakowało. Nie sądziła, że Mirek mógłby być jej przewodnikiem na tej drodze, a tu – proszę! Uśmiechnęła się czule.

– Dla ciebie też mamy odpowiednie ciuchy, nie martw się. – Do komitetu powitalnego dołączyła Roma w powłóczystej sukni zdobionej demonicznymi esami-floresami. Na głowie miała opaskę, a za nią wetknięte chabry.

– To twoje święto, ty masz tylko odpoczywać. – Wincent ujął ją pod ramię, z drugiej strony dołączył Mirek. Lekkim tanecznym krokiem poprowadzili ją do środka.

Renata była oszołomiona. Poczuła się jak Sheila Franklin z musicalu *Hair* – dziewczyna z dobrego domu w otoczeniu bandy hipisów za nic mających konwenanse i drobnomieszczańskie ograniczenia. I bardzo jej się to spodobało.

W środku było równie bajecznie. Długi drewniany stół, po jego obu stronach ławy. Pod ścianą kanapa i fotele. Wszystko zamasyżuje kolorowe, tu pasiak łowicki, tam angielskie róże i wtręty z IKEA. Stół zastawiono miskami wypełnionymi apetycznie wyglądającymi daniami. „Ładnie pachnie”, pomyślała Renata, wciąż bez obiadu, mimo wczesnowieczornej pory. W powietrzu był wyczuwalny jeszcze jakiś zapach. Ziołowy, trochę mdły, trochę słodki.

– Mamo – Renata położyła rękę na ramieniu Romy – czy wy tu czegoś przypadkiem nie paliliście?

– Tylko powitalnego skręcika ze Zbyszkim. Odłożyłam dla ciebie oczywiście.

– Mamo! Przecież ja tu jestem z Radkiem. Przy dziecku to chyba nie można, co?

– Nie bądź sztywniarą, Reniu. Jesteś wciąż przed czterdziestką.

Dalsza część wieczoru była przyjemna. Renata dała się namówić matce na wypalenie zioła. Nigdy wcześniej – ani na imprezie w liceum, ani podczas studenckiego życia nie zdarzyło jej sięgnąć po narkotyk („Daj spokój, to prawie jak melisa, też roślina” – Roma lekceważąco machnęła ręką). Potrzeba było do tego dopiero zachęty matki, co Renacie wydało się pewną ekstrawagancją, choć w gruncie rzeczy dość zabawną. Miała słabą głowę, mdliło ją nawet od papierosów. Zaciągnęła się kilka razy, uznała, że

przeszła chrzest bojowy, i miała nadzieję, że Radek niczego nie zauważył.

Jedzenie okazało się przepyszne. Wincent znalazł się nie tylko na wielogodzinnym seksie. Gotował także znakomicie. Renata rozkoszowała się nowymi aromatami, aksamitem gładkich sosów, oryginalnym połączeniem smaków. W tle sączyła się orientalna muzyka. Było trochę dziwnie, zupełnie inaczej i bardzo przyjemnie.

Mirek odnalazł się w nowych warunkach nadspodziewanie dobrze. Po obfitym obiedzie siedział na kanapie obok Wincenta i uczył się palić sziszę.

– Córcia, a teraz czas na prezent. – Roma dała znak Karinie.

Na stole pojawił się piękny klasyczny tort, ze skromnym czekoladowym znaczkami: Blikle.

– Nie zdążyliśmy upiec dużego ciasta, więc Karinka postawiła na tradycję. Ale mam też dla ciebie coś specjalnego. – Roma podeszła do komody w rogu i wróciła stamtąd z talerzykiem i niewielkim pudełkiem obwiązanym czerwoną kokardą.

– O, jaka ładna kuleczka. – Renata z apetytem spojrzała na karmelową krągłość.

– To tradycyjny indyjski pączek mleczny z kardamonem.

– A w pudełku...

– Też kuleczki. – Roma chyba mrugnęła, a może tylko jej się wydawało.

– Więcej pączków?

– Nieee. To kulki do... – Roma teatralnie zawiesiła głos.

– Do? – Renata się wysiliła, ale na próżno.

– Do ćwiczeń – odpowiedział usłużnie Wincent.

– Ćwiczeń – powtórzyła Renata i dopiero po chwili oblała się rumieńcem.

– No co tam masz? – zainteresował się Mirek.

– Y... – Renacie nagle zaschło w gardle. Cholera, czy wciąż musi być wstydliwą mieszczką? Nie musi. – Pokażę ci wieczorem w sypialni. – Uśmiechnęła się zalotnie, choć trochę pąsowo. W tym momencie zauważyła, że Radek przygląda się jej w jakiś dziwny sposób. – A co tam w pączuszku? – zmieniła temat zgrabnie i szybko.

Nadgryzła kawałek ciastka. Bardzo tłuste, bardzo aromatyczne, bardzo smaczne. W środku zwitek papieru.

Na wszystko przychodzi czas. On wie kiedy.

Uśmiechnęła się. Dobry wieczór, dobra wróżba. Los ją wreszcie polubił.

Myślała tak przez resztę wieczoru przy stole. Utwierdzała się nocą, spędzaną wspólnie z Mirkiem. Czy to dzięki skrętowi, czy wschodnim przyprawom, ale było wybornie. Ona rozluźniona, on zwarty. Seks tantryczny może to nie był, ale trzy podejścia z fajerwerkami to też cudowny wynik. Po roku coraz częstszych randek Renata odkryła, że seks to również umiejętność bycia razem. Pożądanie jest ważne, jednak to dopiero wstęp do dobrego seksu. Potem trzeba się siebie nawzajem nauczyć, poznać swoje ciała, wsłuchać w potrzeby, otworzyć się – tak się buduje intymność. A wtedy można na przykład wyjąć z pudełka małe kulki i poeksperymentować z nimi – we dwoje.

„Na wszystko przychodzi czas”, pomyślała Renata, zasypiając z błogością, wtulona w Mirka.

Obudził ją jakiś hałas. Za oknem dostrzegła szary mrok. Sięgnęła po komórkę – było wpół do czwartej. „Chyba mi się coś śniło”, pomyślała sennie, wtulając się w ciepłe plecy Mirka. A może nie? „Ale w końcu jesteśmy w lesie, pewnie jakiś dzik albo sarna urządzą sobie spacer. Człowiek z miasta musi się przyzwyczaić”. Cisza. Ziewnęła, przymknęła oczy i... znów usłyszała ten dźwięk. Szuranie, a może skrzypienie. Teraz dochodziło ewidentnie z domu. Może to drewno tak pracuje? Albo myszy? A może kuna? Renata się rozbudziła. Postanowiła sprawdzić, dla świętego spokoju.

Wyszła na korytarz. Zatrzymała się tuż za drzwiami, nasłuchując, skąd dobiegają te odgłosy. Na dole skrzypnęła deska. Chyba pod ich pokojem. Przeszła cicho wąskim korytarzem, zastanawiając się, dlaczego właściwie nie zapala światła i nie idzie tak, by było ją słychać. To chyba nawyk przejęty z filmów sensacyjnych, gdzie bohaterowie zawsze się skradają na paluszkach, by nie zdradzić swojej obecności przed ewentualnym intruzem. Na słowo „intruz” zrobiło się jej zimno. A może to włamanie? Może na dole natknie się na jakiegoś oprycha, a nie na futrzaka? Rany, przecież na dole śpią dzieci!

Renatę zalała fala adrenaliny. Dzieci! Przeskoczyła po dwa stopnie na krętych schodach i już była na parterze. Zaraz, które to drzwi do Kariny i Radka? Od podjazdu, drugie od wejścia. Te, które były teraz uchylone, przesączając na korytarz wąskie pasmo światła. Nagle w pokoju coś się zakotłowało. Jakby ktoś się szarpał. „Zostaw mnie!”, to był głos Radka. Renata krzyknęła i rzuciła się do drzwi. Uderzyła je mocno dłonią, otwierając na oścież. Radek leżał na podłodze, skulony, zapłakany.

– Synku, co się stało?! – Renata dopadła do niego, sprawdzając, czy nic mu nie jest. Był potargany, twarz miał mokrą od łez, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie jest ranny.

– Raduś, słyszysz? Co tu się stało?

– Nic się nie stało.

Renata gwałtownie się obejrzała. Po drugiej stronie pokoju stała Karina. Oddychała ciężko i powoli, jakby przed chwilą stoczyła walkę i dopiero uspokajała oddech.

– Jak nic? No jak nic? Co wy wyrabiacie? O co tu chodzi? – Renata była zdezorientowana. Pobili się? Karina i Radek? Niemożliwe, zawsze byli zgodni.

– O to. – Karina wyciągnęła w jej kierunku rękę z kartką papieru złożoną na pół.

– Co to jest?

– Czytaj.

Renata podeszła. Rozłożyła papier i przeczytała:

Mamo, nie lubię go i nie polubię. Nigdy nie będzie moim tatą.

Spojrzała na córkę pytającym wzrokiem.

– Obudziłam się, kiedy zaczął pakować plecak. Chciał zwiać.

Radek wciąż leżał na podłodze, zwinięty w kłębek. Milczał.

– Ale dlaczego? – Renata bezradnie rozłożyła ramiona.

– Bo nie lubi Mirka.

– Ale wczoraj było tak fajnie! I w ogóle Mirek jest fajny. Karina, prawda?

Córka spojrzała na nią i powoli odpowiedziała:

– Tak, było. I jest fajny. Choć to nie ojciec, nigdy nas tak nie pokocha. Mnie to nie przeszkadza, ja go lubię. Jest w porządku. Ale ja już to przerabiałam z Norbertem. No i nigdy nie miałam prawdziwego taty.

Renata poczuła ukłucie w sercu. Dawne poczucie winy wobec córki, już zasklepione, otworzyło się na nowo. I jeszcze pojawiła się druga rana – z powodu Radka. Dlaczego zawsze musi być tak, że kiedy jest plus, to zaraz, jakby dla równowagi, pojawia się minus?

Czy jej szczęście musi być jak motyl? Nabrać kolorów, wzlecieć do słońca i szybko umrzeć?

21 czerwca 2009 roku

Nowe przychodzi. Stare zostaje wspomnieniem.

„Dobrze, że już prawie w domu”, pomyślał, idąc od parkingu w kierunku bloku. W rękę trzymał bukiet z trzydziestu siedmiu szkarłatnych róż. Dla Reni. Po majówce zamieszkali razem. Wreszcie. Mirek się cieszył, że w końcu udało mu się ją przekonać do tego pomysłu. Jej uczucie było pewne, nie o to chodziło. Widział, jak na niego patrzy, słyszał w jej głosie tęsknotę, kiedy wieczorami rozmawiali w sypialni – on w swojej, ona w swojej, oboje z telefonami przyciśniętymi do uszu. Czuł jej smutek, kiedy po seksie się ubierała, by wrócić do siebie. Było im razem naprawdę dobrze. Mirek bardzo chciał, żeby pozszywali swoje życia w jeden kawałek. Patchwork – tak się nazywa rodziny „z odzysku”, które łączą się w nową całość. Kolorowy materiał zszyty z łatek sprawia wrażenie idealnego dopasowania mimo widocznych różnic w kolorze i fakturze skrawków. On chyba nie był idealnym krawcem, bo ich patchwork pruć się i ciągnął, a szwy były nierówne. Mirek polubił dzieci Renaty. Skoro kocha ją, to akceptuje wszystko, co jest jej bliskie, na czym jej zależy. Niestety w przypadku Radka to uczucie było nieodwzajemnione. Po burzliwych urodzinach w zeszłym roku, kiedy to chłopak chciał zwać ze wspólnego wyjazdu, Renia długo nie mogła dojść do siebie. Mirek próbował jej pomóc, ale sytuacja była trudna: lek, czyli jego miłość i zaangażowanie, był jednocześnie przyczyną choroby – buntu Radka. Renata zapisała siebie i syna do poradni psychologicznej, prosząc Mirka o jeszcze chwilę cierpliwości. Po pół roku sytuacja wyszła na prostą, to znaczy Radek przestał być w otwarty sposób nieprzyjemny, a Renia utwierdziła się w przekonaniu, że ma prawo do własnego życia, w którym jest miejsce dla Mirka. Oczywiście nie znaczyło to, że Radek stał się kochającym pasierbem, a Renia pozbyła się wyrzutów sumienia. Praktyka wciąż przypominała pole minowe – wszyscy chodzili ostrożnie, badając teren. Zdarzały się wybuchy, choć bez ofiar śmiertelnych.

Dzisiaj pogoda była równie piękna, co rok temu, ale krajobraz odmienny. Zamiast dzikiej zieleni bloki po horyzont. Zapach suchej, żywicznej ściółki zastąpiły wonie obiadów. Ciszy lasu też nie było. W jej miejsce – jakieś tubalne wycia. „Ciekawe co to?”, pomyślał Mirek, wstukując kod do domofonu.

Gdy przestąpił próg mieszkania, zrozumiał, że to u nich.

– Co to, Reniu? – wstrzelił się akurat w moment ciszy w pokoju Kariny, który generował te przedziwne dźwięki.

– Karina zorganizowała dla koleżanek kurs śpiewu białego... – padła odpowiedź, a pobrzmiwała w niej ni to duma, ni to wahanie.

– To śpiew? – zapytał, przyciągając Renatę ku sobie i składając na jej ustach gorący pocałunek.

– Wszystkiego dobrego, kochanie – powiedział, wręczając jej bukiet.

– ...zwanego także śpiewokrzykiem.

– Chyba krzykośpiewem. – W Mirku odezwał się precyzyjny inżynier. – Proporcje zdecydowanie takie.

– Masz rację – westchnęła Renata. – Ale dziewczyny zaraz kończą. To taki wiek, że wciąż się chce eksperymentować. I kontestować wszystko, co oferuje szkoła i dom.

– Wytrzymamy – uspokoił ją Mirek. – Wolałabyś, żeby słuchała disco polo albo marnego popu?... Jej dziadek był muzykiem, może to w końcu jakoś wychodzi w genach?

Renata pomyślała, że gdyby jeszcze się nie zakochała w Mirku, to zrobiłaby to teraz. Facet, który wykazuje większą tolerancję dla pomysłów jej dziecka niż ona sama, zdecydowanie na to zasługuje.

– To jakie plany na to wyjątkowe popołudnie?

– Za godzinę przyjedzie mama z Winsem. Kaczka w piekarniku, chłódnik w lodówce, wino na stole.

– A Radek gdzie?

– U Tomka. Układają stację benzynową z klocków Lego. Powinien już być. Zaraz po niego pójde.

– A może ja go odbiorę? Ty sobie odpocznij, solenizantko.

– Przyznaj się, nie jesteś miłośnikiem śpiewu białego? – Renata dała mu lekkiego kuksańca. Zaraz jednak spoważniała. – Może jednak ja pójde? Żeby Radek nie pomyślał, że już mi nie zależy...

– A może jeśli ja pójde, to dla odmiany pomyśli, że mnie zależy?

– Wiesz, jesteś kochany.

– Wiem. – Mirek przytulił Renatę.

W pokoju Kariny słyhać było już tylko szmer rozmów i śmiechy. Wycia ustały, co Renata przyjęła z ulgą. Niech będzie, że jest tradycjonalistką, ale taka forma ekspresji artystycznej zupełnie do niej nie trafiała. Skoro ma chwilę dla siebie, to robi sobie kawę i usiadzie z gazetą. Gdy sięgała po puszkę z ziarnami, zadzwonił telefon. Norbert. Pewnie panienka odwołała randkę i jednak znajdzie czas dla syna. Rychło w czas. Dziś mu Radka nie da, nie będzie im psuł rodzinnej imprezy.

– Halo.

– Cześć, Renata. Słuchaj, dzwonię w delikatnej sprawie...

No proszę! Jej intuicja wreszcie się wyrobiła.

– ...to znaczy w sprawie Radka.

– Norbert, jeśli chodzi o dziś...

– Nie, nie chodzi o dziś. Chodzi o całokształt.

I ten głos taki dziwny. Czyżby dopadły go wyrzuty sumienia?

– Bo widzisz – ciągnął eksmąż – martwię się o syna. Naszego syna.

A jednak! Lepiej późno niż wcale.

– Podczas ostatniego spotkania miałem wrażenie, że jest smutny. Pytał, czy moglibyśmy się zobaczyć w kolejny weekend. No ja akurat miałem już plany, praca, rozumiesz, i inne zobowiązania...

Zwłaszcza te inne zobowiązania Reneta świetnie potrafiła sobie wyobrazić.

– ...więc nie mogłem, ale uznałem, że coś trzeba z tym zrobić. Dlatego dzwonię.

– A konkretniej? Co proponujesz?

Jeśli chce się włączyć w życie syna, to przecież nie będzie mu utrudniała. Każdy ma prawo naprawiać błędy.

– Mówiąc wprost: powinnaś przemyśleć swoje zachowanie.

– Co?! – Renata zdębiała. – Ja mam przemyśleć swoje zachowanie?!

– Nie ma się co unosić – odpowiedział spokojnie Norbert. – Możesz oczywiście układać sobie życie, tylko pomyśl o dziecku. Radek najwyraźniej nie jest zadowolony z twojego wyboru i nie odnajduje się w nowej rodzinie. – Ta „rodzina” była wypowiedziana z przekąsem. – Może poświęcasz mu za mało czasu?

Renata zaniemówiła. Robiła wszystko, żeby było dobrze. Mirek zresztą też. Powtarzał: „Reniu, dopracujemy te szwy na patchworku”. Tak się starał! Był zdecydowanie lepszym opiekunem dla Radka niż jego biologiczny ojciec. A teraz ten tu dzwoni, jak jakiś cholerny święty, i prawi jej kazania. O nie, nic z tego. Czas pouczenia się skończył!

– Norbercie – starała się mówić spokojnie, choć w środku się gotowała – a nie przyszedł ci do głowy inny powód złego samopoczucia twojego syna? Na przykład taki, że wciąż go zawodzisz, odwołujesz spotkania albo proponujesz je w ostatniej chwili? Że jesteś zupełnie nieprzewidywalny i nie dajesz mu nawet grama poczucia bezpieczeństwa?

– Nie o tym mówimy, Renata. Chodzi o twojego nowego faceta.

– Nie, nie chodzi o Mirka. Ten facet ma na imię Mirek. Możesz zapamiętać, przyda się, bo to zmiana na stałe, nie tak jak u ciebie. Mirek poświęca twojemu synowi zdecydowanie więcej czasu niż ty. A Radek po prostu sobie nie radzi z faktem, że własny ojciec tak go robi w balona.

– No, słyszę, że wracamy do starej śpiewki.

– Wracamy, bo choć to już zdarta płyta, to nic nie rozumiesz. To może pomyśl na spokojnie i zadzwoń, gdy coś do ciebie dotrze.

Renata rozłączyła się i drżącą ręką odłożyła telefon. Dupek jeden! On ją będzie pouczał! On!

A jakie on ma kompetencje? To ona chodziła do psychologa, to ona się stara i jest uważna, to ona poświęca czas. I to ona znalazła faceta, który chce być nie tylko jej chłopakiem, lecz także opiekunem jej dzieci. Nie da się zrobić w poczucie winy, już nie.

– Co, mamuś? Sama jesteś? Wydawało mi się, że słyszałam Mirka. – Karina zajrzała do kuchni. – Stało się coś? Tak jakoś smutno wyglądasz.

– Dobrze słyszałaś – dobiegło z przedpokoju, nim Renata zdążyła odpowiedzieć. – Jesteśmy. – Mirek wyciągnął zza pleców rękę z kolorowym bukietem wdzięcznych kwiatków. – Wszystkiego dobrego, Karina! Idź przez życie śpiewając. – Puścił do niej oko.

– Ale ładne! A co, słyszałaś, jak śpiewamy?

– Słyszałem. Bardzo oryginalne. Ale nie dopytuj o więcej, bo wiesz, umysł ścisły się nie zna na sztuce. Na marzeniach nastolatek też nie. Dlatego – tym razem ręka powędrowała do tylnej kieszeni spodni – sama wybierz, co tam ci się marzy.

Karina otworzyła czerwoną kopertę i wyciągnęła z niej bon upominkowy do galerii handlowej.

– Znasz się całkiem nieźle. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem, całując Mirka w policzek.

„Może młodość to czas buntu i ideałów, ale staroświecka kasa na zakupy ucieszy każdego, nawet najbardziej odjechanego nastolatka”, pomyślała Renata.

– A ty jakiś nieswój, co, brat? – Karina spojrzała na Radka, który stał oparty plecami o ścianę i popatrywał na resztę rodziny z niewyraźną miną. – Może ty chory jesteś?

– E, chyba nie... – Renata niepewnie przyglądała się synowi.

– A tata Tomka to nie był niedawno w Stanach? To stamtąd przyjechała ta kobieta, u której potem wykryto wirus świńskiej grypy. Pierwszy przypadek zakażenia w Polsce.

– Sama jesteś świńska – odburknął Radek całkiem zdrowym głosem, nie podnosząc głowy.

– No, to czas na prezent, córcia.

Dwie godziny później byli już po obiedzie. Siedzieli w salonie, dopijając kawę. Roma wyciągnęła przed siebie sporą paczkę zawiniętą w czerwony papier.

– Samego dobra! – powiedziała, biorąc Renatę mocno w objęcia.

Spod papieru ukazał się album na zdjęcia. W pięknych aksamitnych okładkach, z wyhaftowanym jej imieniem na froncie.

Renata zaczęła go przeglądać – zdjęcia ułożono chronologicznie. Na pierwszym była pękatym becikiem leżącym na wersalce przykrytej łowickim pasiakiem. „Świat stał się jeszcze bardziej kolorowy, gdy się urodziłaś” – do fotografii doklejono kartkę z podpisem. Każdy obrazek był tak przedstawiony. Renata ze wzruszeniem przyglądała się swojemu życiu, strona po stronie.

– Fantastyczny prezent, mamuś. Doskonała pamiątka. Chodź, uściskam cię!

– Pamiątka też – zgodziła się Roma, podnosząc album ze stołu. Odwróciła go tak, że teraz widać było tylną okładkę, także z wyszytym napisem:

Nowe przychodzi. Stare zostaje wspomnieniem.

– Ale druga połowa jest pusta. Czeka na nowe zdjęcia. I my z Winsem życzymy ci, żeby były jak najfajniejsze.

– Właśnie – potwierdził Wins. – Strzepnijcie okruszki tortu z brody, bo zaraz będzie pamiątkowa fotka z urodzin Reni. Kolejna do albumu. O, postawię aparat na tej półce i włączę samowyzwalacz, to nikogo nie zabraknie.

– Poczekajcie. – Mirek wstał od stołu i podszedł do Reni. – Chciałbym dołożyć do tego zdjęcia mały element dekoracyjny. Malutki. – Klęknął przed Renatą. Z kieszeni koszuli wyjął małe pudełko w kształcie serca obleczone czerwonym pluszem. – Reniu, czy możesz mi podać rękę?...

Wzruszona i zdumiona Renata wyciągnęła dłoń w jego stronę. Mirek wsunął na jej serdeczny palec złoty krążek z leżką szafiru.

– ...I zostawić w mojej dłoni już na zawsze?

Tego popołudnia zrobili sobie pierwsze wspólne zdjęcie do nowego albumu. Roma nakleiła kolorową karteczkę na czarnej tekturze: „37. urodziny Reni. Tak, tak, tak!”. Żeby nie czekać na zrobienie odbitki u fotografa, Karina wydrukowała fotkę na domowej drukarce. W centralnym punkcie obrazka,

na krześle, siedziała Renata. Twarz miała rozświetloną szczęściem. Przy niej klęczał Mirek, znacząco unosząc jej upięścionkowaną dłoń w stronę obiektywu. Po lewej stronie stała roześmiana Karina. Kciuki i palce wskazujące obu dłoni złożyła w kształtne serduszko. Po prawej Wins obejmował Romę w pasie, coś jej szepcząc do ucha. Z tyłu, po drugiej stronie stołu, siedział Radek. Podpierał twarz rękoma, więc trudno było dostrzec jego minę. Zresztą ostrość była ustawiona na pierwszy plan.

Renata wzięła do ręki cienki wydruk. W porównaniu z kredowymi, błyszczącymi odbitkami z wcześniejszych stron ten obrazek wydawał się taki kruchy. „Jak szczęście”, pomyślała Renata. „Trzeba o nie dbać”, szepnęła, wsuwając delikatne zdjęcie za foliową osłonkę.

21 czerwca 2010 roku

Dobra żona męża korona.

Sezon grillowy tradycyjnie zaczyna się w Polsce od pierwszego majowego długiego weekendu – czyli od pierwszego maja. W maju jednak nikomu z Rębaczów, Nowackich, Mięjków, a także Doni, Wincentowi czy Ernestowi grillowanie nawet nie powstało w głowie. Maj 2010 roku był bowiem miesiącem długo oczekiwanej ślubu Renaty i Mirka. Był też zarazem powodem ożywionych dyskusji co do wyboru daty. Renata postawiła na maj, bo kojarzył się jej z bujną wiosną, szaleństwem młodej przyrody, obłędnym zapachem konwalii, które chciała mieć jako ślubny bukiet. 22 maja 2010 roku – wtedy to postanowiła złączyć z Mirkiem swój los na zawsze. Narzeczony przyjmował tę datę entuzjastycznie, jak wszystko zresztą, co zaproponowała Renata. Po męsku pozbawiony uprzedzeń i niewprowadzony w tematykę ślubnych forów internetowych nie widział w maju żadnego zagrożenia – zupełnie inaczej niż na przykład Roma. Zaczęło się oczywiście od nieszczęsnego „r”, którego trzyliterowemu śpiewnemu majowi brakuje.

– Musi być „r” – upierała się Roma. – „R” jest szczęśliwe. I wpisane w naszą rodzinę.

– Rozwód – podsunęła usłudźnie Renata. – Też na „r”. I też został wpisany. Przez Norrrberrrrta – wysyczała. – Daj spokój, mam. To jakiś słowiański za-bobon. Drugie śluby uczą racjonalizmu.

– Tak? – nie straciła rezonu Roma. – A co powiesz na takie przysłowie... zaraz, zaraz, gdzie to ja mam tę karteczkę, o, jest. – Roma wygrzebała z pojemnego płóciennego worka mały notes, za okładkę którego miała wsunięty zapisany drobnym pismem karteluszek: – *Marry in the month of May, and you'll surely rue the day* – wydukała z solidnym polskim akcentem.

– Że co? – oniemiała Renata.

– Angielskiego się uczę. Senior-poliglota, takie mamy zajęcia w naszym domu kultury – oświadczyła dumnie Roma.

– No, to wiem, wspominałaś, ale co ma niby znaczyć to przysłowie?

– W maju ślub, szybki grób – spolszczyła brytyjskie powiedzenie Karina, z zaciekawieniem przysłuchująca się rozmowie mamy i babci.

– Co wyście się tak uczeły tego maja? – zapytała zrezygnowana Renata. – Kwiecień w tym roku ponuro przytłoczyła katastrofa nad Smoleńskiem, wydarzeniem czerwca będą wybory prezydenckie, niech więc maj będzie miesiącem naszego święta.

– Nie my, mam. Tradycja. Celtowie na przykład obchodzili w maju święto Belatne. To był czas celebrowania miłości...

– To chyba pasuje? – wtrąciła Renata z przekąsem.

– ...płodności, rozpasania i zawieszania przyrzeczeń małżeńskich – dokończyła Karina, która pasjami czytała wszystko na temat ludowości. Za rok zamierzała bowiem zdawać na kulturoznawstwo.

Renata poczuła się osaczona i przytłoczona tym zbiorowym atakiem na maj. Uznała jednak, że nie da się pokonać przesądom. W końcu to ona wreszcie bierze ster swojego życia w dłoń i sama będzie decydować, jak się ono potoczy. Los niech wreszcie zacznie jej sprzyjać albo niech się nie miesza. Głośno i odważnie uczyniła taką deklarację, a po cichu przedyskutowała jeszcze sprawę z Donią, która całkowicie ją wsparła w antyzabobonowym manifeście.

Renacie wydawało się, że wszystkie formalności związane ze ślubem załatwią migusiem. Z czystej ciekawości podczytywała w internecie strony poświęcone ślubom i czasami odbierało jej dech. Przygotowania potrafiły trwać dwa lata i był to czas wypełniony ciężką codzienną pracą – od wyboru lamówki w obrusie na stołach po zamawianie mowy weselnej. Każdy szczegół: dobór zespołu, rodzaj menu, pierwszy i ostatni taniec, wzór podwiązki, usadzenie gości przy stołach był rozebrany na czynniki pierwsze i szczegółowo omówiony. Renata, czytając te artykuły i wpisy, pocila się jak mysz. W sumie

to dobrze, że nie ma dwudziestu kilku lat i że to jej ponowne zamążpójście.

Mimo spokojnego i dojrzałego podejścia na finiszu przygotowań czuła się jak maratończyk bez kondycji. Biła się na przykład z myślami, czy zdecydować się na dwa nazwiska, czy jedno? A jeśli dwa – to które? Panieńskie i Mirka czy Norberta i Mirka, przez wzgląd na Radka...? Ostatecznie postanowiła – żeby było najsprawiedliwiej – wrócić do panieńskiego nazwiska. Wybór weselnego menu był swoistą ekwilibrystyką. Lawirowała między tradycyjnym kulinarnie Mirkiem, który jednak – trzeba oddać mu sprawiedliwość – chętnie eksperymentował z jedzeniem, wegetariańską Kariną, Radkiem niejadkiem, żądną nowych doznań Donią, roślami i wciąż głodnymi synami Mirka, miłośnikiem kuchni indyjskiej, czyli Winsem. Osobnym punktem była Roma, która z pewnym zawodem przyjęła wiadomość, że nad żołądkami gości będzie czuwać firma cateringowa, a nie seniorka rodu.

Odhaczywszy te punkty z listy, Renata dobrnęła do ostatniej pozycji: sukienki. Założyła, że nie będzie się wygłupiać i kupować sukni w salonie ślubnym. Nie dla niej księżniczkowe kreacje, góry tiulu, obciskające koronki, welony ani treny. Jest zaprawioną w bojach panną młodą z odzysku, mamą dwójki dzieci. Będzie elegancka, ale z pazurem. Odświętna, lecz nie przebrana. Ponętna, choć nie wyuzdana. I jeszcze by chciała włożyć kiedyś ponownie tę sukienkę. To, co w planach wyglądało rozsądnie i łatwo, w praktyce zamieniło się w koszmar.

Suknie wizytowe z salonów robiły z Renaty jej własną ciotkę. Wyjściowe kreacje w sieciówkach były szyte na chude modelki bez bioder i biustów. Renata z niedowierzaniem patrzyła na duże zdjęcia w witrynach sklepów – to na pewno były te same sukienki?... Gdy była już na skraju załamania nerwowego, Donia zabrała ją do butiku początkującej polskiej projektantki. Gdy tylko przekroczyły próg małego lokalu w centrum Warszawy, Renata wiedziała: ma ją! Na wieszaku czekała na nią sukienka marzenie: biała, z lekkim stalowoniebieskim połyskiem. Dopasowana w talii, z dekoltem w łódkę, niżej rozkloszowana i kończąca się delikatnie przed kolanem. Prosta, ponadczasowa, piękna i... uszyta jakby na Renatę. W butiku obok Donia wypatrzyła niebieskie zamszowe szpilki, idealnie pasujące do pierścionka zaręczynowego.

Po pełnej emocji ceremonii, którą Renata pa-miętała jak przez mgłę (zakochanie i stres to silny narkotyk), i po gwałnym, krótkim przyjęciu nowożeńcy polecili w podróż poślubną na przepiękną wyspę Zakintos, gdzie spędzili dwa błogie tygodnie zasłużonego, niczym niezmaconego szczęścia – również w biało-niebieskiej stylistyce. „Niebiański ślub, niebiański miesiąc miodowy, niebiańskie życie”, powtarzała Renata jak mantrę. Była naprawdę na nowej drodze życia.

Sezon grillowy świeżo poślubieni małżonkowie z rodziną i z zaprzyjaźnionymi satelitami rozpoczęli dopiero 21 czerwca.

Ogród przy domu Mirka w Legionowie nie był duży – był jednak w sam raz, by pomieścić wszystkich biesiadników. Usadzono ich na dwóch drewnianych ławkach ustawionych wzdłuż prostokątnego stołu, nakrytego obrusem w sielską kratę. Dodatkowo u jego szczytów dostawiono jeszcze po dwa plastikowe krzesła, młodzież zaś – w osobach synów Mirka, dzieci Renaty oraz Ernesta – chętnie przykucała na schodkach wiodących na taras. Na obszernym ruszcie skwierczały liczne frykasy: uczciwe plastry karkówki podlanej piwem dla soczystości, kilka kiełbasek i kaszanek, a także specjały wegetariańskie: szaszłyki warzywne, dzwonka ryby oraz kawałki tofu. Lekki wiatr co rusz przywiewał do stołu smakowite wonności, drażniąc nosy i podniebienia przybyłych. Nareszcie mistrz grillowej ceremonii (w tej roli: Mirek) przełożył pierwsze upieczone porcje na półmisek i postawił go na stole. Następnie wrócił do grilla, ułożył na nim kolejne plastry mięsa w marynacie, by po chwili znów się pojawić przy stole. Skontrolował talerze i szklanki. Każdy miał co jeść i co pić – uznał zatem, że nadeszła pora wystąpienia, które obmyślił sobie rano.

– Kochani! – Mirek zastukał łyżeczką w szklany kufel piwa, a wszyscy zwrócili się w jego stronę. – Przemówię, dobrze? – Uśmiechnął się trochę nerwowo i powiódł wzrokiem po siedzących na obu ławkach bliskich. – Oczywiście głównym powodem, dla którego spotykamy się dzisiaj tutaj, jest osiemnastka mojej drogiej pasierbicy Kariny. Znam tę dziewczynę od czterech lat i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że jest to najoryginalniejsza, najzabawniejsza, a prawdopodobnie też najinteligentniejsza i najbardziej twórcza nastolatka, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– Mirku, ty po prostu nie znasz żadnych innych nastolatków! – przerwała mu ze śmiechem Karina.
– Nie znam – przyznał zgodnie Mirek – ale doskonale sobie wyobrażam, że tak jest. Karina, o czym wszyscy wiecie, lecz przy tej ważnej okazji warto o tym wspomnieć, projektuje ubrania...

– ...i torby! – zawołała Donia i na dowód swych słów podniosła w górę piękną torbę z czerwonego filcu z czymś w rodzaju łowickiej wycinanki pośrodku.

– I torby – rzekł z podziwem Mirek. – Nie wiedziałem o tym... Sami widzicie, jaka ona jest zaskakująca! Ponadto gra na flecie i rozlicznych instrumentach perkusyjnych, których nazw nawet nie śmiem dociekać. Śpiewa. Recytuje. Krzewi w nas ciekawą wiedzę o słowiańskich obyczajach. A od roku jest także założycielką i liderką zespołu Matecznik.

– Wraz z Ernestem – uściśliła Karina i wtuliła się w ukochanego.

– Może i z Ernestem – zgodził się Mirek – lecz przyznasz sam, młody człowieku – zwrócił się do Ernesta – czym byłby zespół bez tak oryginalnej, ekspresyjnej wokalistki jak Karina?... Tylko jednym z wielu zespołów muzyki folkowej!

– Jesteśmy jednym z wielu zespołów – rzekł skromnie Ernest.

– Na razie! – zaznaczył Mirek, unosząc palec. – Bo dopiero zaczynacie. Wróżę wam jednak spektakularną karierę! Przynajmniej w pewnych kręgach – dodał, by jednak być precyzyjnym.

– O, przepraszam, ale od wróżenia to jestem tutaj ja! – zastrzegła Roma, a wszyscy się roześmieli.

– Wracając do przemowy. – Mirek na chwilę podniósł głos, by na powrót skupić na sobie uwagę.

– Dwudziesty pierwszy czerwca to także dzień urodzin mojej ukochanej żony. Obu tym wspianiałym kobietom życzę, żeby były zdrowe, spełnione i żeby dalej uszczęśliwiały nas swoim ciepłem, dobrocią i radością życia.

Z ławek dobiegły pierwsze oklaski, lecz Mirek powstrzymał je ruchem dłoni, dając znać, że jeszcze nie skończył.

– Jest to także impreza pożegnalna moich synów, Jacka i Jarka, którzy od lipca przenoszą się do Wielkiej Brytanii. Życzę wam, chłopaki... – Teraz z kolei poszukał wzrokiem Jacka i Jarka, z którymi wymienił porozumiewawcze uśmiechy. – Po pierwsze, fajnych wakacji, bo na nie zasłużyliście. Po drugie, abyście znaleźli tam to, czego szukacie: dobrą pracę, przyjaciół, przygodę. A gdyby się wam jednak nie spodobało – to wracajcie!

– Raczej nam się spodoba – rozwiął tę możliwość Jacek, a Jarek pokiwał głową.

– W zasadzie już nam się podoba, odkąd tam jeździmy – dodał.

– Tym bardziej się więc cieszę, że pod swe skrzydła przygarnęła mnie nowa rodzina – rzekł Mirek, tym razem zaglądając w oczy Radkowi. Ten jednak uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Mirek na ułamek sekundy posmutniał, lecz zaraz wziął się w garść.

– A skoro już dorwałem się do mówienia – jako że to pierwsze spotkanie w tym gronie od naszego ślubu, to uprzejmie donoszę, że wywołaliśmy zdjęcia! Może chcecie pooglądać?

– No ba! – zawołała Roma.

– Najpierw świadkowa! – zgłosiła się Donia.

Renata patrzyła, jak fotografie wędrują z rąk do rąk, jak goście sobie coś wskazują palcami, jak wybuchają salwy śmiechu.

– Z czego się śmiejecie? – Pochyliła się zaciekawiona.

– Ze mnie – wyjaśniła Karina, ale z akceptującym dystansem. Na zdjęciu Wins uchwycił moment, gdy w natchnionej pozie, z odchyłoną lekko do tyłu głową, Karina cicho wyśpiewywała pieśń swadziebną, którą wraz z Ernestem specjalnie zaaranżowali na wesele Renaty i Mirka. Karina wyglądała jak święta Łucja – w prostej płóciennej sukience z wyhaftowanym kwiatowym ornamentem oraz w wianku na głowie.

– O, a to twój przystojny mąż – powiedział Wins, stukając palcem w zdjęcie, na którym długie poły Mirkowego fraka wirują w tańcu. – Pamiętam te dylematy Mirka, czy wystąpić w garniturze ze zwykłą marynarką, czy może we fraku.

– Kurs tańca bardzo wam się przydał – orzekła z uznaniem Roma, prezentując z kolei inne zdjęcie, na którym Renata z Mirkiem wprawnie tańczyli cza-czę.

– Ta sukienka to strzał w dziesiątkę! – pochwaliła Karina, podnosząc odbitkę, na której rozkloszowaną sukienkę Renaty widać było w pełnej krasie.

Renata wspomniała swoje rozterki w tym względzie. „Czy panna młoda może mieć trzydzieści siedem lat?...” – pytała wówczas jeszcze narzeczonego. „Może ta «panna» nie bardzo pasuje. Ale do młodości nie mam żadnych zastrzeżeń” – odparł wówczas jej racjonalny, precyzyjny Mirek.

– A patrzcie tutaj! – zawołał Jarek. – To jest fajne!

Kolorowa mozaika fotografii pokryła kraciasty obrus.

Renata cieszyła się, że będą mieć taką fajną pamiątkę ze ślubu. Posegreguje zdjęcia i poukłada je w albumie, który w zeszłym roku mama podarowała jej na urodziny.

Przypatrywała się prostokątnym kartonikom, na których Wins uchwycił ulotne chwile. W fotografiach jest jakaś magia – człowiek zatrzymany w jednej sekundzie; w konkretnej pozie, z wyrazistą miną, zapatrzeniem. W ruchu lub zastygnięty. Sam albo w towarzystwie. Roześmiany, poważny, nostalgiczny, niepewny. Pozujący lub nieświadomy, że właśnie zostaje uwieczniony.

Na przykład Donia ze swoim mężem. Pewna siebie, przebojowa kobieta sukcesu. Na weselu dodatkowo odstrzelona w zjawiskową zieloną sukienkę – po prostu królowa nocy. Na zdjęciu stała obok Tomka, szczupłego, niepozornego analityka w szarym garniturze, z czułością w niego wpatrzona. Cały świat dokoła mógłby nie istnieć.

A tu Karina z Jarkiem, oparci o ścianę, zatopieni w rozmowie. Zupełnie jakby się znali od dawna, a na pewno – lubili.

O, mama. W jakimś szalonym tańcu: Wins przyklęknął na jedno kolano, podając Romie rękę, a ona, w ekstatycznych podskokach, wirowała dokoła niego. To było chyba podczas tej dyskotekowej aranżacji oberka.

Radek. Renacie nagle zrobiło się smutno. Jej młodsze dziecko siedziało na krześle, samo przy stole. Lekko zgarbiony, trochę znudzony, a trochę smutny patrzył na przeciwległy kraniec fotografii, gdzie Renata z Mirkiem tańczyli swój ostatni taniec. A przecież wydawało się jej, że wszystko wypadło świetnie i każdy dobrze się bawił...

Ona na pewno. Na tym zbliżeniu widać było Renatę wtuloną w ramię męża i ich dwie splecione dłonie ze złotymi krążkami na serdecznych palcach.

O, a to śmieszne – Renata i Mirek siedzieli na wyłożonych czerwonym aksamitem tronach. Miny mieli królewskie, a pozy wystudiowane. „MAŻ”, „ŻONA” – głosiły ozdobne napisy nad nimi. Pomysł Kariny i Ernesta.

– Ach, to świetnie pasuje do dzisiejszej wróżby! – przypomniała sobie Roma i sięgnęła do swojej filcowej torby, także produkcji Kariny.

Renata na ułamek sekundy zeszywniała. Z dziewiętnastu lat wróżb większość była jej nieprzychylna, dlatego zawsze w tym momencie urodzin przejmowało ją uczucie trwogi.

Tymczasem Roma z niezmaconą pogodą ducha wyjęła z torby płócienną ściereczkę z błękitnym nadrukiem i zaprezentowała ją wszystkim.

Dobra żona męża korona

– głosił napis.

– A mąż? Czemu nie ma nic o mężu? – zaprotestowała Renata.

– Dla męża jesteś niekwestionowaną królową – wyznał Mirek. – Sto lat, kochanie!

21 czerwca 2011 roku

Szaleństwo to metoda. Na życie.

– Mamo, musisz się skupiać nad tym, co robisz, czy możemy pogadać?

Renata uniosła głowę znad sprawianego właśnie ogromnego łososa. W tym roku urodziny ich obu miały być wystawne – tak sobie postanowiła. Przykład jej trzydziestoosmioletniego życia dobitnie wskazywał, że wszystko, co najlepsze – miłość, pomoc, oparcie, rozweselanie, troskę i rozrywki – konsekwentnie dostawała od bliskich. Uświadomienie sobie tego – równocześnie z rosnącą świadomością kruchości życia – nastrojały ją właśnie tak: pragnęła jak najczęściej się tymi wariatami otaczać, przygarniać ich, podejmować, gościć i karmić.

Trzeba przyznać, że szli w to jak w dym.

Przez wzgląd na Romę i Winsa prym w urodzinowym menu wiodły dania jarskie, koniecznie z jaglanką, najzdrowszą z kasz, oraz jarmużem, najzdrowszym z warzyw. By však nie zawieść podniebień Mirka, Kariny, Radka i Ernesta, Renata szykowała też solidną porcję pieczeni i kaczkę w żurawinie, koniecznie w otoczeniu pocziwych, tradycyjnych opiekanych kartofelków oraz z fasolką z bułeczką i masłem. Część deserową, założoną z podobnym rozmachem, wzięła na siebie Karina. Torty miały być dwa: chałwowy i bezowy. Do tego ciasteczka daktylowe bez glutenu i cukru dla ortodoksów i domowej roboty sorbet z malin dla brata – niech ma.

Wywindowane ambicje sprawiły, że od samego śniadania solenizantki tkwiły razem w kuchni, pichcąc, siekając, miksując i skrupulatnie przestrzegając grafiku z kolejnością zajmowania piekarnika. By nie przeszkadzać im w tym radosnym szale tworzenia, Mirek wziął Radka na basen. Radek, o dziwo, nawet nie protestował.

– Jasne. – Renata uśmiechnęła się ciut obłudnie. – A podrapiesz mnie w czoło? – Wyjaśniająco wskazała wzrokiem swoje ręce w gumowych rękawiczkach, ubabrane oliwą, cytryną, kolendrą i Bóg wie, czym tam jeszcze. – O, albo jeszcze lepiej: przynieś, proszę, z łazienki jakąś spinkę i podepnij mi ten kosmyk, bo zaraz zwariuję. Mizia mnie i mizia!

Karina wyszczerzyła zęby i poszła do łazienki. Po chwili wróciła, dzierżąc w dłoniach nie spinkę, ale średniej wielkości żółty wałek.

– Wałek lepszy – objaśniła. – Ciebie ten kosmyk mizia, bo się odwinął w głupią stronę. Trzeba go z powrotem uformować w grzywkę.

– Ee, czy to warto?... – wyraziła wątpliwość Renata. – Przecież będę jeszcze myła włosy, to potem sobie zakręcę.

Karina posłała matce niedowierzające spojrzenie.

– Na którą ich zaprosiłaś?

– Obiadowo. Na trzecią.

– To nie zdążysz umyć i zakręcić – orzekła. – Mamy dwunastą i jesteśmy w polu z robotą.

Renata westchnęła i posłusznie wystawiła czoło do zainstalowania wałka.

– Czyń swoją powinność – rzekła teatralnie. – I mów, o czym chciałaś pogadać.

– Bo widzisz... Dostałam się na tę etnografię w Krakowie. I na pewno przyznają mi akademik. Ale wolelibyśmy z Ernestem zamieszkać razem.

– O. No tak.

Cholerna ryba, sama z siebie śliska, w oliwie była nie do opanowania. Pewnie dlatego Renata boleśnie drasnęła się nożem.

Karina kończyła dziewiętnaście lat, od trzech była z Ernestem. Dążenie do samodzielności to naturalna kolej rzeczy. Więc dlaczego Renacie było tak łyso?...

– Przez całe lato mamy koncerty na Mazurach, Warmii, w Bieszczadach i na Słowacji. Widzisz?

Wkraczamy na scenę międzynarodową! – zażartowała Karina. – Akurat trochę sobie zarobimy, odłożymy, będzie na start.

Renata pokiwała głową w zamyśleniu. Matecznik grał dziwną odmianę folkloru – poważną, wręcz ponurą, niszową, dość trudną w odbiorze. Oczywiście Renata była gotowa pomagać córce i finansowo, i organizacyjnie. Wiedziała jednak, że ambicja nie pozwoli Karinie za dużo brać ani przyznawać się do niedostatków.

Jako matka była z tego jednocześnie dumna i zasmucona.

Zzula rękawice i machinalnie powąchała dłonie. Rzecz jasna przeszły rybą, a jakże.

Mazury, ech... Kiedy ostatnio była na Mazurach?

– Zawiesiłaś się – usłyszała głos Kariny. – To jest dramat?

– Nie, nie! – Pokręciła głową Renata, trochę nadgorliwie. – Czasy mamy takie dziwne, że wręcz imponujące jest to, że chcecie zasmakować życia na własny rachunek, zwyczajnie i po dorostemu.

– Tylko że zapachniało gniazdem i odlotem? – domyśliła się Karina.

– Jakim gniazdem? Kormoranów? – spytała Renata, myślami wciąż błędząc po Mazurach.

– Jakich kormoranów? – zdumiała się Karina. – Mamuś, ty weź sobie usiądź, możesz to, co tam robisz, przecież robić na siedząco. Może zaparzyć ci kawę?

– Czekaj, czekaj... – Renata nieuważnie klapnęła na podsunięte jej krzesło. W głowie świtała jej niedoprecyzowana jeszcze myśl. – Słuchaj, Karin... Czy to nie jest tak, że im więcej ludzi przychodzi na koncerty, tym więcej ściągają za sobą kolejnych? I w efekcie macie więcej sprzedanych biletów?

– Jasne, że tak. Owczy pęd. A co to ma do...

– A gdybyście tak mieli ze sobą bandę entuzjastycznych klakierów, którzy od samego rana rozpuszczają po miasteczku wici, że dziś gra ekstrazespół, rozwieszają plakaty, a wieczorem żywiłowo was oklaskują i robią cały ten pozytywny jazgot?...

Karina uważnie przyjrzała się rodzicielce.

– Kto miałby wchodzić w skład bandy?

– My wszyscy. Ja, Radek, babcia, Wincent. Mam czterdzieści osiem dni urlopu, wyobrażasz sobie?!... Dońka byłaby wniebowzięta, gdybym się go wreszcie pozbyła; zresztą sama na pewno chętnie dojechałaby na parę dni. Babcia na emeryturze, Wincent może masować wszędzie... Może też sobie zrobić wolne i poszukać pośród jezior harmonii, stać go. A naszymu drogiemu mieszcuchowi Radkowi dobrze zrobią przygoda i kontakt z naturą.

Karina zagryzła wargi.

– Nie wiem, co powiedzieć, mamu. To brzmi... fantastycznie, ale w znaczeniu nierealnie. Wszyscy razem wzięci byliście na naszych koncertach może z dziesięć razy... No, babcia więcej, bo bardzo się angażowała, gdy zaczynaliśmy. No i Mirek, przez grzeczność. Nagle teraz mielibyście jeździć za zespołem...

– Czasami przed. Trzeba przecież zawczasu porozlepić te plakaty.

– Skąd wykrzeszecie ten entuzjazm? Nawet nie wiecie, co teraz gramy.

– A co teraz gracie?

– Nasze najlepsze kawałki ludowe. Zawrotny zestaw pieśni śpiewem białym.

– Bomba! – rzuciła entuzjastycznie Renata.

Zaraz jednak zawstydydziła się okłamywania córki.

– To znaczy – poprawiła się – bomba może dla koneserów. Czyli dla bardzo nielicznych. Z których ułamek akurat może trafić na wasze koncerty. Słuchaj, Karin, a... czy bardzo poniżej waszej godności byłoby zagranie ludziom tego, co lubią? Na Mazurach – szanty, w górach – może jakieś tęskne traperskie kawałki? Albo coś na podhalańską nutę?

Karina chwilę patrzyła na matkę z nieodgadnioną miną.

– Podhalańska nuta? W Bieszczadach? – spytała w końcu sceptycznie.

– A czemu nie? – odpowiedziała pytaniem Renata. – Zresztą może i nie; nie wiem, mówię na gorąco, co myślę... Dobra, zacznijmy od tego, co pierwsze. Trasę zaczynacie od?

– Mazur.

– No. To szanty. Wy byście przygotowali parę żeglarskich szlagierów, a my wam nagonimy publikę. Stoi?

– Szanty są okej – powiedziała ostrożnie Karina. – Ale nie wiem, co zespół na to... I Ernest.

– Ty jesteś liderką zespołu – zauważyła Renata. – A co do Ernesta... Wiesz, my, kobiety, zawsze mamy swoje sposoby, by faceta do czegoś przekonać. Powiedz mu, że tak w nim podziwiasz to, że lubi próbować nowych brzmień, że świetnie sobie radzi w muzycznych wyzwaniach – będzie mu głupio nie spróbować!

Karina musiała to sobie wyobrazić, bo mimowolnie rozjarzyła się w uśmiechu.

Zaraz jednak znów się zafrasowała.

– A cała logistyka? Gdzie będziecie spać? Co jeść? Czym jeździć?

– Jak to czym? – Renata uniosła się honorem. – Moim wspaniałym, przestronnym pięcioosobowym samochodem! Spać – pod namiotem, jeść – to, co wy. Wy będziecie próbować, my się kąpać w jeziorach. Albo pójdziemy coś zwiedzać. Wszędzie zostawiając stosowne ulotki...

– Znudzi wam się po tygodniu.

– A figa. Pomysł coraz bardziej mi się podoba. A jak znam Mirka, babcię i Winsa...

– Radek umrze z nudów.

– Albo sprawdzi się w roli fajnego, zaradnego chłopaka.

Karina chwilę milczała, układając na pierwszym torcie przemyślny wzór z migdałów.

– Ty, mamo, jesteś elegancka babka, a my gramy po różnych zapadłych dziurach, norach, w plenerach bez zaplecza sanitarnego. Czasem nie będzie się gdzie umyć albo trzeba będzie się zakradać do najbliższego kempingu... Sikanie też tylko po krzakach, jedzenie z puszki...

Renata patrzyła na nią z czułością. Jak ona kochała tę swoją pierwotną mieszankę słowiańskiej duszy i niemieckiego porządku... Szaleństwa Romy, artyzmu Eugeniusza, własnego poukładania, rzetelności Gerarda...

– Dziecko, ja jestem z twardego pokolenia – powiedziała uspokajająco i stanowczo zarazem. – Lata siedemdziesiąte to dobre roczniki. Umieją się przystosować i jak trzeba, to zmienić coś w sobie. A ja... nawet nie wiesz, jaką mam ochotę na taką wyprawę. Z wami wszystkimi, bo was okropnie kocham. A szczególnie z tobą, bo...

Coś zadrapało ją w gardle. Pewnie te wszystkie przyprawy.

– ...bo mam poczucie, że nie zawsze byłam dostatecznie zainteresowana tobą, twoim życiem, twoimi pasjami... – dokończyła dzielnie. – Ale teraz jestem. Naprawdę i szczerze. Lecz, o ironio, ty właśnie stajesz na krawędzi gniazda... Już rozumiem, o co chodziło. – Łypnęła na córkę zażawionym okiem. – Więc przynajmniej chciałabym się tak tobą nacieszyć, ponapawać się tobą w twoim żywiole, przez dwa miesiące pożyć twoim życiem, żeby potem było mi łatwiej... No a przy okazji naprawdę wierzę, że nasz zapał może wam napędzić publikę. Mam pomysł, jak i gdzie wam wydrukować fajne plakaty i ulotki. To jak: pozwolisz mi na to?

– To jest... Dość szalone. Jednak może być fantastyczne. W tym drugim znaczeniu – odparła Karina i uśmiechnęła się szeroko.

Wszystko wyszło perfekcyjnie. Łosoś, pieczeń i kaczka roztaczały takie aromaty, jakby uczestniczyły w konkursie na najlepsze drugie danie. Tort chałwowy wyglądał obłędnie. Beza pod słodką, chrupką skórką kryła idealnie półpłynny mus cytrynowy. Tylko gospodynie, zgodnie z przewidywaniami Kariny, czekały na gości nieco zmęczone, zmierzwiłone, w niedopracowanych strojach.

Pierwsza, nieco przed czasem, dotarła Roma, choć na dłuższą chwilę utknęła w przedpokoju, biedząc się z przyciętym suwakiem torebki rąbkiem wielobarwnej chusty, w którą była spowita.

– Solo? – zdziwiła się Renata.

– Chwilowo. – Roma łypnęła znad torebki. – Chodź mi tu przytrzymaj. Wins dotrze później. Ma fuchę specjalną, coś w rodzaju gregorianki, w swoim fachu oczywiście. Dziany biznesmen z Wilanowa,

po wypadku. Zamówił go sobie... Psiakrew, no popatrz, jakie zawzięte, nie chce puścić... Dziurę mi zrobi w jedwabiu jak nic! – zaklęła.

– To jedwab? – zainteresowała się Karina, przyglądając się scenie z kubelkowego fotela, który od wejścia miał nadawać – i zresztą nadawał – ich przedpokojowi przytulności.

Roma lekceważąco machnęła ręką, puszczając zarazem torebkę. Gdyby nie przytomność Renaty, torbiszon łupnąłby o ziemię, podarłszy po drodze chustę.

Roma spojrzała na córkę z wdzięcznością.

– Eee tam, tak tylko mówię, dla samej przyjemności słowa. „Omotalam się jedwabnym szalem” – mówisz i już się czujesz jak Grace Kelly! Tak słowa rzutują na rzeczywistość! Dziękuję ci, kochanie – zwróciła się do Renaty.

– A co to jest, tak naprawdę? – chciała wiedzieć Karina.

– A, batik jakiś. Ze sklepu indyjskiego. – Roma, choć udawała, że nie, odkąd tylko w krajobrazie Polski pojawiły się sklepy indyjskie, darzyła je wierną, nieprzejednaną miłością.

– Moim zdaniem „batik” też brzmi ekstra. – Karina, było nie było tekściarz i śpiewaczka, z zapalem stanęła w obronie słowa. – Od razu sobie wyobrażasz Hinduski, jak pracowicie malują te wzory, farbują naturalnymi barwnikami, potem płuczą tkaniny w Gangesie... Jedwab, babciu, wytwór jakichś robali, nie umywa się nawet do batiku!

– Jak pragnę zdrowia, o czym wy mówicie?! – zirytowała się nagle Renata. Może jednak była bardziej zmęczona, niż jej się wydawało.

– No przecież słyszysz, żabciu? – Roma uniosła oczy znad suwaka i posłała córce najniewinniejsze ze swych spojrzeń. – O, puściło! – ucieszyła się i jęła oglądać materiał pod kątem ewentualnych strat.

– Słyszę i nie wierzę! – poskarżyła się Renata. – Czy wy nie możecie choć raz pilnować wątku i nie zbaczać na dygresje? I dygresje od dygresji?... Za chwilę wyskoczą z burdelami w Bombaju i tym, co jeszcze pływa w Gangesie! Chyba że pójdziecie w jedwabniki. Od samego podążania za waszymi wybujałymi wątkami można sobie powyrywać włosy z głowy! Gdzie higiena dyskusji, sztuka rozmowy?... To nie na moje humanistyczne nerwy!...

– Ty sobie nic, duszko, nie wrywaj! – Roma cmoknęła córkę w policzek i delikatnie wyplątała z Renacinej grzywki zapomniany żółty wałek. – *Á propos* włosów, to coś ci tu zostało...

Renata powiodła podejrzliwym wzrokiem po matce i córce, jakby durny papilot stanowił część jakiejś ich zmowy przeciw niej. Karina zachichotała.

– Sorry, mamus! Od rana tak się zżyłam z widokiem ciebie z tym wałkiem, że zapomniałam ci powiedzieć, że go ciągle masz!

– No więc biznesmen z bólem pleców zamówił sobie Winsa na miesiąc, dzień w dzień, o piętnastej właśnie – wyjaśniała skrupulatnie Roma. – Płaci tak, że nie sposób odmówić. *Notabene*, sprytnie z tą piętnastą, w godzinie miłosierdzia zabiegi mogą być bardziej skuteczne... – Roma napotkała straszny wzrok Renaty i wyraźnie się spięła, by z powrotem złapać puszczonego wątek. – Naprawdę nie wiem, co zrobimy z taką furą forsy! A, no trochę wiem, bo już zaczęłam wydawać. *Á propos*... – powtórzyła, zawiesiła głos i rozejrzała się czujnie wokół siebie. – A, tu jest – uspokoiła się na widok dużej, dość wypchanej reklamówki z jakimiś tekturowymi pudłami. – Więc, moje kochane baby, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin od mamy i babci oraz jej lowelasa... – Uśmiechnęła się czule, potem zrobiła do nich głupią minę, w końcu sięgnęła do reklamówki. – Dla Karinki... bo coś mi się zdaje, że wkrótce pójdzie nową drogą życia... czajnik i kafetiera. Tylko szukajcie kawalerki z kuchenką gazową, bo na tych indukcyjnych cudeńkach to one chyba nie pociągną... – poinstruowała.

Karina zerwała się z fotela i uścisnęły się płomiennie, aż drobna Roma na chwilę cała zniknęła w objęciach rosnącej wnuczki.

– A! Jeszcze batikowy obrus – przypomniała sobie Roma, zerknąwszy do foliówki. – Pamiętaj, dom musi mieć stół, a stół obrus – dodała tonem babcinej rady.

– Amen! – przytaknęła zgodnie Karina i odsunęła się, by zrobić miejsce Renacie.

– A dla ciebie, Renée... – Roma znów zaszeleściła foliówką – Nie zgadniesz. Też batikowy

obrus, z tym że na okrągły stół i w bardziej szalone wzory. Bo tak mi się widzi, że w twoim ułożonym życiu kapkę brakuje szaleństwa... – Przez folię przebijały fioletowe, żółte i pomarańczowe mazy, jak ze snu wariata. – No i ciasteczkowa wróżba, do kompletu, bardzo proszę.

Szaleństwo to metoda. Na życie.

Roma tymczasem podała córce trzeci pakiecik i ucałowała solennie oba Renacine policzki, a także czoło, brodę i nos. – A teraz chodź, zanim dotrze reszta, usiądziemy sobie na chwilę, bo wyraźnie musisz odpocząć! Karyś, zrobisz mamie herbatę?

– Kochani! – zaczęła Renata i poczekała chwilę, by wszyscy się uciszyli. – W tym roku my z Kariną też mamy dla was prezent. – Wymieniły z córką szelmowskie spojrzenia. – Czy wiecie, co się zacznie pierwszego lipca tego roku?

– Polska obejmie prezydenturę w Unii Europejskiej – zgłosił bez wahania Radek.

– Ktoś tu jest świetnym uczniem! – Renata z uznaniem pokiwała głową w stronę syna. – Ale tym razem chodziło mi o bardziej prywatne, nasze rodzinne wydarzenie. Otóż pierwszego lipca ruszamy w ekscytującą, pełną przygód trasę koncertową z zespołem Matecznik. Wracamy trzydziestego pierwszego sierpnia. Wy, wszyscy tu obecni, jesteście zaproszeni.

– Ooo! – zawołał Mirek, a nad wielkim okrągłym stołem rozległ się szmer uznania. Uwielbiała ich za tę gotowość do zgryw. Długo – zbyt długo – uważała, że to wada. Na szczęście najwyraźniej z wiekiem zmądrzała.

– Kto musi, niech migiem przekłada pacjentów albo szuka dublerów do swoich filmów. – Puściła oko do mamy i Winsa. – Kto inny niech sobie funduje szybki odwyk od komputera i internetu. – Zmierzwiała włosy siedzącemu obok niej Radkowi. – Co do mnie, dzięki łaskawości drogiej szefowej... – Posłała Doni serdeczny uśmiech. – Właśnie zaklepałam sobie czterdzieści dni urlopu i czuję się... No, po prostu czuję się jak żaglowiec na pełnym morzu!!!

Ernest wydał przeciągły gwizd na dwóch palcach, po czym głośno zaklaskał swymi wielkimi dłońmi bębniarza. Był to bardzo zaraźliwy entuzjazm, bo już po chwili wszyscy bili brawo.

– Dwa miesiące z wami?... – Radek wydawał się najbardziej oszołomiony.

Renata spojrzała nań z ciepłem i troską.

– To... bardzo źle? – spytała ostrożnie.

Radek zrobił stropioną minę.

– Nie mam pojęcia. Albo będzie super, albo koszmarnie. Albo z wami oszaleję, albo nie. Się zobaczy – zakończył filozoficznie, a Renata mocno go uścisnęła.

21 czerwca 2012 roku

Todos tiene su sitio y su tiempo.

Ludzka pamięć jest zawodna. Z wiekiem zacierają się twarze, mylą fakty, blakną wspomnienia. To, co minęło, mieści się w coraz mniejszym worku wspomnień. Tej regule wymykają się smaki i zapachy. Aromat, nuta, odczucie na koniuszku języka – to zostaje najdłużej, prowadząc po nitce woni do kłębka zdarzenia.

Renata przymknęła oczy. Znów poczuła ten czekoladowy, niezwykle smak. Aksamitno-jedwabna słodycz aromatycznej gorzkiej czekolady była przełamana wytrawną słodyczą wiśni w likierze, których puszysty miąższ otaczała sprężysta skórka. Czekoladowy mus pokrywał kolejne płaty biszkoptu, który – jak to możliwe? – był zarazem lekki, jakby wypełniony drobinami powietrza, i wilgotny, zwarty. W tej jednej chwili, w tym krótkim momencie, gdy kawałek tortu dotknął jej języka, wróciły wspomnienia sprzed dwudziestu jeden lat, gdy w Rast-cafe Görlitz siedziała z Gerardem przy stoliku na ich pierwszej randce. „Aksamitne nadzienie otuli cię przyjemnością”, przypomniawszy jej reklamę jakichś pralinek. Tak się wtedy czuła. Po raz pierwszy tak luksusowo. Tak dorośle. Tak inaczej. W eleganckich wnętrzach pięknej kamienicy na Dolnym Rynku dała się ponieść magicznej chwili; był ciepły letni wieczór, latarnie rozświetlały rozsiadający się nad rynkiem zmrok. W kawiarni pachniało obłądnie – ziarnami świeżo mielonej kawy, od której zapachu kręciło się jej w głowie, wodami toaletowymi siedzących przy stolikach gości, słodko-wytrawną czekoladą ciast i deserów w szklanych ladach. To był zapach elegancji, niedoświadczanego wcześniej świata. Wtedy stała na progu nowego życia. Pamięta tę ekscytację przemieszaną z odrobiną lęku i niepewności. Wszystko miało się zmienić. Ciepło dłoni Gerarada, którą przykryła swoją ręką, było jak gwarancja dobrego losu. Wręcz namacalnie czuła teraz miękkość skóry, jego oddech przy jej policzku, zupełnie jak wtedy...

– Reniu, wszystko w porządku? – Mirek ostrożnie zsunął dłoń Renaty ze swojej ręki i podniósł ją do ust, składając na niej delikatny pocałunek. – Dobrze się czujesz? Może za bardzo się dziś sforsowałaś? Jest tak gorąco, a my od rana na nogach. Przeszliśmy chyba ze dwadzieścia kilometrów. A podobno kobiety po czterdziestce nie mają już takiej kondycji...

– Ja ci dam po czterdziestce! – Renata gwałtownie otrzeźwiała. – Do czterdziestki to ja mam jeszcze cały rok. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni! A ty mi od razu wyjeżdżasz ze starością. Faceci to chyba rzeczywiście wolą młodsze! – Lekko się uniosła na krześle, dając Mirkowi delikatnego kuksańca w ramię.

– Nie, ja wolę starsze. – Mirek łobuzersko mrugnął okiem.

– Ożeż ty! Poczekaj tylko, aż opuścimy to supereleganckie miejsce!

– Sama widzisz, jak trudno ci dogodzić. Młoda – źle, stara – źle. Wszystko nie tak. No dobra, to podejmę jeszcze jedną próbę. Może będzie udana.

Mirek sięgnął po plecak leżący na krześle obok.

– Zamknij oczy.

– Tu?

– No tu.

– Będę głupio wyglądać... – zawahała się Renata, choć z nieukrywaną ciekawością spoglądała w kierunku czerwonego pudełka, które Mirek już trzymał na kolanach.

– Nie będziesz. Przed chwilą siedziałaś taka rozmarzona, z przymkniętymi powiekami. Wyglądałaś pięknie. Wszyscy tak myśleliśmy...

– Wszyscy?...

– No ja i pozostali goście przy stolikach...

– No nie, teraz to już przegiąłeś! Kiedy wrócimy do domu, to...

– Czekam, Reniu. Z niecierpliwością. – Tym razem w głosie Mirka pobrzmiwała nowa nuta, która wywołała w Renacie przyjemny dreszcz. – A teraz zamykaj oczy.

Renata posłusznie zacisnęła powieki. Czuła się fantastycznie. Do lekkiego podniecenia na myśl o czekającym ich wieczorze dołączyła dziecięca euforia oczekiwania na niespodziankę. Co ten Mirek dla niej wymyślił?

Poczuła, jak mąż przeszedł obok niej i stanął za oparciem krzesła. Po chwili jej skóry na szyi dotknął lekko chłodny metal. Usłyszała kliknięcie zatrasku.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. – Mirek pochylił się i musnął policzkiem jej policzek, a potem delikatnie odwrócił jej brodę w swoją stronę i namiętnie pocałował ją w usta. – Mamy już wszystko, więc ten prezent to taka wisienka na naszym torcie. Podoba ci się?

Renata wreszcie otworzyła oczy. Spojrzała na swój dekolt. Między piersiami, na złotym łańcuszku, zawieszona była wisienka. Właściwie dwie wiśnie połączone zielonym listkiem. Wisiorek miał obłędnie błyszczące kolory o niesamowitym stopniu nasycenia. Szlify na kamieniach sprawiały, że gdy tylko lekko się poruszyła, inaczej odbijały światło.

– Podoba ci się? – zapytał Mirek z niepokojem.

– No pewnie! Jest przepiękny!

– Tak sobie pomyślałem... te dwie wiśnie to my.

– Och, Miruś. – Renacie zaszklily się oczy. Nie dość, że prezent wyglądał na kosztowny, to jeszcze był wybierany z intencją takiego symbolu. Romantycznego ma męża. – A te kamienie jakie piękne! Chyba szlachetne?

– Najszlachetniejsze. Wisienki są zrobione z rubinu. Ten kamień oddziałuje na energię w związku intymnym... – Mirek znacząco zawiesił głos – ...a szmaragdy doskonale wpływają na wnętrze człowieka.

– Wiesz co? – Renata nachyliła się do niego przez stół. – Skończmy te desery. W domu mam dla ciebie jeszcze jedną wyjątkową wisienkę urodzinową.

Wyjazd do Görlitz to było istne wariactwo. Zresztą ostatni rok upłynął Renacie pod hasłem wydarzeń, które nazywała na swój użytek trzy razy N: nieoczekiwane, nieoczywiste i niestandardowe – zupełnie jakby dopiero teraz nadrabiała lata spokojnego życia. Właściwie to zaczęło się od Romy. Matka, zawsze z silnym rysem pozytywnie zakręconej wariatki, wspięła się na wyższy stopień życiowego szaleństwa. Pod koniec ubiegłego roku, po burym październiku, szarym i mokrym listopadzie i połowie nędznego grudnia Roma odwiedziła córkę, by podczas niezobowiązującej rozmowy przy herbacie, między kanapką a szarlotką, powiedzieć:

– A, bo zapomniałabym. Wyjeżdżamy z Winsem.

– Fajnie wam. A dokąd tym razem? – Renata myślami wciąż była przy świątecznej liście prezentów.

– Do Hiszpanii. Do Kadyksu. Ja oczywiście nie byłam, ale Wins tak, dwa razy, i jest zachwycony. To najstarsze miasto w zachodniej Europie, bajkowo położone, z długimi plażami i piękną starówką. Założyli je Fenicjanie. Ci sami, co wynaleźli pieniądz, czyli łebscy ludzie.

– Fantastycznie. Taka miła odmiana. – Renata nadal się zastanawiała nad upominkiem dla Radka. Jedenastolatek to prezentowe wyzwanie. Już nie dziecko, jeszcze nie dorosły. Zupełnie się nie orientowała, co mogłoby go ucieszyć. Rodzice powinni dostawać dyspensę od kupowania nastolatkom prezentów. Ostatnie klocki Lego w wieku ośmiu lat, a potem od dwudziestki książki, koszule, kremy, kasa. I nie trzeba by się było głowić.

– Prawda? Trochę się biliśmy z myślami, bo to jednak zupełnie inne warunki. No i kasa, więc pytanie, czy wszystko się zepnie, ale Wins mówi, że raz się żyje, i ja w zasadzie podzielam ten pogląd, więc się pakujemy i jedziemy. W styczniu.

– Bardzo fajnie. Wygrzejcie się, słońca zażyjecie.

– O, to, to. Wtedy pogoda niezbyt upalna, około piętnastu stopni, ale potem się rozkręci.

– No pewnie. – Renata wciąż błądziła myślami wokół choinki.

– W lecie jest tam około czterdziestu stopni. W cieniu. No ale my z Winsem to oboje jesteście jak jaszczurki – lubimy się powygrzewać. I opalamy się ładnie, karmelowo. Szkoda, córuś, że ty po tacie taki bladziak białas.

– Szkoda... Poczekał, ale dlaczego w lecie, skoro leciecie w styczniu? To na ile się tam wybieracie? – Renata nagle oprzytomniała.

– Jedziemy autem. Na długo. – Roma posłała jej promienny uśmiech.

– Jak na długo? To znaczy na ile? – Renata niby rozumiała, ale nie do końca. Jasne, samochodem to zabierze więcej czasu, ale nawet gruchot Winsa nie będzie się telepał do Polski cztery miesiące.

– Normalnie – przeprowadzamy się do Hiszpanii. Na zawsze.

– Że co?!

– Do Hiszpanii. Kadyksu. W końcu jesteście Europejczykami. Granice otwarte. Świat stoi otworem i nas woła.

– Mamo, ale skąd ten pomysł? Nic nie mówiłaś. I czy to nie jest zbyt pochopna decyzja? – Renata wydawała się wstrząśnięta.

– Pochopna? Wiesz, ja mam ponad sześćdziesiąt lat, Wins zaraz skończy pięćdziesiąt. My nie mamy czasu na dzielenie włosów na czworo, stawianie plusów i minusów, dywagacje i zastanawianie się. Czas gna, a my nie chcemy zostać z tyłu jak frajerzy. Zresztą nad czym tu się głowić? Ja niedługo dostanę emeryturę, fakt, kokosy to nie są, ale Wins może wszędzie robić masaże i prowadzić zajęcia z jogi. Z seksu tantrycznego też. Południowi starszycy są bardziej nastawieni na czerpanie z życia, o chętnych będzie łatwiej. Ja też się dopasuję, jak zawsze. W końcu jestem kobietą pracującą i żadnej pracy się nie boję.

– No, ale, ale... wy nie znacie hiszpańskiego! – Renata złapała się tej myśli jak koła ratunkowego, choć właściwie nie rozumiała, dlaczego miałyby tonąć.

– Ale się uczymy! *La vida es bella!*

– Matko, to się dzieje naprawdę.

– No a jak ma się dziać? Liczy się tylko to, co jest naprawdę. Mrzonki i niezrealizowane marzenia to nie życie.

Z tym ostatnim Renata się zgodziła bez zastrzeżeń. Przecież sama od kilku lat intensywnie przerabiała tę życiową lekcję. Wystarczyło ten jeden raz się przełamać, odważyć – pokazać Norbertowi drzwi, a gdy tylko je zamknął z drugiej strony, zacząć powoli odzyskiwać władzę nad swoim życiem. A właściwie nie odzyskiwać, bo nie było czego, tylko po raz pierwszy wziąć ster życia w swoje dłonie i powiedzieć: „Ahoj, przygodo”. Początkowo Renata żeglowała dość ostrożnie, bo się obawiała mielizn, nie-pomyślnych wiatrów, zerwanych masztów i innych nieprzyjemnych przygód, które się jej kojarzyły z żeg-larstwem. „Żeby nie było rafy”, tłumaczyła Romie. „Znaczy ryfy”, zgadzała się matka i delikatnie popychała córkę naprzód – także własnym przykładem szczęśliwej i spełnionej sześćdziesięcioletki na nowej drodze życia.

Po ślubie z Mirkiem Renata poczuła się tak, jakby skończyła układać puzzle, dokładając ostatni, najważniejszy kawałek. Obrazek był kompletny. No, trochę jeszcze trzeba było popracować nad tym, żeby wszyscy razem (to znaczy właściwie Radek, bo to z nim był problem) dobrze się czuli, ale dwa lata po ślubie mogła radośnie przyznać, że są szczęśliwą rodziną.

Ubiegłoroczne wakacje, czyli całe dwa miesiące w trasie z zespołem Kariny, wszystkim się bardzo spodobały. Mirek dołączył do nich na dwa tygodnie, ale – chyba szczerze – żałował, że praca nie pozwala mu na dłuższy wspólny pobyt. Po powrocie padła zgodna, entuzjastyczna deklaracja, by grupowe wakacje powtórzyć. No ale jak to w życiu – euforia ustąpiła miejsca prozie życia, sprawom dnia codziennego i plany odłożono. Potem się okazało, że Roma z Winsem opuszczają ojczyznę dla pięknej Andaluzji, więc się wykruszą z urlopowej eskapady. Renata pomyślała, że wakacje A.D. 2012 spędzi tradycyjnie – z mężem albo z mężem i Radkiem. Aż tu pewnego dnia w kwietniu odebrała e-mail od Kariny:

Cześć, Mamus! Czy masz jakieś plany wakacyjne?

Jedziemy z Matecznikiem na festiwal ludowy do Pragi, ale to dopiero w sierpniu. Lipiec

spędzamy u babci Ernesta w Krynicy Morskiej, więc do obsadzenia zostaje druga połowa czerwca. Skoro to nasze podwójne urodziny, to może zorganizujemy jakiś wspólny wypad?

Całuję

Kari

PS No dobra, już nam zorganizowałam ten wyjazd. Do Görlitz. Do Heike i Clausa. Nie chciałam Cię denerwować, więc nic nie mówiłam. Uczynny FB mi pomógł. Odnalazłam swoje rodzeństwo. Zapraszają nas wszystkich od 17 do 24 czerwca. Zgódź się, bo ja i tak pojedę.

Renata dochodziła do siebie przez kilka dni. Zamknęła niemiecki rozdział swojego życia dwadzieścia lat temu, bo on się przecież skończył wraz ze śmiercią Gerarda. Dla niej się skończył, ale Karina ma prawo do kontaktów z bratem i siostrą – jakkolwiek patrzeć, ma tego samego ojca co Heike i Claus. Nigdy o tym nie rozmawiały. Najpierw córka była za mała, potem była euforia związana z Norbertem, następnie terapia po Norbercie, jeszcze później Mirek. Tyle tylko, że te wszystkie rozszady dotyczyły Renaty, nie Kariny. Karina wciąż nie miała ojca i nadal nie знаła przyrodniego rodzeństwa z Görlitz.

W czasach internetowej globalizacji odnalezienie człowieka nie nastrecza wielu problemów. Zwłaszcza że Karina podeszła do sprawy wprost i szczerze, bez czajenia się i podchodów. Wyszukała Clausa Sztompke na Facebooku i wprost go zapytała, czy mogą być spokrewnieni. Byli. Okazało się, że brat wciąż mieszka w Görlitz, w mieszkaniu po Gerardzie. Skończył farmację i ma własną aptekę. Nie założył rodziny. Heike podczas stypendium w Argentynie poznała zabójczo przystojnego Javiera, nauczyciela ze szkoły tanga, z którym zamieszkała najpierw w Stanach, a potem w Berlinie, gdzie z powodzeniem wspólnie uczą tańczyć w taktach 2/4 i 4/4. Zbliżeniu pewnie pomogła żarliwa deklaracja Kariny, że za jej nagłym odnalezieniem nie kryje się chęć wyszarpywania majątku. I tak po kilku tygodniach korespondencji Claus ustalił z Kariną termin pobytu, zapraszając całą rodzinę, oczywiście z Radkiem i Mirkiem. Radek co prawda trochę marudził, że wolałby na Euro, ale widać było, że nawet on jest podekscytowany tą podróżą do przeszłości.

Na miejscu okazało się, że obawy Renaty były na wyrost. Pierwsze spotkanie dostarczyło jej niezwykłych wzruszeń. Claus czekał na nich na dworcu. Kiedy Renata wysiadła z pociągu, miała wrażenie, że czas się cofnął. Na peronie stał Gerard. Płowowłósy, niebieskooki, z tym samym spojrzeniem, uśmiechem, z tą samą gestykulacją. Renata się rozplakała – z napięcia, ze wspomnień, smutku i z radości. Wieczorem, gdy jedli kolację – w tym samym salonie, w którym Gerard przygotował dla niej pstrąga w płatkach migdałów – przyglądała się Karinie i nagle dojrzała w niej Gerardowe i Clausowe cechy: miała ten sam kształt brwi i podobnie wykrojone usta. Tak samo przeczesywała ręką włosy. Krew z krwi.

Claus wziął wolne na czas ich przyjazdu. Oprawdzał po starówce, zabierał za miasto, a wieczorami pokazywał rodzinne albumy. Na urodziny Kariny przygotował niespodziankę – ją wraz z Radkiem zabierał do Berlina, gdzie czekała na nich Heike oraz atrakcje stolicy Niemiec. Stamtąd rodzeństwo miało wrócić pociągiem do Warszawy. Renata z Mirkiem zaś na dwa dni dostali do dyspozycji mieszkanie i czas tylko dla siebie.

Leżeli teraz w łóżku w pokoju gościnnym.

– Jest naprawdę piękny. – Renata obracała w palcach wiśniowy wisiołek. – Taki kolorowy, radosny. Pasuje do mnie, choć sama nigdy bym nie wybrała podobnej biżuterii.

– Wiem, dlatego ja to zrobiłem. – Mirek delikatnie wyjął rubinowo-szmaragdowe wiśnie z palców Renaty, odkładając je na miejsce, czyli w rowek między ponętymi piersiami. – Co ja mówiłem o tych kamieniach? Że dodają energii seksualnej?

– Jakoś tak – odpowiedziała Renata. – Ale że cztery razy z rzędu, to nie wspominałeś...

Po kolejnej upojonej półgodzinie Renata poszła do kuchni po wodę. Było gorąco. Temperatura nie spadała w nocy poniżej dwudziestu stopni, w ich sypialni było zdecydowanie cieplej.

Na kuchennym blacie znalazła paczuszkę i kartkę od Kariny: „Dla Ciebie, Mamuś. Całusy od naszej trójki”. Wzięła do ręki bąbelkową kopertę. Stempel z Hiszpanii, czyli to sprawka mamy i Winsa.

Otworzyła. W środku było nieduże pudełko obwiązane czerwoną wstążką i koperta. Pociągnęła za jedwabny sznurek. Zdjęła wieczko. Zobaczyła bajecznie kolorową bransoletkę. Szklane, przezroczyste korale mieniły się światłem i układały w piękną tęczę. „To chyba murano”, pomyślała Renata. Bransoletka pasowała idealnie. Nie za luźna, nie nazbyt obciskająca. Te urodziny przebiegają pod znakiem kosztownych, kolorowych drobiazgów od najbliższych. O, jest i jakiś napis na tych paciorkach. Po hiszpańsku, będzie musiała zapytać mamę, co ta inskrypcja znaczy. A może w kopercie jest wyjaśnienie?

Kochana Reniu! Kilka dni temu wypatrzyliśmy w malutkim sklepie-galerii coś, co wydało nam się wprost idealne dla Ciebie! Todos tiene su sitio y su tiempo. Czyli na wszystko w życiu jest odpowiednia pora. Zawierzylam losowi i nie rozkładałam tym razem kart. To Twoja urodzinowa wróżba.

Całujemy Cię najmocniej

Twoi mama i Wins

Renata się uśmiechnęła. Wyjątkowo trafna ta wróżba. I nie rzuca cienia niepokoju, jak w poprzednich latach. Wreszcie wszystko się poukładało. Ona poukładała, razem z Mirkiem. Nie chciała już niczego więcej od życia – oby zawsze było tak jak teraz.

20 lipca 2012 roku

Czas stanął w miejscu. Renata siedziała na brzegu wanny. Za plecami miała błękit kafli, pod nogami włochatą miękkość dywanika. Za oknem migotały zielone liście brzoź, ładnie odcinające się od białych pni. W łazience było jasno, przytulnie, pachniało jeszcze wodą kolońską Mirka, który pojechał już do pracy. Renata wzięła dziś wolne, by skończyć ostatnie porządki po remoncie domu. Wyszło pięknie, szczególnie łazienka utrzymana w niebieskiej tonacji. Wszystko było w tym kolorze, nawet kubki na szczotki do zębów, ręczniki i papier toaletowy. Błękit to kolor, który koi, pozwala na relaks, kojarzy się z pogodnym niebem i jednostajnym łoskotem fal. O, nawet teraz Renata słyszała coś jakby miarowe, szybkie rozbijanie się fal o brzeg. HUU-huu-huu... Zamknęła oczy. Odgłos przybrał na sile. Otworzyła. Wciąż to słyszała. Może to wpływ tych niebieskości, które ją otaczają? Jeden element odbiegał jednak od tego kolorystycznego reżimu. Mocny, wysycony róż. Amarant prawie. Renata spojrzała na drobny przedmiot w swojej dłoni. Przetarła oczy, spojrzała ponownie. Nie, nie myliła się, nie dwoiło jej się w oczach. Kreski były dwie. Mocne, wyraźne, grube. Łoskot przybrał na sile. Tak waliło serce Renaty. Przez głowę przebiegały jej urywki zdań: „...kolor seksualnej mocy...”, „...zapełnia wnętrze...”, „...dwie wisienki połączone listkiem...”.

Renata była w ciąży.

EPILOG

21 czerwca 2018 roku

– Co to właściwie za gra? – Marek podskakiwał niecierpliwie przy stole. Uwielbiał planszówki. Miał ich całą półkę i stosunkowo łatwo przekonał resztę rodziny, że granie w nie jest po prostu ekstra. Tej jednak nigdy jeszcze w swoim pięcioletnim życiu nie widział.

– *Poznaj swoich bliskich* – wyjaśniła Renata. – Dodatek specjalny dla prenumeratorów naszego magazynu.

– A to bliskich się nie zna z natury rzeczy? – Radek podszedł do tematu rzeczowo.

– Zagraj, a się przekonasz! – odpowiedziała Renata z uśmiechem. Wyjęła z kartonowego pudełka plik kart z pytaniami, przetasowała je i ułożyła z nich pośrodku stołu równy stosik. – Gotowi?

– A zasady?!? – Marek przewrócił oczami. Jak można zapominać o tak ważnej sprawie...?

Renata z czułością spojrzała na najmłodszego. Fizycznie był sprawiedliwą w proporcjach mieszanką ich obojga: pszeniczny blondyn, jak ona w dzieciństwie, z kręconymi włosami (mały Mirek miał na głowie baranka), niebieskooki po niej, obsypany piegami po tacie. Co do charakteru zaś... Chyba odziedziczył go po Romie. Był żywiołowy, niezmordowany, bardzo pogodny. Wciąż go coś gnało do przodu. „Czy ja wiem” – Mirek uśmiechnął się, gdy podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem. „Dzieci takie są. Choć ja chyba taki nie byłem”, przyznał po chwili zastanowienia. „Ja też nie”, odparła Renata. „Za to teraz nadrabiam”, pomyślała, przytulając podskakującego obok jej krzesła Marka.

– Tata już przestudiował instrukcję, niech wam powie.

– Każdy gracz po kolei bierze kartę z pytaniem – zaczął metodycznie objaśniać Mirek. – Pytania mogą dotyczyć jego samego albo wskazanych w karcie osób. Za każdą dobrą odpowiedź z „wiedzy o kimś” dostaje się punkt, a punkty za odpowiedzi dotyczące samego siebie przyznaje uznaniowo rodzina. Czyli reszta graczy. Jeśli dobrze rozumiem, to w zależności od tego, jak bardzo jest pod wrażeniem odpowiedzi.

– Zasady uznaniowe...? – Radek się skrzywił i pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Jak w sporcie. Jak w życiu... – Mirek poklepał go po plecach.

– No dobra, zaczynamy! Kto mi będzie czytał pytania? – niecierpliwiał się Marek.

– Twój wielki brat – zadeklarował Radek.

– Dobra, dzięki. A ten... Zaczyna najmłodszy, no nie? – zagadnął chytrze Marek. Najmłodszy.

– Niech będzie. – Renata się uśmiechnęła.

Marek niecierpliwie wyciągnął kartę i podał ją Radkowi.

– „Za co najbardziej kocham osobę siedzącą po mojej prawej stronie” – odczytał Radek i zachichotał. – Słucham z uwagą!

– No nieee... – jęknął Marek. – Czyli... Radzia? Dlaczego nie pytają, co mnie w nim najbardziej wkurza? To bym wiedział od razu!

– Bo na tym polega ta gra – wyjaśniła Renata. – Przekazy mają być tylko pozytywne.

– A to w ten sposób nie będą same półprawdy? – zastanowił się obiecujący młody filozof Radzio, który po wakacjach zaczynał studia na Uniwersytecie Warszawskim. W jego przypadku jabłko odskoczyło od jabłoni bardzo daleko. Jeśli chodzi o charakter. Co do wyglądu – wdzięk, styl i szarm odziedziczone po Norbercie w połączeniu ze spokojem, z łagodnością i zamyśleniem-rozmarzeniem w oczach gwarantowały, że nie samym roztrząsaniem spraw egzystencjalnych środkowy będzie żył.

– A na co dzień co sobie bardziej okazujemy? Miłość – czy może zniecierpliwienie, irytację...?

– zawiesiła pytająco głos Renata. – Więc ta gra to taka... powiedzmy, rekompensata za różne minikrzywdy, mikroprzykrości, które sobie każdego dnia robimy.

– Jak zajęcia wyrównawcze w szkole! – zrozumiał w lot mały bystrzacha Marek. – Wiem, bo Tomuś z naszej ulicy na takie chodzi. Więc ja Radzia najbardziej kocham, bo daje mi coś, jak sam ma...

Czyta mi... No nie wiem? Nie boję się, jak jest ciemno, bo ma pokój naprzeciwko mojego i nie zamyka do niego drzwi...

– Nie bardzo się wysilił, ale chyba mu damy punkt na zachętę, co nie? – zaproponował Radek.

– Chyba trzy punkty! Trzy rzeczy to trzy punkty, tak czy nie?! – walczył o swoje Marek.

– Trzy punkty na zachętę? – podsunął Mirek.

– Dobra, to wpisuj trzy, mamusiu, a my gramy dalej, nie? – niecierpliwił się Marek. Bardzo chciał, żeby przeszła cała runda pytań i żeby znów miał okazję się wykazać. Dobrze, że Karina z Ernestem przyjadą dopiero po koncercie, to rundy są krótsze, tylko czteroosobowe.

– „Największe marzenie osoby siedzącej po twojej lewej stronie” – przeczytał tata i spojrzał z zastanowieniem na mamę. – A... może być już spełnione marzenie? – Nikt mu nie przerywał, więc mówił dalej. – Bo jeśli tak, to chyba można powiedzieć, że my wszyscy tutaj, razem. Co, Reniu? Uznasz mi odpowiedź?

– Punkt! – przyznała Renata, próbując zachować wzruszenie tylko dla siebie, i wpisała jedynekę w odpowiednią rubrykę. W tej grze wygrany będzie jeden, ale w prawdziwym życiu wygrali wszyscy. Zespołowo. – „Ulubiona potrawa osoby siedzącej naprzeciwko” – odczytała następnie. – Łatwizna! Pizza!

– A nie, mamo! – zawołał Marek. – Twoje klop-siki!!!

– Od kiedy to?! – zdziwiła się mama.

– Od wczoraj! – zadeklarował żarliwie Marek.

– To nie fair! – zbuntowała się Renata, choć tak naprawdę to zrobiło się jej bardzo miło.

– Nie fair, że dziecko woli twoją kuchnię od fast foodu? No co ty, Reniu! – Mirek stanął w obronie kulinarnych wyborów syna, puszczając jednocześnie oko do Radka.

– Nie fair, bo nie dostałam punktu!!!

– Zasady to zasady! – wygłosił przemądrzale Marek. – Mama bez punktu. Trudno, mamo, może później się poprawisz. To teraz kto? Radio?

– Czy mógłbyś do mnie mówić normalnie, brzdącu?

– Normalnie, czyli jak?

– Radek.

– A czemu ta ruda Ola może mówić do ciebie „Radziu”, a ja nie?

Renata prychnęła, udając atak kaszlu, Mirek wziął do ręki instrukcję, żeby coś w niej pilnie sprawdzić, a Radek splonął rumieńcem i szybko sięgnął po kartę ze środka stołu.

– „Za co jesteś najbardziej wdzięczny tacie?” – odczytał.

W Renacie na chwilę coś stężało. Bardzo była dumna z ich rodziny, ale od czasu do czasu przy-pomniała sobie, że nie są przecież tradycyjnie i od początku szczęśliwi. Kiedy Radek był młodszy, tłumaczyła mu to na przykładzie roweru. „Taka superkolarzówka jest nowa, błyszcząca, szybka. Łańcuch nie spada, przerzutek dużo, łatwo się nią jeździ. O składaka trzeba bardziej dbać, czasem naprawić. Ale jaka satysfakcja, że zrobiło się go samemu”.

– Hmm... – zastanawiał się tymczasem Radek. – Tu nie ma mojego biologicznego taty. Ale myślę, że na potrzeby tej gry w jego roli może wystąpić Mirek – powiedział ostrożnie. – No więc... – Utkwił z namysłem wzrok w Mirku, jakby w jego twarzy próbował poszukać odpowiedzi. – Najbardziej jestem ci wdzięczny... Sam się dziwię, że to mówię, lecz chyba za brata. – Posłał przelotne spojrzenie Markowi. Przelotne – ale czułe. – W sumie jednak... Jakby się głębiej zastanowić... To za wiele rzeczy. Za to, że od początku miałeś do mnie kupę cierpliwości. Za to, że mama jest przy tobie szczęśliwa. Cała rodzina w ogóle.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Renata zagryzła mocno wargi, żeby się głupio nie poryczeć, a Mirek... Mirek wprawdzie tylko patrzył uparcie w okno balkonowe, ale w gruncie rzeczy chyba robił to z tego samego powodu co Renata.

W końcu ciszę przerwało teatralne westchnienie Marka:

– No to tę rundę, Radziu, to chyba niestety ty wygrałeś.

Renata z Mirkiem zachichotali z wdzięcznością. Dobrze mieć dzieci. – Atmosfera znów została

rozładowana...

– Dzięki, chłopie – rzekł cicho Mirek do Radka i niezdarnie poklepał go po plecach – jakby do ostatniej chwili nie mógł się zdecydować, czy go poklepie, czy przytuli.

Marek poczuł, że uwaga rodziny znów spelza z niego na kogoś innego – a jak na najmłodszego przystało, najchętniej gwiazdorzyłby bez przerwy. Dlatego westchnął jeszcze raz:

– Szkoda, że nie ma babci, boby mnie pocieszyła.

– *Á propos* babci – ożywiła się Renata. – Zapomniałam wam powiedzieć, że pisała dziś rano do mnie. Urodzinowo oczywiście, ale zdjęcia są dla wszystkich. O, proszę. – Renata podeszła do kredensu i zabrała z niego laptop. Postawiła go na stole, wśród kart do gry. Weszła do skrzynki pocztowej i kliknęła w wiadomość od Romy. – *Voilà!*

Oczom zebranych przy stole ukazali się Roma i Wins na bajecznie kolorowym tle.

– Rany Julek, gdzie babcia jest? – Marek miał oczy jak pięcioletówki. – A czy tam w rogu to jest wielgład?

– Wielgład. – Renata się uśmiechnęła. – Babcia i dziadek Wins są w Maroku. To zdjęcie z targu. Babcia napisała, że kupiła sobie dużo sukienek i aż żał, że już nie statystuje w filmach.

– Jak znam twoją mamę, to i w Hiszpanii się zaczepi w branży filmowej. – Roześmiał się Mirek.

– A prezent ci dała, jak my? – chciał wiedzieć Marek.

– Da – uspokoiła go Renata. – Paczka przyjdzie. Dostanę kolczyki, o takie, z turkusami. – Otworzyła kolejne zdjęcie. – I ten piękny różowy szal. – Kliknęła w kolejny obrazek. – Oraz... – zawiesiła głos – zaproszenie do Hiszpanii. Do Alhambry. Pięknego i bardzo starego pałacu – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie najmłodszego.

– Jak księżniczka! – ucieszył się Marek.

– Jak królowa – doprecyzował Radek.

– Ze świtą – dodał Mirek.

– A Karinka też z nami pojedzie? – chciał wiedzieć Marek.

– Cóż... Karina jest już chyba za duża na wakacje z mamą. Pewnie wybierze Ernesta. Poza tym grają tyle koncertów, że trudno by im było się wyrwać. Ale zapytamy, kiedy tylko przyjdą.

– A my mamy prezent dla Karinki? – przestraszył się nagle Marek. – Przecież dziś są też jej urodziny.

– Mamy, mamy – uspokoiła go Roma.

– To pokaż!

– Nie mogę, bo już zapakowany. Zobaczysz, kiedy siostra odpakuje.

Renata zamówiła dla Kariny duży notes. Znalazła firmę introligatorską, która oryginalnie oprawiała notatniki. Egzemplarz dla córki miał soczyście zieloną okładkę, rogi i grzbiet były w mocnej czerwieni. Do zamykania służyły aksamitne wstążki w niezwyklej barwie kobaltu. Całość była piękna, kolorowa, energetyczna – jak jej córka. Na pierwszej stronie Renata postanowiła napisać dedykację. Najpierw miały to być po prostu życzenia, ale potem Renata wpadła na inny pomysł. Od kiedy Roma wyjechała z Winsem do Hiszpanii, zaprzestała wrózenia dla Renaty. „Tak korespondencyjnie to dziwnie” – stwierdziła. „Poza tym, Reniu, już chyba nie muszę. Widzę, że sama się pięknie przez życie prowadzisz”. Karina też nie potrzebowała gwiazd, by jej drogę oświetlały, zresztą wróżyć przecież Renata nie umiała. Ale wyszukać jakieś dobre słowo dla córki, które będzie jej towarzyszyło każdego dnia – o, to już tak. Postanowiła przejąć pałeczkę od mamy i w takiej zmienionej formie urodzinowo życzyć córce.

W tym roku, gdy Karina otworzy notes, przeczyta:

Gdy ci coś wpada do oka, pamiętaj, że to odrobina kosmosu.

[1] *Da liegt...* (niem.) – Tu jest pies pogrzebany.

